

WOJCIECH KARPIŃSKI

AMERYKAŃSKIE
CIENIE

INSTYTUT
PARYZ



LITERACKI
1983

1983 M 420
1983 M 420

AMERYKAŃSKIE CIENIE

Wydawnictwo Literackie
ul. Krakowska 10, 31-116 Kraków
tel. 012 25 12 12

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 372

ISBN 2-7168-0028-6

IMPRIME EN FRANCE

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE**

WOJCIECH KARPÍŃSKI

AMERYKAŃSKIE CIENIE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1983

WOLFFSCHE KARLINSKI

AMERYKANISKE
CIEPIE

INSTITUT LITTERAIRE



INSTITUT

© COPYRIGHT INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., PARIS 1983

NAD ATLANTYKIEM

*4 września 1981, w samolocie
Frankfurt - Nowy Jork*

Rok odsłonięcia prawdy, polski rok. Trudno myśleć o czymś innym teraz, w samolocie unoszącym się nad wodami Atlantyku. Zamknięty w metalowym pudle, uwięziony w fotelu między krzykliwą hinduską rodziną a potężnym Amerykaninem, mam chwilę czasu, aby zwrócić się ku minionym dniom, ku mojej podróży, ku przyszłości. Ostatnie miesiące pełne były wydarzeń. Jedne następowały po drugich, jedno w trakcie drugich, i inne, i jeszcze inne, a każde zaskakujące. Nie potrafiłem ich oswoić. Nadal nie potrafię. Polskie Odrodzenie jest zjawiskiem bez precedensu w historii społecznej nie tylko naszego kraju. Sądzę nawet, że bombardowani codziennymi sensacjami nie zdajemy sobie sprawy z sensacji zasadniczej.

Tak, rok odsłonięcia prawdy. Rok temu w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu podpisano umowę ze społeczeństwem. Cała Polska oglądała na ekranach telewizji dwie strony zasiadające do rozmów, władzę komunistyczną i robotników. Powstały wolne związki zawodowe, gwarancja trwałości wolnościowych przemian. Dokonała się rewolucja, pierwsza chyba w dziejach masowa rewolucja robotnicza. Czy rewolucja? Umiar i rozsądek strajkujących były tak oczywiste, że wypada mówić o samoograniczającej się rewolucji. Czy to nie jest jednak oksymoron, modne w poetyce baroku — i nie tylko — zestawienie cech sprzecznych: „ogień krzepnie, blask ciemnieje, ma granice Nieskończony”? Wolne związki zawodowe w państwie komunistycznym to też oksymoron. A może trzeba sprawę ująć inaczej: dawny język

mówienia o polityce nie nadaje się do opisu Polskiego Odrodzenia. Ideologiczne schematy zostały przewyciężone. Marks patrzy z odmetów czyścica w osłupieniu. Lenin w dalszych regionach cierpi rzeczywistość piekielne katusze. A Stalin? Z Dziewiątego Kręgu przygląda się bacznie. Nie stracił przekonania, że sytuację uda się rozwiązać po jego myśli. Snuje plany.

Mimo wszystko rok *happy end*'ów. Kilka razy opsy miałem dziwnie wilgotne, a serce uderzało szybciej. Nie ma się czego wstydzić. Czekałem na te chwile długo. Przecież po raz pierwszy mogę mówić głośno i otwarcie o sprawach zasadniczych. No, może jeszcze nie zawsze głośno i nie o wszystkich sprawach. Kilka chwil wybranych, które skupiają w sobie dawne nadzieje i obawy, moje przysięgi dziecinne i późniejsze. Wałęsa podpisuje Umowę Gdańską olbrzymim długopisem z papieskim wizerunkiem. A w tle? Grudniowa noc sprzed lat dziesięciu i powtarzana w przerażeniu wieść o trupach; ludność Radomia, zagnana na stadion oskarża samą siebie (ustami partyjnych przedstawicieli). Nagroda Nobla dla Miłosza, czytelnicy pragną dowiedzieć się czegoś więcej o suwerennej literaturze polskiej, oficjalnie skazanej na zapomnienie. W tle migają pogardliwe broszury o literaturze małej emigracji, sala Sądów na Świerczewskiego, prokurator na procesie Jakuba rzuca tytuły książek laureata jako koronny dowód oskarżenia. Długie oklaski witają profesora Edwar-da Lipińskiego w Auditorium Maximum. A jeszcze tak niedawno wokół domów, w których odbywały się wykłady TKN, krążyły cienie ubeków, bojówki biły słuchaczy. Sesja marcowa, błyskotliwy odczyt Adama Michnika w tej samej sali uniwersytetu, w której przed trzynastu laty studenci daremnie usiłowali bronić choćby skromnej porcji wolności. W tle oszczerce artykuły, pełna aktywistów Sala Kongresowa słuchająca Gomułki, plugawe słowa, transparenty, okrzyki. A jednocześnie w tle, mocno zarysowanym, wypadki w Bydgoszczy sprzed kilku dni i taśma z nagraną wówczas interwencją milicji.

Rok *happy end*'ów? Wyrażenie nietrafne: jeżeli czegoś można się było w ciągu ostatnich miesięcy nauczyć, to tego, że historia się nie zakończyła, nikt nie przejrzał jej planu. Władcy despotyczni starają się przekonać poddanych, że nic się nigdy nie zmieni, poddaństwo trwać będzie wiecznie, siła zwycięża, nadzieje są bezzasadne. Rok Polski był rokiem nadziei i pozostanie nim bez względu na groźby. Pamięci sierpniowych dni i następnych miesięcy nikt nam nie wydrze. Znam na to odpowiedź: Polacy są bogaczami pamięci; może coś z tych zasobów przekuć na instytucjonalne gwarancje wolności? Jakkolwiek potoczy się nasz los,

Solidarność otworzyła nowy rozdział w dziejach ruchów społecznych. Nie potrafimy określić, czym jest ta organizacja, bo jest czymś nowym, do jej nazwania potrzeba nowego języka.

Gdyby mi ktoś powiedział kilkanaście miesięcy temu, że w podróży do Stanów będę rozmyślał o polskim ruchu zawodowym i że w samolocie nad Atlantykiem będę czytać z zapartym tchem oficjalnie wydawane w Polsce pisma, pomyślałbym, że zwariował. A przecież teraz pod fotelem mam torbę wypchaną numerami *Solidarności*, *Biuletynu Informacyjnego*, *Niezależności*, *Tygodnika Powszechnego*. Wiem, że to najlepszy prezent, jaki mogę przywieźć z Polski. Nie miałem czasu w Warszawie wszystkiego przejrzeć, nikt chyba nie ma czasu. Sięgam nawet po numery warszawskiej *Kultury* (kto by pomyślał), czytam interesujące wyznania byłych dostojników. Śledzę serial o *Po prostu*.

Najciekawszą publikacją ostatnich miesięcy był według mnie dodatek do numeru 19 *Solidarności* zawierający dyskusję na posiedzeniu Krajowej Komisji Porozumiewawczej w końcu lipca. Przywódcy i doradcy Solidarności mówili o sytuacji w kraju i w Związku. Pytano, czym jest ta organizacja. Normalnym samorządnym związkiem zawodowym? W kraju realnego socjalizmu samorządny związek zawodowy jest ze swej istoty czymś fundamentalnie nienormalnym. Partią polityczną? Solidarność nie dąży do przejęcia władzy, chce tylko ograniczyć jej samowolne sprawowanie, poddać ją społecznej kontroli. A więc związek zawodowy niezwykle, jakim musi być niezależny związek w kraju komunistycznym? To określenie też nie oddaje nowości sytuacji. Związek o obowiązkach takich, jakie miałyby związek zawodowy marynarzy na tonącym okręcie? Przenośnie nie wyjaśniają, choć zbliżają czasem do zrozumienia odrębności. Jakkolwiek określi się nowy ruch, jest to, jak sędzę, pierwszy zorganizowany, instytucjonalny wysiłek wydostania się z narzuconej społeczeństwu totalitarnej struktury. Nie tylko politycznej, ale też ekonomicznej, ideologicznej. Jacek Kuroń wspominał o złamaniu trzech monopolu, na których opierała się władza: monopolu organizacji, informacji i decyzji.

Dwa pierwsze monopole zostały naruszone: organizacji, bo powstała Solidarność, pierwsza masowa niezależna organizacja w państwie komunistycznym; informacji, bo wychodzi tygodnik związkowy i inne pisma, stanowią one obecnie główne źródło informacji. A trzeci monopol, decyzji? Wątpię, czy został naprawdę uszczuplony. Władze nie chcą dopuścić Solidarności do udziału w centralnych decyzjach. Nie chcą dopuścić nawet do

informacji o stanie gospodarki. Nie potrafią zorganizować niczego, nie interesują się zarządzaniem kraju, kiedy jednak Solidarność domaga się kontroli nad rozdziałem żywności bądź dostępu do środków masowego przekazu, wówczas władze okazują zdecydowanie i potrafią skutecznie działać. Popis takiego działania oglądałem miesiąc temu w wykonaniu Rakowskiego. Jako przewodniczący delegacji rządowej zaprosił Solidarność na rozmowy. We wstępnym przemówieniu zaproponował właściwie likwidację związku.

Solidarność nic nie zrobiła dla kraju, mówił Rakowski. Toleruje antysowieckie i antypartyjne wypowiedzi. Usiłuje obok władzy legalnej zbudować władzę realną, lecz naprawdę jest bezradna. Traci poparcie społeczeństwa, które tak gorąco przyjęło partyjny zjazd. Niech się lepiej zajmie podnoszeniem dyscypliny pracy. Niech przestanie utrzymywać podejrzane kontakty zagraniczne. Tyle Rakowski. Dobrał sobie jako ekspertów Górnickiego i Urbana, którzy też swoje powiedzieli. Skoncentrowany atak oczywistych kłamstw wprowadził mnie w stan osłupienia. Zobaczyłem wyraźną linię taktyki. Rakowski nikogo nie zamierzał przekonać. Nie, to było zbyt brutalne. Gdy mówił o utracie przez Solidarność społecznego zaufania i o rosnącym zaufaniu do partii, przekazywał taką oto informację: „Widzicie, mogę bezkarnie kłamać. Nic się nie zmieniło. Telewizja jest i pozostanie nasza. Władza jest i pozostanie nasza. Za każdą cenę. Nic się nie zmieni”.

To się nazywa „branie na huk”. Rakowski starał się zastraszyć słuchaczy. W moim wypadku do pewnego stopnia dopiął swego. Zareagowałem na niego z tą samą świeżością uczuć, z jaką, odkąd pamięcią sięgam, reaguję na pierwszą stronę polskich dzienników: to wymysł, potiomkinowskie fasady. Normalne życie społeczne było mi odebrane. Obecnie jestem świadkiem odrodzenia. Czyżby znów miało zamrzeć? Po głowie chodzą słowa: „Urodzony w niewoli, okuty w powiciu, jak tylko jedną taką wiosną miałem w życiu”. Szybko odrzucam patos, pozostaje chwila oczyszczającej wściekłości, ale i gorzki smak, poczucie zagrożenia. Czegokolwiek dotkną ci ludzie, przemienia się w sztuczny, martwy twór. Czy zawsze będą dotykać świata przede mną? Czy nie uda im się kiedyś dotknąć mnie, części mnie?

Dotykają. Skutki są różne. Przyjdzie mi się nad nimi zastanowić. Tym razem jeden rezultat był natychmiastowy. Od początku wydarzeń sierpniowych żałowałem, że nie piszę dziennika. To są chwile jedyne, wiedziałem, nie zdołam ich w przyszłości

odtworzyć, ale już za późno, mówiłem po wybuchu strajków, po podpisaniu porozumienia, po odświeżeniu pomnika w Gdańsku, po Bydgoszczy. Zapewne nie byłbym w stanie znaleźć odpowiedniej formy. Notować fakty? Powoli wychodzą na powierzchnię, bądź zalewają nadmiarem, musiałbym dokonywać selekcji. Kusić się o interpretację? Za wcześnie. Nim się znajdzie słowo marmurowe (a choćby tylko trafne), upłyną lata. Śledzić własne reakcje? Powtarzałbym kilka przymiotników określających zdziwienie, radość, obawę. I oto ledwie zniknął z telewizora spiker czytający tekst Rakowskiego, znalazłem się nad notatnikiem, sam nie wiem jak, zacząłem gorączkowo pisać, reagować na powrót fałszu. A teraz lecę nad Atlantykiem i w tym samym notesie kontynuuję moją obronę. Chcę to wyrzucić z siebie, mieć w Stanach wolną głowę.

„Wolną głowę, powiadasz?” — śmieję się sam z siebie. Młoda Hinduska przygląda mi się w zdziwieniu. Dyskutuję przecież z ludźmi, z którymi nigdy nie zamierzałem dyskutować. Dlaczego wdzierają się do mojej głowy? Idźcie sobie do swoich. Za wysokie progi. Wchodźcie do głowy (do głowy?) Leninowi. Niech Rakowski zajmuje się Górnickim, Górnicki Urbanem, Urban Rakowskim. Czasem wydaje mi się w przypływie cudownej, Gombrowiczowskiej omalże megalomanii, że potiomkinowski system po to stwarza Rakowskiego czy Górnickiego, aby Kisielowi (a i mnie także, mnie także) zajmowali czas, aby kazali — kto każe? — ze sobą dyskutować. Potem, po kolejnym trzęsieniu ziemi, Werfel, Jaszcz, Putrament, Sokorski, Wilhelmi, Górnicki zmieniają poglądy, bądź znikają, bądź nie znikają, co na jedno wychodzi, bo są pustką. A ja zostaję z pustymi rękami, z czasem straconym na maniackalnym powtarzaniu, że białe jest białe, że nie należy chodzić na głowie. Niekiedy, co gorsze, łapię się na szalonych pokusach: może jednak nie należy przesadzać, popadać w drugą skrajność? Jaką skrajność? — prawdy? rzeczywistości? swobody?

Powrócę do stałych dylematów: czy warto w ogóle dyskutować z Rakowskim, Górnickim? Są oni przecież tylko dzisiejszą nazwą pewnego miejsca w mechanizmie zagłuszającym społeczny głos. Wykonują funkcję, którą jutro za nich, obok nich, wykona kto inny. Czy powinienem zapamiętywać ich tytuły niesławny, dokumenty umysłowej jałowości splecionej ze złą wolą? Jeszcze chwila, a zacznę dyskutować z Siwakiem (jakikolwiek nazwisko nosi to miejsce w mechanizmie propagandy), a potem Siwak zniknie, powiedzą, że to pomyłka, bądź on powie, że były to złudzenia i zaczną posyłać teksty do *Kultury* lub *Zapisu*, a ja

znów zostaną z pustymi rękami, z jego cieniem na twarzy. Tak źle może nie będzie, lecz dawne pytania o realność rzeczywistości powracają. *Cienie w pieczarze* dlatego stały się moją książką, że mówią o moich sprawach, o tych sprawach. Czy zagłuszacze rzeczywistości odbijając się w moich oczach nie osiągają swego celu, czy nie umacniają swego istnienia? Czy nie powinienem ich zostawić w ich świetle, gdy lecę do Nowego Świata? Czy nie będzie tak, straszylem kiedyś sam siebie, że w dokumentach powojennych zostaną oni, omalże tylko oni, raz chwaleni, kiedy indziej ganieni przez nielicznych odważnych, ale wszechobecni, twarzą w (nieznaną) twarz z milczącą (więc w obrazach czasu niezaświadczoną) większością?

Wierzę, że tak nie będzie. Po renesansie społecznym połowy lat siedemdziesiątych, po sierpniu jest to groźba mniej realna. Kto dotąd wątpił, teraz powinien się przekonać o fundamentalnych zasługach niezależnych publikacji. Inny głos, inne spojrzenie zostały utrwalone. Mogą zostać utrwalone. A więc rodzic się będą częściej.

PIERWSZE PYTANIA

7 września 1981, Waszyngton

Na Kennedy Airport w Nowym Jorku czekali Jakub i Irena. Pojechaliśmy do domu, potem do Greenwich Village. Spotkaliśmy tam Piotra Naimskiego. Siedzieliśmy w kawiarni do 2-jej rano, czyli do 8 rano czasu polskiego. Pytania, pytania. Na wiele nie potrafiłem odpowiedzieć. Następnego dnia pojechałem do New Haven. Zobaczyłem nowy dom Grossów. Rozmawialiśmy chaotycznie o wszystkim i o niczym, jak to bywa po długim niewidzeniu. Po takim niewidzeniu. Trzy lata temu nie było ani Tomka, ani polskiego papieża, ani Solidarności. Wczoraj zrobiłem wypad do Orient na najbardziej oddalony cypel Long Island. Odwiedziłem Miriam. Znowu natłok pytań. Wracalem rozklekotanym pociągiem wzdłuż płaskiego krajobrazu Long Island. Zgasło światło w moim wagonie, także mijane domy uderzały wygaszonymi oknami. Pociąg jednak jechał. Miałem chwilę przymusowego skupienia. Wrażenia bombardują mnie bezustannie. Nie mam czasu im się dobrze przyjrzeć.

Dziś w samolocie do Waszyngtonu następny moment sku-

pienia. Znów nie udało mi się zobaczyć panoramy Manhattanu. Opowiadano mi o wspaniałości tego widoku. Dlaczego chowa się przede mną? Towarzystwo mi za to cudowne pejzaże chmur. Wielopoziomowe, wieloznaczne. Najpierw pod nami ziemia z obłoków, a w górze niskie, intensywnie błękitne, rozświetlone niebo. Sklepienie wyznaczone przez kilka chmur. Wzbił się wyżej. Tuż pod nami dywan zbitej mgły. Czasem odsłaniały się chmurzaste jeziora, obłoki rzedły, w prześwicie dostrzegałem niższe piętro bieli. Przed nami białe pagórki i kopczyki, jak u Steinberga. Powietrzna Mapa Ameryki? Biel, śnieg.

Zniżyliśmy się nad Waszyngtonem. Zdołałem dojrzeć Błonia, Kapitol, Obelisk Waszyngtona, mauzoleum Lincolna. Pamiętałem je z poprzedniej wizyty w Ameryce. Wtedy przyjechałem dzięki stypendium Ingram Merrill Foundation. Miałem przygotowywać książkę o dziewiętnastowiecznych i dwudziestowiecznych koncepcjach wolności, o ich odbiciu we współczesnej kulturze. Napisała mi się *Mapa Ameryki*. A wolność? Zjawiała się sama. Intensywnie, ale wciąż niepełnie. Jeszcze ci mało? Przecież w najpiękniejszych snach... Właśnie dlatego przyglądam się z obawą cudownym trzem latom, które mnie dzielą od zeszłego pobytu w Stanach. Tym razem zostałem zaproszony na pięciodniowy objazd Ameryki. Mogę dowolnie wybierać miejsca, które chcę zobaczyć, i ludzi, z którymi chciałbym się spotkać. Najpierw wydało mi się, że w takim czasie przy takich możliwościach potrafię obejrzeć wszystko. A przecież wiedziałem, jaki to rozległy kraj, właściwie kontynent.

Czy zdołam uchwycić coś więcej niż wirowanie pocztówek? Czy zdołam odpowiedzieć choćby na niektóre z pytań stawianych mi przez ludzi, sytuacje, miasta, widoki, książki? Może później, gdy zatrzymam się po objeździe Stanów na kilka tygodni w Nowym Jorku i New Haven? Może później, po powrocie do Warszawy? To złudzenie, odkładać na przyszłość zrozumienie otaczającego świata, wiem o tym. Jakże więc odpowiedziałbym choćby na pytanie podstawowe, wciąż powracające, na pytanie o Solidarność? Nie o szczegóły czy personalia, lecz o istotę zjawiska. W jednym rację ma Rakowski: w Polsce dokonuje się gigantyczny wysiłek odbudowy społeczeństwa obywatelskiego. Powstaje państwo realne obok nominalnego. Polskie Odrodzenie nie zaczyna się jak w Czechosłowacji od hybrydalnej partii, która bez interwencji bądź przestałaby być leninowską, bądź demokratyczną. W Czechosłowacji także doszłyby do głosu ruchy społeczne niezależne od partyjnej kontroli. Za jakiś czas rozwinę-

łyby się na szerszą skalę. Przyszłaby i tam godzina prawdy. Nie przyszła.

A u nas? Partia pogrążyła się od pewnego czasu w letargu, w słodkim gierkowskim śnie o własnej popularności, mądrości, sile. Było już za późno na uderzenie w rodzący się ruch samorządny, na rozbięcie społeczeństwa łączącego się w niezależne związki. Za późno od kiedy? Nikt tego z całą pewnością nie wie. Może od wizyty papieża i dziewięciu dni wolności, gdy komunistyczna fasada zniknęła całkowicie — i nic się nie stało, nie doszło do anarchii, wręcz przeciwnie, ludzie odetchnęli, wyprostowali zgięte plecy, zobaczyli własną siłę i odzyskali na moment poniżane w codziennym życiu poczucie dumy i godności. A może od Sylwestra 1978 roku, gdy ku zaskoczeniu władz w ziemie spadł śnieg i przyszły mrozy. Władze okazały się bezradne, mało zainteresowane w rozwiązywaniu realnych problemów. Może trzeba sięgnąć dalej, gdy latem 1977 roku po kampanii nienawiści nad trumną Stanisława Pyjasa, po aresztowaniu członków KOR-u zdecydowano się jednak nie doprowadzać konfliktu z opinią społeczną do końca i wypuszczono zatrzymanych. Może do czerwca 1976, do Radomia i Ursusa, do bitych robotników, do udzielających im pomocy studentów, artystów, naukowców. Do wieców na stadionach Warszawy, Radomia, do spędzonych urzędników i aktywistów siedzących pod rozpalonym słońcem. Pod słońcem szatana? Gdzież tam, przy całej obrzydliwości było to jakieś niemrawe. Niegodziwe, ale nie przerażające. Może trzeba cofnąć się do zmian w Konstytucji podsumowujących podwójną niesuwerenność Polski: wobec ościennego mocarstwa i wobec narzuconej ideologii. A może do samego początku Gierkowego królowania, do nieopatrzego gestu i pustego, w zamierzeniu, frazesu: pomożecie? Pozornie tak szybko udało się wywikłać z obietnic, wystrychnąć raz jeszcze — który to raz? — społeczeństwo na dudka. Pozornie, bo do czasu. Pomoc w rządzeniu przyszła. Okazało się to ostatecznie w sierpniu, narastało jednak od początku. Niepostrzeżenie, lecz konsekwentnie.

Czy jednak partia dostosuje się do nowych warunków w Polsce? Czy zacznie w ogóle działać, a jeśli zacznie, czy nie sięgnie znów po całą władzę? Czy zdoła się ograniczyć? Czy można ją sobie wyobrazić jako „czerwoną królową angielską”, niezbędną do utrzymywania stosunków z potężnym sąsiadem? Nie bardzo. Kiedy tylko ożywa, sięga po całą władzę, chciałaby „spokoju społecznego”, martwego społeczeństwa, sytuacji sprzed sierpnia 1980, a właściwie sprzed grudnia 1970. To wydaje się

obecnie niemożliwe. Niemożliwe wydaje się zaakceptowanie przez ZSSR zasadniczego ograniczenia partii, bo kto gwarantowałby interesy rosyjskie (sowieckie) w Polsce? Wszakże ZSSR może zgodzić się kiedyś na to, że gwarantem interesów sowieckich nie jest koniecznie sowiecka Polska. Zwłaszcza gdy przestała być taką, gdy trzeba by dokonać jej powtórnego podboju. A zresztą tak zwane demoludy zawsze były tworamii hybrydalnymi, a przez to niestabilnymi. Może więc władcy Rosji, pragmatyczni, gdy trzeba, zaakceptują to, co wydaje się niemożliwe (czekając w duchu na lepsze czasy, które zawsze prawie dla nich przychodziły, lecz może wreszcie nie przyjdą). Strawili pojawienie się Solidarności czyli zerwanie z komunistyczną ortodoksją w kwestii organizacji społeczeństwa, może zaakceptują zerwanie z ortodoksją w sprawach państwowych: gospodarki, administracji, kultury. Może zadowolą się dominacją w polityce zagranicznej i w dziedzinie wojska.

Chwilowo tli się stan dwuwładzy. Zazwyczaj dwuwładza kończy się zwycięstwem jednej ze stron. Obecnie nie wydaje się to realne. Solidarność jest potężniejsza wewnątrz społeczeństwa, partia opiera się o potężne gwarancje zewnętrzne. Jak w tej sytuacji dokonać reformy gospodarczej i politycznej? Bez akceptacji społecznej ekonomia nie podniesie się z ruin. A społeczeństwo nauczone wieloma lekcjami — 1956, 1970, 1976 to tylko najważniejsze — domaga się gwarancji instytucjonalnych, czyli, nie bójmy się słowa, zmiany systemu. Zmiana już zresztą nastąpiła z powstaniem Solidarności. Teraz chodzi o to, aby instytucje i ustawy dostosować do faktów dokonanych, do faktu podstawowego, uwłaszczenia społeczeństwa. Teraz trzeba uspołecznic państwo. Musi ulec ograniczeniu wszechwładza partii. Musi ulec ograniczeniu nomenklatura. To jest sens postulowanego samorządu. Dyrektorzy powinni być wybierani wedle kryterium fachowości. W „socjalizmie realnym” ekonomię podporządkowano polityce, stąd ekonomiczna rachityczność systemu, zwłaszcza w Polsce, gdzie stale istniał uparty, milczący, lecz zdecydowany opór ludności przeciw społecznej niesuwerenności. Jeżeli jakakolwiek reforma gospodarki ma się udać, musi być złączona z reformą polityczną. Trzeba będzie odpowiedzieć na kilka elementarnych pytań — czym jest wolność jednostki, czym prawa obywatelskie, co znaczy własność państwowa, społeczna, indywidualna? Czeką nas przejście od dość wysoko rozwiniętego azjatyckiego despotyzmu do społeczeństwa rynkowego.

Bylibyśmy więc świadkami początku końca wielkiej historycznej pomyłki, szalonego eksperymentu przeprowadzanego na żywej

materii społecznej (której szerokie obszary zamierały pod nożem chirurga)? Byłby to koniec stalinowskiego imperium, jeśli nie w całości, to w Europie Środkowo-Wschodniej, jeśli nie w całej, to przynajmniej w Polsce? Ostatnie stwierdzenie wydaje się obecnie prawdziwe. 31 sierpnia 1980 roku cała Polska zobaczyła na ekranach telewizorów akt zadziwiający. Podpisane zostały *pacta conventa* między dwiema stronami: władzą (dotąd wobec społeczeństwa wszechwładną) a społeczeństwem (dotąd nieistniejącym oficjalnie, zaś tego dnia reprezentowanym przez odłam najliczniejszy, przez klasę robotniczą). Zmianie uległ system, bo przecież istotą socjalizmu realnego jest polityczny monopol partii komunistycznej.

Od pierwszej chwili partia, zmuszona do faktycznego ograniczenia swej władzy, chciała uznać ten stan za przejściowy. Dla tego wbrew interesom społecznym godziła się na wszelkie, najbardziej chaotyczne żądania podwyżek płac, byleby uniknąć żądań politycznych. W lipcu i sierpniu dawano podwyżki tylko tym zakładom, które strajkowały, czyli w jakimś sensie premiowano sprzeciw i zmuszano do strajku. Kiedy dzięki mieszaninie głupoty i arogancji sprawy zaszły za daleko, próbowano się jeszcze w ostatniej chwili ratować starym fortem: przetasowaniem na górze. Zamierzano poświęcić kilku działaczy, aby pozostali zyskali za tę cenę trochę czasu. Zabieg się nie udał. Robotnicy przyjęli zmiany wewnątrz elity z zupełną obojętnością: „Nic to nas nie obchodzi, my chcemy mieć niezależne związki zawodowe”.

Dostali związki. Nie wierzyłem, aby było to możliwe. Przecież wolne związki podważają legitymizację systemu, fundamenty władzy. Wprawdzie rządzący od razu zamierzali pierwszą rejestracją przekreślić niezależny charakter Solidarności, potem starali się związek skłócić od wewnątrz, sprowokować do ślepego buntu. Wszystko na nic. Na jak długo? Taktyka partii jest oczywista. Ale i słabość partii jest oczywista. W czasie sierpniowego odrodzenia partia jako masowa organizacja po prostu znikła (nie osłabła, nie rozpadła się w wyniku wewnętrznego buntu, lecz ku zdumieniu wszystkich, partyjnych i bezpartyjnych, trzy miliony członków rozplynęły się). Pamiętam jednak, że „partia zewnętrzna” nie uczestniczy w rządzeniu, nie jest niezbędna do sprawowania władzy, to tylko masowa organizacja treningowa. Liczy się „partia wewnętrzna”, aparat, który pozostał nietknięty. Czy naprawdę? Przemiany sierpniowe objęły cały naród. Także aparat, znajdujący się po raz pierwszy pod wyraźną społeczną presją.

Czyżby więc znów obserwować można było taktykę salami?

Na początku rządów komunistycznych przez kilka lat, plasterki po plasterku, a nieraz i grubymi plastrami, odbierano społeczeństwu prawa i swobody. Czyżby teraz taktyka salami działała przeciw partii? Owszem, aparat czasem będzie odnosił sukcesy, a raczej zmusi Solidarność do akceptacji chwilowej porażki, ale czas pracuje przeciw totalitaryzmowi. Partia nie chce podzielić się władzą, będzie jednak do tego zmuszona. Samorządy, rady narodowe, prasa, sejm... Czy jednak aparat nie widzi zagrożenia? Czy nie dotarło do niego po zjeździe partii, po kryzysie sprzed miesiąca, że grupa reformistyczna wewnątrz partii nie potrafi przedstawić żadnego programu? Czy więc aparat w odruchu samoobrony nie wybierze raczej narodowej klęski? Ale czy może ją obecnie spowodować? Dlaczego niesione przed Najjaśniejszy Tron apele nowej Targowicy pozostają bez skutku? Odpowiadam na cudze pytania pytaniami.

BRZEZIŃSKI

10 września 1981, Waszyngton

W Waszyngtonie spotykam się z ludźmi, oglądam instytucje. Serce wrywa się do muzeum. Tymczasem czas spędzam na konwencjonalnych rozmowach. Co można zatrzymać z parogodzinnej wizyty w Senacie? Library of Congress wymagałaby wielomiesięcznego pobytu, nie jednego przedpołudnia, gdy razem z honduraskim poetą i nowozelandzkim dziennikarzem wysłuchiwałem seryjnego wprowadzenia w działanie tej instytucji. American Enterprise Institute to bastion neokonserwatyizmu, trust mózgów nowej prawicy. Myślałem, że porozmawiam z Edmundem Burke, Josephem de Maistre i Alexisem de Tocqueville w jednej osobie. Tymczasem musiałem uważać, aby nie zasnąć podczas rozmowy z dyrektorem. Oczywiście same się kleiły.

Podając zarys planowanego programu w Warszawie, wymieniłem nazwisko Brzezińskiego. Bez przekonania. Wiem, jak jest zajęty. W Waszyngtonie opiekująca się mną pani sama wspominała o tej wizycie. Bez przekonania szedłem na spotkanie do Center for Strategic and International Studies w centrum miasta. Czy można nawiązać kontakt w ciągu krótkiej wymiany zdań, w takiej sytuacji z konieczności banalnych? Ileż ten człowiek „przepuszcza” ludzi! Zaskoczył mnie od razu ujmującym wyglą-

dem. Na zdjęciach ma coś lisiego, jakąś przebiegłość. W kontakcie okazał się sympatyczny, myśli szybko, ale błyskawiczność reakcji nie paraliżuje, raczej budzi zaufanie. Rozmawialiśmy po polsku. Mówi znakomicie, czasem tylko robi drobne błędy, które dodają ekspresji jego wywodom. Wysportowany, przystojny, opalony.

Spytał najpierw o rodzinę. Chciał mnie jakoś uplasować społecznie. Po chwili skojarzył z Jakubem. Pamiętał proces taterników. Rozmawialiśmy oczywiście o sytuacji w Polsce. Powstanie Solidarności uznał za wydarzenie przełomowe, najważniejsze w Europie Środkowo-Wschodniej od Jałty. Historia ruszyła z miejsca. W jakim kierunku się potoczy? Trzeba zachować ostrożność i umiar, twierdził. Polacy dokonali już wiele, więcej niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Czy nie należałoby teraz zatrzymać się i umocnić zdobyte pozycje? Ogłoszoną na zjeździe Solidarności deklarację w sprawie wolnych związków zawodowych w innych demokracjach uznał za niepotrzebne drażnienie. Przykład Polski jest wystarczająco wymowny. Dwa elementy sytuacji nie mogą obecnie zostać naruszone: partia komunistyczna przy władzy i zabezpieczenie rosyjskich interesów strategicznych. Oczywiście zmienny bywa zakres tej władzy i zmienne może być rozumienie tych interesów. To jest pole przetargu. Gdyby Polska leżała na peryferiach imperium, Rosjanie zaakceptowaliby więcej, ale w sercu Europy, na drodze do Niemiec...

A interwencja? Zapytałem o alarm w pierwszej dekadzie grudnia 1980 roku. Brzeziński był jeszcze przy władzy. Departament Stanu ogłosił, że wojska sowieckie są w stanie gotowości bojowej, że interwencja może być kwestią godzin. Padły amerykańskie ostrzeżenia. Czy Rosjanie cofnęli podjętą już decyzję? Czołgi stały wówczas z zapuszczonymi motorami. Szpitale na Ukrainie i Białorusi ewakuowano przygotowując na przyjęcie rannych. Na pytanie, czy ostateczna decyzja została podjęta i cofnięta, odpowiedź zna tylko kilku ludzi na Kremlu. Może czekano z rozkazem wkroczenia uzależniając go od reakcji Zachodu i Polaków? Może wiedziano, że jeszcze nie nadszedł czas; starano się zastraszyć drugą stronę. Byłby to jednak skomplikowany i kosztowny sposób rozmawiania z polską partią, mało skuteczny — z polskim społeczeństwem, więc — z Zachodem?

Zdaniem Brzezińskiego Rosja obecnie interwencji nie chce. Nie cofnie się jednak, jeśli zostanie do tego zmuszona, to znaczy jeśli naruszone zostaną wspomniane wyżej dwa zasadnicze elementy. Wówczas interwencja będzie inna niż dotychczasowe.

Rosjanie będą najpierw usiłovali przekupić społeczeństwo. Wejdą z dyrektywami zachowywania się jak najbardziej poprawnego. Jeżeli to się nie uda (wszystko przemawia za tym, że się nie uda), wówczas dążyć będą do zniszczenia nowopowstałych elit politycznych. Aktywiści Solidarności stanowią dla nich zagrożenie. Nazwiska tych ludzi są znane...

Przywódcy sowieccy woleliby zapewne spokojny rozwój sytuacji. Niech Polacy zmagają się sami ze swymi kłopotami. Na Kremlu kalkulują cenę. Trzeba jednak pamiętać, że za Breżniewem i grupą niez mordowanych starców czekają (od lat szesnastu!) ich następcy. „Byłem przez cztery lata w centrum decyzyjnym — powiedział Brzeziński. — Wiem, co czułbym, gdybym był przez ten okres o krok od tego centrum i nie mógł przekroczyć granicy. A tamci czekają prawie dwadzieścia lat”. Breżniew musi się liczyć z nastrojami wyższych warstw aparatu. Nie może podejmować dowolnych decyzji. Sam o tym mówił Dubczekowi na Kremlu po najeździe na Czechosłowację. Od badanych przez Rosjan nastrojów w Polskiej armii, w partii, w społeczeństwie zależą wyliczenia kosztów ewentualnej interwencji i sposób jej przeprowadzenia.

Jakkolwiek potoczy się rozwój sytuacji w Polsce, wydarzenia sierpniowe ukazały kryzys pojałtańskiego porządku w Europie Środkowo-Wschodniej. Narzucony tym krajom system jest niesprawiedliwy i niesprawny. Wymaga zasadniczej reformy. Reformy politycznej. Tego obawia się Centrala i lokalni zarządcy. Starają się nie dopuścić do sformułowania społecznych aspiracji. Boją się utraty pozycji. Wiedzą jednak i oni, że zmiany są niezbędne. Powstaje sytuacja patowa. W Polsce przybrała formę najwyraźniejszą. Dzięki tradycji historycznej społeczeństwo wytworzyło u nas bardziej skuteczne mechanizmy obronne. Istnieje niezawisły Kościół, istnieją ciemieni, lecz mniej niż gdzie indziej podlegli chłopci. Indoktrynacja komunistyczna pozostawiła minimalne ślady, często odmienne od zamierzonych. Być może dotychczasowe rachunki stosunków polsko-rosyjskich powodują, że władcy imperium woleliby nie zaogniać dodatkowo sytuacji. Czyżby 17 września, Katyń, powstanie warszawskie, zabór ziem wschodnich przyczyniły się teraz w pewnym stopniu do zahamowania interwencji?

Ważnym elementem sierpniowego sukcesu był wybór przez społeczeństwo właściwej taktyki, wybór w znacznej mierze intuicyjny. Działano powoli, choć śmiało, z wielu stron, różnymi metodami. W oderwaniu od bezpośredniej styczności z nieprzy-

jacielem. Ten ostatni punkt jest chyba szczególnie ważny. Nie podejmowano pryncypialnych dyskusji o materializmie historycznym, o wolności w marksistowskiej praktyce i tym podobnych zamulających tematów, które zabierają czas i zaśmiecają mózgi. Władze nie potrafiły — nie chciały? — zdusić w porę małego ogniska buntu, gdzieś tam, daleko, na peryferiach oficjalnego życia. Uważano, że zbyt gwałtowna reakcja byłaby przyznaniem przeciwnikowi przesadnego znaczenia. Bano się kroków stanowczych. Naruszona zostałaby równowaga władzy — czyli pustka wokół Gierka, brak konkurentów, bo niebezpieczniejsze jednostki usunął z otoczenia. Odebrał rywalom oręż politycznej argumentacji, wyjąłowił do szczytu ideologię. Zniszczył dotychczasowy podział administracyjny kraju. Pozostał sam z wiernym mu, pozabawionym twarzy aparatem partyjnym — „pragmatycznym”, gdyż lekcewał ideologię i trochę się jej bał, zajmował się bez skrupułów osobistym bogaceniem i baczył, by nie zrodziła się jakaś grupa konkurentów o wyraźniejszym obliczu.

Strategią tego rodzaju elity partyjnej jest kurczowe trzymanie się przywilejów. W razie kryzysu — niemoc podjęcia śmielszych kroków. W sytuacji poważnego napięcia (ale ani odrobiny wcześniej) cofanie się przed społecznym naporem — tylko na tyle, na ile jest to, zdaniem tych ludzi w tej chwili, absolutnie konieczne. Odważniejszy manewr dla zatrzymania kryzysu jest niemożliwy. Ani ku odnowie, bo zmiany odbywają się w sytuacji przyparcia do muru, przy wielokrotnych uprzednich zapewnieniach, że dalsze ustępstwa są zupełnie niemożliwe, że nigdy na to nie pójdziemy, że byłoby to sprzeczne z fundamentami systemu. Ani też jak dotąd nie stać było rządzących na śmielszy manewr przeciw zmianom. Czy zatrzymanie procesów społecznych jest w ogóle możliwe bez obcej interwencji (a nawet przy jej pomocy)? Mam wątpliwości. Mają zapewne w tym względzie wątpliwości ludzie z partyjnego kierownictwa, inaczej „odwrócenie biegu wydarzeń”, zalecane przez Centralę, już by nastąpiło.

Pod koniec rozmowy, która trwała długo, Brzeziński zaproponował, abym go odwiedził raz jeszcze, jeżeli w drodze powrotnej do Warszawy zjawię się w Waszyngtonie. Chciał, abym opowiedział mu wrażenia z podróży po Stanach. Będziemy też mogli wrócić do sytuacji w Polsce. Czas przyniesie odpowiedź na niektóre z naszych pytań. Postawi nas przed nowymi. Wydarzenia polskie, jakkolwiek się potoczą, mają zbyt zasadnicze znaczenie dla przyszłości całej Europy, aby mogły zostać rozstrzygnięte w ciągu paru tygodni czy paru miesięcy.

NATIONAL GALLERY

13 września 1981, Waszyngton

Chciałbym mieć już wolną głowę do oglądania Stanów. Znajduję się w sytuacji wyjątkowo sprzyjającej obejrzeniu tego kraju, perspektyw, jakie rysują się przed Ameryką i przed nami wszystkimi. Socjologiczny, polityczny i duchowy voyeuryzm: chciałbym podejrzeć przyszłość, zwłaszcza w dziedzinie kultury. Stany Zjednoczone są miejscem uprzywilejowanym dla takich obserwacji. Byłoby jednak nienaturalne, gdybym przyglądając się czasowi zapominał o polskim kalendarzu. Niezwyczajna to podróż, ale też i wypadła w niezwykłym czasie.

Spędziłem cały dzień w National Gallery. Dostrzegłem obrazy. Polityka cofnęła się w tło. Nie chciałbym, aby była dla mnie czymś więcej. Odtwarzam etapy rozwoju osobowego i rozwoju całych narodów. Zainteresowanie sztuką przychodzi po pewnym czasie, gdy inne, bardziej pierwotne potrzeby zostaną, przynajmniej w przypadku nielicznych, zaspokojone. Muzea pojawiły się w Stanach dość późno. Młody kontynent i młode państwo miały zrazu inne problemy. Wcześniej jednak Amerykanie zrozumieli potrzebę hierarchii, rozwijania różnych zainteresowań, jeśli nie obecnie, to w przyszłości. John Adams, drugi prezydent Stanów, wyznawał: „Muszę nauczyć się polityki, aby moi synowie mieli swobodę w interesowaniu się filozofią i matematyką. Powinni oni studiować matematykę i filozofię, geografę, historię naturalną, budownictwo, handel i rolnictwo, aby ich synowie mogli studiować malarstwo, poezję, muzykę, architekturę, rzeźbę, wyrób gobelinów i porcelany”.

W takim też porządku, szkicowo mówiąc, rozwijały się zainteresowania Amerykanów. Zostały zaświadczone w samym sercu stolicy, na *Mall*, waszyngtońskich Błoniach. Sztuka polityki, kontrapunkt władzy i kontroli: Senat, Kongres, ministerstwa. Muzea przemysłu, historii naturalnej, najnowszych odkryć w dziedzinie opanowania przestrzeni. Wreszcie wspaniała Galeria Narodowa. Kompleks muzealny i związane z nim instytuty badawcze noszą nazwę Smithsonian Institution. Na cześć pana Smithsona, który nigdy nawet nie był w Ameryce.

Przyszedł na świat jako nieślubny syn jednego z największych magnatów brytyjskich, księcia Northumberland. Otrzymał staranne wykształcenie. Interesował się wieloma dziedzinami nauki. Był członkiem Królewskiego Towarzystwa w Londynie. A jednak

przez całe życie doznawał upokorzeń z powodu bękarciego pochodzenia. Gdy umarł, cały majątek, ponad pół miliona ówczesnych dolarów, zapisał w testamencie młodej republice Stanów Zjednoczonych na „zwiększanie i rozpowszechnianie wiedzy wśród ludzi”. W Senacie wybuchła dyskusja: czy nie jest to poniżej narodowej godności, aby przyjmować jałmużnę od cudzoziemca? Byle zagraniczny włóczęga może pójść w jego ślady i chcieć uwiecznić swoje imię. Legat jednak przyjęto. Postanowiono stworzyć instytucję opiekującą się narodowymi zbiorami. Smithsonian Institution zajmowała się różnymi dziedzinami, ciągle jeszcze nie było w Waszyngtonie dużego muzeum sztuki zachodniej.

Stworzył je Andrew Mellon. Urodził się w bogatej rodzinie. Sam uczynił się jeszcze bogatszym. Zbierał od młodych lat, głównie malarstwo angielskie i holenderskie. Pełnił rozmaite funkcje: był ministrem skarbu, ambasadorem przy dworze Świętego Jakuba. Podczas londyńskiego pobytu stale chodził do tamtejszej National Gallery. To było jego ulubione muzeum, wzór dla jego przyszłej galerii: rozmiar (duży, lecz nie przytłaczający), jakość (tylko najwyższa), rozmieszczenie obrazów (daleko od siebie, szkołami). Na krótko przed drugą wojną światową ofiarował wspaniałe zbiory narodowi. Ofiarował budynek, spokojny, neoklasykistyczny. Ofiarował fundusze na rozwój zbiorów. Zastrzegł, aby galeria nie nosiła imienia Mellona. Zrażałoby to innych mecenasów. Na szeroki gest liczono przy planowaniu muzeum. Ściany czekały na nowe dary.

Niedługo. Wkrótce przyszedł legat Widenerów. Amerykańscy kolekcjonerzy w odróżnieniu od europejskich uważają się tylko za czasowych właścicieli swoich kolekcji. W tym sensie ci arcykapitałiści w podejściu do sztuki kierują się zasadami socjalistycznymi (to tylko gra słowna, bo w socjalizmie ani takie kolekcje, ani takie fundacje nie są prawdopodobne). Tworzą nowe muzea, bądź zapisują majątek już istniejącym. Zbiory powstają w ciągu jednej generacji. Widenerowie stanowią wyjątek. Ojciec i syn byli zbieraczami. Kupowali głównie w Anglii. Tytjany i Van Dycki sprzedawane przez brytyjskich lordów przenosiły się za ocean. Ozdobą kolekcji Widenerów są niektóre spośród najpiękniejszych Rembrandtów.

Przychodzę do tej sali obejrzeć *Kobietę z wachlarzem ze strusich piór*, przyjrzeć się *Lukrecji*, ale najdłużej siadam przed *Młynem*. Dramatyczny krajobraz, gra ciemnego światła, wpisane w naturę ludzkie sylwetki. Generacje angielskich malarzy były zafascynowane tym obrazem. Bode, dyrektor muzeum berlińskie-

go, jeden z najlepszych znawców sztuki, widział w krajobrazie Rembrandta jego najdoskonalsze dzieło. Odwiedzał filadelfijskie zbiory Widenerów dla tego płótna. A jakie ja sobie wybieram? W bliskich mi muzeach zawsze mam swoich faworytów. National Gallery ukazuje obrazy o wyjątkowo wyrównanym wysokim poziomie. Czuję się trochę jak na kartach podręcznika historii sztuki. Dostrzegam dzieła doskonale reprezentatywne, ale brak mi osobowości zbieraczy odbitych w wybranych obrazach. Brak mi dzieł, jakich nie mógłbym zobaczyć nigdzie indziej.

Jestem niesprawiedliwy, przyznaję. Przecież sala Rafaelów jest niezwykła. Nie tylko *Madonna Alba*, o której zniknięciu z Ermitażu Mandelsztam napisał przejmujący wiersz. Na sąsiedniej ścianie *Ukrzyżowanie* Perugina, może najpiękniejsze jego płótno. Kontrast między tragiczną treścią a rozległością i spokojem krajobrazu. W pobliskiej sali *Dawid* Andrea da Castagno. Jakże niewiele jego dzieł dotrwało do naszych czasów. *Dawid* jest jedyny w swoim rodzaju. Skórzana tarcza, symbol młodej, zwycięskiej republiki florenckiej. Moja wybrana sala malarstwa włoskiego to ta, w której Leonardowskiej *Ginevrze de' Benci* towarzyszą wizerunki młodzieńców. Botticelli, Pinturicchio, Lorenzo di Credi i najpiękniejsza twarz, niepokojąca, pewna siebie, obdarzona całym wdziękiem, cynizmem, naiwnością i uporem młodości — bądź przeze mnie nimi obdarzana. Kto namalował te doskonałe rysy? Specjaliści wskazują ostatnio na Filippina Lippi. Niegdyś uważano, że to obraz Botticellego. Atrybucja jest trudna (a dla mnie nie najważniejsza), bo waszyngtoński młodzieniec jest jakby idealnym portretem renesansowego efeba. Może nie powinniśmy znać ani imienia modela, ani artysty. To epoka zatrzymała się na jednej konkretnej twarzy. Moja wizja epoki.

Ku innej sali skierowałem pierwsze kroki w National Gallery. Powracam do niej za każdą wizytą. Sala Vermeerów. Mały pokój. Trzy lata temu zdobył go dodatkowo najnowszy nabytek, *Pokutująca Magdalena* La Toura. Teraz przeniesiono go w inne sąsiedztwo. Przychodziłem z obawą. Czy znane z reprodukcji dzieła zachowają dar fascynacji? Nie przyniosły rozczarowania. Stojąc przed czterema Vermeerami można wybierać ulubione, wahać się, zmieniać zdanie. Nie ma jednak wątpliwości, które są najdziwniejsze. Dwa z nich to „klasyczne” Vermeery, ale dwa pozostałe zdumiewają. Niewielkie portrety kobiece. Żółty przedstawia dziewczynę o rysach wschodnich (Chinka?), a zarazem jakby znanych z innych obrazów Vermeera. Czerwony ukazuje

kobietę w pięknym kapeluszu. Skrótowość kompozycji, odważna gra światła. Z jakiej ten obraz jest epoki? Czy dama siedzi w łoży Degasa? Czy ujrzał ją Vermeer oczami Renoira (ale bez impresjonistycznych tricków)? Czy nagle spłynął geniusz na jakiegoś Fantin-Latoura i namalował arcydzieło? Tak widziałbym Oriane de Guermantes; przyszła na przedstawienie *Fedry*, ale nie słucha Bermy, żyje dla siebie. Upewniłem się, czy Van Meegeren bądź inny mistrz fałszerstwa nie przyłożył ręki do tych portretów, zmysłowo konkretnych, lecz nie mieszczących się w chronologii. Nie, oba obrazy mają zaświadczoną historię sprzed pojawienia się vermeerowskiej manii i naśladowców jego sztuki.

ARCHITEKTURA CHICAGO

15 września 1981, Chicago

Lot z Waszyngtonu trwał krótko. Ledwie zdążyłem przejrzeć prospekty, a już lądowanie. Niezwykle efektowne. Siatka pulsującego światła. Iluminacja arterii przelotowych jako ramy. Światła domów i mniejszych ulic, błyski samochodów. Miasto przypomina olbrzymią tablicę rozdzielczą, a samo centrum skomplikowaną formację skalną, którą ruchy tektoniczne wyrzuciły ku górze z płaskiego otoczenia.

Chicago leży nad Wielką Wodą. Szarobłękitna przestrzeń nosi nazwę jezioro Michigan, ale naprawdę jest rozległa jak morze. Do jeziora-morza wpada rzeka, przecina miasto, rwie schemat ulic. Brzeg wodnego basenu jest także urozmaicony. Dzięki temu śródmieście Chicago nie jest jedynie układem prostokątów. Woda wdiera się do środka, łamie monotonię, otwiera perspektywę, pozwala oglądać budowle z wielu punktów widzenia.

Chicago to podręcznik nowoczesnej architektury. Spacer po centralnej Michigan Avenue i jej okolicach stanowi lekcję stylów. Miasto rozwijało się wraz z rozwojem kolei. W 1830 roku było nawet nie wioską, lecz osadą z pięćdziesięcioma mieszkańcami. W 1870 miało trzysta tysięcy ludności. W 1871 zdarzyło się nieszczęście. Wieczorem 8 października w małej stodole zaproszył się ogień. Zabudowania Chicago były w olbrzymiej większości drewniane. Od tygodni panowała susza. Ogień rozniósł się błyskawicznie. Pożar trwał parę dni. Jedna trzecia miasta legła

w zgłiszczach. Kataklyzm nie zatrzymał rozwoju. Stworzył otwarte pole dla szerszej aktywności. Budowano jeszcze więcej. W 1890 miasto przekroczyło milion mieszkańców.

W Chicago pojawiły się wyjątkowe możliwości i wyjątkowi architekci. Były to czasy rewolucji technicznej. Żelazne konstrukcje pozwalały budować wyżej. Ale w architekturze były to czasy eklektyzmu, historycznych stylów. Ciężkie fasady ugięły się od ozdób. Szkoła chicagowska dokonała przełomu. Jej twórcy starali się dać najprostsze odpowiedzi na problemy postawione przez nowe techniki. Dzisiejsze drapacze można więc uznać za konsekwencję tych przemian? To uproszczenie. W szkole chicagowskiej od początku współwystępowały dwie tendencje. Z jednej strony podejście pragmatyczne, poszukiwanie form najbardziej odpowiednich do pełnienia zadanych funkcji przy istniejących możliwościach konstrukcyjnych. Z drugiej strony wysiłek znalezienia indywidualnego wyrazu, formy bardziej plastyczne i rzeźbiarskie, zaakcentowany ruch brył. Nawet znany apostoł prostoty Mies van der Rohe mawiał, że Bóg kryje się w szczegółach.

Jakiś egzaltowany Amerykanin napisał, że Chicago jest tym dla nowoczesnej architektury, czym dla renesansowej Florencja, a dla gotyckiej katedry Ile-de-France. Zapewne przesada. A może? Kiedy szedłem wieczorem po Michigan Avenue, oglądałem klarowność konstrukcji Auditorium Sullivana i budowli pokrewnych. Czyżby to pałac Strozziów naszej epoki: miarowość podziału, potęga gmachu, zrównoważona harmonia i prostota formy? Projekty Sullivana przynoszą właściwą interpretację jego słynnych słów, cytowanych nieraz bez zrozumienia: „forma wynika z funkcji”. Nie oznacza to, że problemy formy powinny zniknąć, zostawić wolne pole czysto funkcjonalnym rozwiązaniom. Problemy formy zawsze będą istniały. Architektura uczy szukania najlepszych rozwiązań formalnych dla danych funkcji. Środki techniczne są zmienne. Architekci chicagowscy uczyli, jak posługiwać się współczesną techniką.

Tak zwana pierwsza szkoła chicagowska rozwijała się na przełomie wieku. Potem rozmach nowatorski zamarł. Nadal budowano dużo i ambitnie, lecz w innym stylu. Świadectwem zmiany jest drapacz Chicago Tribune. Kiedy ogłoszono w latach dwudziestych konkurs na nową siedzibę pisma, przysłyły projekty z całego świata. Także skrajnie nowoczesne od Waltera Gropiusa i kręgu Bauhausu. Projekty amerykańskie były wariacjami na temat historyczne. Splatano elementy egipskie,

greckie, rzymskie, renesansowe, barokowe w różnych proporcjach. Wygrała wysoka wieża o gotyckim zwieńczeniu. Drapacz zbudowano w oparciu o nowoczesną stalową konstrukcję, ale ukryto ją pod kamienną elewacją z bogatymi ozdobami.

Pod koniec lat trzydziestych nastąpił powrót do funkcjonalizmu. W dużej mierze pod wpływem europejskich architektów, którzy nawiązali do prawie zapomnianych chicagowskich tradycji prostoty. Mistrzem drugiej szkoły był Mies van der Rohe. Stworzył model surowych sześcianów pnących się pod niebo. Coraz wyżej i wyżej. Ostatnim rekordem jest Sears Tower, najwyższy budynek świata. Gdy stanąć pod ścianą i spojrzeć w górę, rzeczywiście przyprawia o zawrót głowy. Perspektywa z ostatniego piętra jest wspaniała. Także dlatego, że nie widać Sears Tower. Nie spodobał mi się ten drapacz. Daleko mu do majestatyczności Empire State Building i prostoty World Trade Center. Wiązka sześcianów, zespojonych przypadkowo ze sobą, wznoszących się do różnych wysokości. Ze szczytu obserwować można splendor chicagowskich wieżowców i bezkresne płaszczyzny miasta. Tuż koło budynku, na wschodzie, ślimakowate bezkolizyjne skrzyżowanie najważniejszych autostrad. Serce ożywiające gąszcz pulsujących komórek świetlnych. Ślimacznice rytmicznie pompowały samochody, rozdzielały wedle potrzeb, pozwalały szybko dotrzeć do dalekich zakątków. Już po zapadnięciu zmroku patrzyłem jak zahipnotyzowany na rytmiczny ruch metropolii: miasto oczyszczało się, karmiło, programowało.

Raz jeszcze poszedłem Michigan Avenue ku północnej stronie. Widziałem ją w dzień. W nocy architektura nabierała nowego wyrazu. Rzeka Chicago rozbija kanciastą monotonię zabudowy. Otwiera zaskakujące perspektywy. Tego brakowało mi w Nowym Jorku. Nad wodą sąsiadują budynki z różnych epok. Stare drapacze, niegdyś podniebne, nadal godnie się wpisują w lustrzane ściany dzisiejszych wieżowców. Nie zawsze monottonnych. Symbolem nowego Chicago są dla mnie bliźniacze wieże Marina City. W dużym stopniu stanowią zaprzeczenie Miesowskiej tradycji spokojnych prostokątów. Dwa cylindry, półkoliste linie loggii. Na dolnych piętrach, bez ścian bocznych, mieszczą się garaże. Prześwietlające kondygnacje nadają budowli lekkości. Marina City to cały kombinat. Nie wychodząc z gmachu można pójść do restauracji, do baru, do kina, podjąć pieniądze z banku, nawet wsiąść do motorówki, bo na samym dole znajduje się przystań. Wszystko w śródmieściu. Odrodzenie baroku u końca dwudziestego wieku? To jest budynek funkcjonalny, nie ma

w sobie nic w mrowiskowca. Marina City stanowi interesujący eksperyment. Ważny nie tylko dla Chicago. Sześcianny znużyły się wszędzie. Może projekty takie jak Marina City znaczą drogę wyjścia, nową drogę architektury? Może kiedyś w pracach na temat trzeciej szkoły chicagowskiej Marina City zostanie uznana za realizację prekursorską?

OBRAZY PRZEDE MNĄ I ZA MNĄ

17 września 1981, Chicago

Siedzę przed *La Grande Jatte* Seurat w Art Institute. Tutejsze zbiory impresjonistów należą do najwspanialszych na świecie. Ich ozdobą jest obraz Seurata. Zanim doszedłem do pointylistycznych sublimacji, oglądałem sale Renoirów, *Lilie wodne* i *Stogi* Moneta, dziwne kompozycje Maneta, baletnice Degas, jabłko Cézanne'a. Jest coś wspaniale ulotnego w urodzie tych płócien. Wirujące przed oczami obrazy światła. Zmęczyłem się nadmiarem wdzięku i lekkości. Chwila wytchnienia w podróży. Czeka mnie jeszcze wiele obrazów. Usiadłem przed *la Grande Jatte*.

Sledziłem linie płótna. Przyglądałem się twarzom zwiedzających. Przed zmęczonymi oczyma pojawiły się nagle inne obrazy. Wybiły się z jasnych arabesk prawem kontrastu? Ktoś to kiedyś, mam nadzieję, opíše. Ja nie potrafię i nie chcę. Muszę jednak zaznaczyć tło moich amerykańskich wędrówek. Kilka tygodni temu spędziłem noc w kolejce do Supersamu, aby wykupić kartki (ufam, że niedługo to zdanie będzie dla mnie równie niezrozumiałe jak dla ludzi żyjących w cywilizowanym świecie). Naprzeciw wił się inny wąż, ogonek po jakiejś herbatniki. Nagła myśl: co będzie, jeżeli obie kolejki się szczipią? Nikt ich nie zdoła rozłączyć. Ideał społeczeństwa kolejkowego, najwyższego znanego nam stadium socjalizmu.

Znanego nam. Inni, wiem o tym, poznali stadia wyższe: byli ukraińscy chłopcy, mieszkańcy byłych miast Kambodży. Zryw wolności i prawdy w Polsce odsłonił skrywane dotąd braki. Nie ma książek i pasty do zębów, mieszkań i mięsa. Zmieniła się taktyka władz. Nie mówią, że właściwie wszystkiego jest w bród, pojawiły się tylko przejściowe trudności. Nie, obecnie mówią,

że butów brakuje, a w przyszłości będzie gorzej, może za parę lat... Jednocześnie sprzeciwiają się wszelkim reformom, bo mogłyby ograniczyć ich władzę, musiałyby ją ograniczyć. Ludzie stoją więc w kolejkach, po wszystko. Także po to, aby wyjechać z kraju, uciec choćby na chwilę od szalonej ekonomii, od kłamstw i ograniczeń. Zachodnie placówki dyplomatyczne są dosłownie obłożone. Na wizę niemiecką trzeba czekać trzy dni w kolejce (która rośnie szybciej niż możliwości techniczne konsulatu).

Inne systemy mają wmontowane mechanizmy obronne przeciw szaleństwu: honor, religia, pieniądz. Czasem te mechanizmy, jeżeli nie zrównoważone i nie skontrolowane, same przemieniają się w zdegenerowane formy — fanatycznej religii, samobójczego honoru, pieniądza przebóstwionego. W komunistycznym totalizmie nie ma tych zabezpieczeń. Rzeczywistość zostaje ukryta. Między aspiracjami władców a prawami obywateli otwiera się przepaść. W Kambodży zobaczyliśmy działanie niczym nie wstrzymywanych mechanizmów kolektywizacji. Dotychczasowa historia Rosji Sowieckiej może być opisana (zrobił to Alain Besançon) jako powtarzający się rytm ideologicznych napadów szaleństwa, które prowadziły do unicestwienia tkanki społecznej, oraz momentów otrzeźwienia, które sprzyjały leczeniu ran. Oba momenty cyklu są niebezpieczne dla rządzących: pierwszy, bo grozi, że zlikwiduje poddanych i nie będzie kim rządzić, drugi, bo grozi, że poddani nabiorą siły i zechcą zrzucić pęta.

W Polsce zbliżyliśmy się do drugiego momentu, momentu prawdy. Jeszcze pęta narzucone społecznemu życiu istnieją, ale już wolno o nich mówić. Już wszyscy je dostrzegają. Zobaczyć szaleństwo to początek ozdrowienia. Jak można nie zauważyć pokrywającego kraj węża kolejek? Jak można być głuchym na kłamstwo lejące się codziennie z telewizji?

Obrazy, które zostawiłem w Polsce, nie pozwalają o sobie zapomnieć. Pamiętam o społecznej degradacji. Widzę jej źródła. I nie jestem sam. Miliony dostrzegają to samo. Mówią o tym samym. Mam po raz pierwszy tak ostre poczucie wspólnoty pragnień i celów. Ale szaleństwo wciąż się czai.

Niedawne przemówienie Rakowskiego było sygnałem ostrzegawczym. „Pamiętajcie, że jesteście nasi. Mamy nad wami władzę. Nie zamierzamy jej oddać, choćby kraj zmierzał do katastrofy. Nikt nam nie odbierze monopolu”. Monopol został już odebrany. Teraz tylko stworzyć instytucjonalne bariery szaleństwu, zalegalizować społeczną otwartość.

YELLOWSTONE NATIONAL PARK

20 września 1981, Jackson Hole, Wyoming

Nie mogę narzekać na brak wrażeń. Kiedy przekroczyłem Góry Skaliste, dopadła mnie natura. Nie od razu. W Chicago kupiłem gazetę z wiadomościami o nowych presjach rosyjskich na Polskę. Miałem lecieć do Bozeman, Montana, z przesiadką w Denver, Colorado, u podnóża Gór Skalistych. Lot skończył się dość szybko. Wyglądałem gór, nie mogłem ich dostrzec. Wszyscy wysiadają. Ja też. Zgłosiłem się na szczęście od razu do *Frontier Airlines*, które miały mnie przewieźć z Denver do Bozeman. Podałem bilet. „Musisz Pan dolecieć do Denver”. — „Przecież jestem w Denver, a chcę do Bozeman”. — „Jeszcze nie jest Pan w Denver”. — „To gdzie jestem?”. — „W Lincoln”. — „Gdzie jest Lincoln?”. — „W Nebrasce”.

Nie pytałem, gdzie jest Nebrasca. Okazało się, że wysiadłem za wcześnie. Samolot jeszcze nie odleciał. Tym razem dotarłem do Denver. Stamtąd do Bozeman w Montanie.

Dewiza stanu brzmi „Wielkie niebo”. Tak jest. Horyzont wydaje się ogromny. Słońce świeci mocno. Łagodne linie brązowych wzgórz otwierają dalekie perspektywy. Znalazłem się szybko w hotelu przywieziony przez gościnną opiekunkę, panią Bushing. Zaproponowała, abym wypoczął, popływał w basenie, jej mąż przyjedzie po mnie o szóstej. Czas spędziłem przed telewizorem. Była to pora wiadomości. Czekałem z niepokojem na informacje z Polski. Chciałem dowiedzieć się szczegółów o liście przywódców sowieckich żądających od polskiej partii ukrócenia działań Solidarności. Nie wspomiano już, choćby dla pozorów, że Polacy mają się sami uporać ze swoimi trudnościami. „To są problemy całej wspólnoty. Możecie na nas liczyć. Udzielimy wam pomocy”. Po raz pierwszy otwarcie zabrzmiał ten język. W telewizji pokazano migawki z kongresu Solidarności, niedawne spotkanie na Kremlu Kani i Jaruzelskiego z przywódcami sowieckimi, a także masówki w Moskwie, Kijowie i Budapeszcie — spędzeni robotnicy protestowali przeciw deklaracji Solidarności popierającej wolne związki zawodowe w innych demoludach. Mieli tak znudzone miny, że dodało mi to trochę otuchy.

U państwa Bushing pytano mnie o polską sytuację. Oprócz pana domu, wykładającego na tutejszym uniwersytecie problem „komunikacji w małżeństwie”, było jeszcze dwóch profesorów

socjologii. Gospodarze wypowiadali się skrajnie krytycznie o polityce społecznej Reagana, prorokując bliską katastrofę ekonomiczną. Nazajutrz rano wyjechaliśmy do Yellowstone. Bozeman jest najbliższą miejscowością przy tym parku narodowym, dlatego chciałem tu przyjechać, nigdy przedtem o Bozeman nie słyszałem (i czułem się trochę jak odkrywca). Państwo Bushing kilkakrotnie wspominali, że Europejczycy nie wyobrażają sobie amerykańskich odległości i że trzeba się przygotować na dłuższą wycieczkę. Jako stary Amerykanin ze zrozumieniem kiwałem głową. Mnie to nie dotyczy. Pamiętam przecież naszą wyprawę z Teksasu do Kalifornii za pierwszym pobytom w Stanach. Codziennie robiliśmy odległości większe niż z Warszawy do Budapesztu. I tak przez kilkanaście dni. Nie zaimponują mi przejażdżką po parku.

Zaimponowali. Przemierzaliśmy tego dnia ponad 300 mil i zobaczyliśmy tylko fragment wielkiego rezerwatu przyrody. To pierwszy park narodowy na świecie. Najpierw nic nie zapowiadało sensacji. Wzgórza przypominające Karpaty, łagodne, zielone. Wkrótce pierwsza niespodzianka. Stawy spowite parą. To źródła wrzącej wody. Ściekając tworzą wielobarwne wzory — fauna i flora wywołana niezwykle temperaturą. Nagły powiew wiatru przykrył nas mgłą. Nie widziałem nic na krok. Po chwili odsłaniały się pstrokate, gwałtowne obrazy: rdzawe brązy, ciemnobotelkowe zielenie, farba kładziona grubo, szerokimi, śmiałymi maźnięciami. Jak u Fautriera.

Te obrazy bywają groźne. Wolno poruszać się tylko po drewnianych kładkach. Wrzące błoto potrafi wciągnąć zbyt ciekawych. Bardziej dramatyczny widok to Błotny Wulkan, buzująca ciemnoszara masa. W pobliżu Paszcza Smoka, z której wydostawał się gęsty dym. Czasem dusiły ostre wyziewy siarki. Krajobraz piekielny. Znowu zmiana dekoracji. Pastelowe nawarstwienia minerałów, wapienne tarasy tworzące wyszukaną arabeskę. Natura ożywała. Przyjmowała w siebie kolory, zapachy, dźwięki, atakowała zmysły. Nie dziwiłem się niczemu. Wszystko tu jest niezwykle i wszystko naturalne. Jakim jeszcze doświadczeniem poddany zostanie dookolny świat? Nie zdziwiłbym się, gdyby między wulkanem a gejzerem pani Bushing uniosła się w powietrze tłumaczka, że to jedna z oryginalności Yellowstone.

Po kilku godzinach dotarliśmy do Wielkiego Kanionu. Tak, jest i tutaj. Bardziej kameralny niż kanion Colorado. Opatrzony dodatkowo imponującym wodospadem. Skały przebierały się w najróżniejsze kształty i barwy. Jest taki punkt po drodze (nazywa się *Inspiration Point*), z którego roztacza się widok w dwie

strony: na wodospad, białą parę i ciemne skały z jednej, oraz na zwaliska o wymyślnych żółciach i seledynach. Dlaczego natura czasem przynosi to dziwne uspokojenie i skoncentrowanie energii? Gdzie biją wówczas źródła jej mocy? Dobrze, przyjmijmy śmieszne wyzwanie: dlaczego i do czego rodzić się tu ma inspiracja? Gdzie? Na skałach pokrytych jakąś substancją? W moich reakcjach? W nastawieniu przygotowanym przez mody epoki? Jeżeli podróże są dla mnie ważne, to dlatego zapewne, że potrzebuję świata zewnętrznego jako odnowienia i umocnienia. Powinien zaskakiwać, ale nie za bardzo, przypominać, lecz nie natrętnie.

Powinien odnawiać widzenie. Czy takim widokiem jest najbardziej znany wybryk natury w Yellowstone, symbol parku *Old Faithful* (Stary Wiarus — tłumaczyłem nietrafnie)? Nie jest to największy gejzer, lecz najbardziej regularny. Wokół ławki dla widzów. Zbliżał się wyznaczony czas. Woda wystrzeliła do góry na parę metrów. To wszystko? Czyżby jednak *Old Faithful* zawiódł? Ludzie zaczęli się rozchodzić. Wtem wytrysnął wspaniały biały pióropusz. Na kilkadziesiąt metrów. Lekko się obniżył. Nowe sprężenie energii. Wystrzał jeszcze wyższy, jeszcze i jeszcze. Tak co godzina. Od odkrycia parku w zeszłym stuleciu. Jakie są tego przyczyny? Jakies na pewno. Czytałem broszury. Oglądałem wykresy. Istnieją różne hipotezy. Nie pamiętam jakie. Dla mnie pozostał to widok niezwykły, tajemnica odradzającej się mocy. Woda fascynowała mnie zawsze. Co dopiero woda tak niezależna i tak podległa regułom.

Wieczorem jechaliśmy wzdłuż płaskiego krajobrazu. W lesie za nami pozostały ukryte dziwactwa natury. Za rzeką mignęło stado łosi. Byłem zmęczony wędrówką po wrażeniach. Za dużo. Za dużo? Przestałem czuć zmęczenie, gdy po którymś zakręcie na horyzoncie ukazał się majestatyczny łańcuch górski. Wyrastał prosto z płaskiego otoczenia, bez żadnego przygotowania, żadnych pagórków. Jakby w środku niziny mazowieckiej wystrzeliły nie Tatry nawet, lecz Alpy. Zapadał zmrok. Na szafirowym tle czarny masyw skalny rysował się ze szczególnym dostojeniem. To była sama esencja gór. Gdzie indziej szczyty odsłaniają się powoli. *Grand Teton* wydaje się postawiony z nieba, bądź wyrzucony nagle z otchłani na świadectwo tellurycznych mocy. Wzdłuż naszej drogi przesuwiała się panorama przywodząca splendorem na myśl Dolinę Śmierci. Ale otwarta. Nie czułem się schwytny przez skalne korony.

Nocą dotarliśmy do Jackson Hole. Centrum sportowe. Schroniska i hotele. W czasie kolacji przebiegały mi przed oczyma

kolory, formacje geologiczne, obrazy, obrazy, obrazy. Zasnąłem natychmiast. Rano wyjechałem kolejką linową na Szczyt Spotkań (*Rendez-Vous Peak*), dobrze ponad trzy tysiące metrów. Brązowa ziemia i trochę kosodrzewiny. Widoki na kotlinę i dalsze szczyty. Powietrze lekkie, przejrzyste. Oddaliłem się od stacji. Byłem sam. Spotkania nastąpiły. Odbyłem kilka ważnych rozmów. Dyskutowałem z Sołżenicynem. Pojawili się jacyś politycy. Krótka wymiana zdań z Gombrowiczem, który niepostrzeżenie przeszedł w Miłosza. Po to przyjeżdżałem do Stanów, spacerowałem po piarzystych urwiskach? Także po to.

MORMONI

21 września 1981, *Salt Lake City*

W Jackson Hole pożegnałem państwa Bushing na małym lotnisku wśród zielonej trawy. Obok pole golfowe, w tle masywy gór. Słoneczna przestrzenność amerykańskiego Zachodu. Leciąłem nad stalowymi i brązowymi wzgórzami. Ani śladu człowieka, czasem tylko stado owiec. Na lotnisko w Salt Lake City, stolicy stanu Utah, przybyłem o zmierzchu. Kotlina skąpana w rozgrzanej czerwieni. Na horyzoncie nowy łańcuch górski. Trafiłem do hotelu w samym centrum, przy Temple Square. Oglądałem mapy, prospekty. Już po ciemku wyszedłem na spacer. Udałem się na Plac Świątyni.

Bez przekonania wybrałem Salt Lake City jako jeden z punktów amerykańskiej wędrowki. Chciałem zobaczyć stan mormonów. Do niedawna nie podawano tu w publicznych miejscach kawy i herbaty, a samoloty przelatujące nad Utah wstrzymywały sprzedaż drinków. Egzotyka teokracji? O samych mormonach wiedziałem niewiele. Jak wszyscy, słyszałem o niegdysiejszej poligamii, o różnych zakazach i obowiązkach. Nie spodziewałem się, że będzie to może najciekawszy moment podróży. Zobaczyłem rzeczy nowe, a zarazem zrozumiałe. Bliskie mi pojęcia i doświadczenia ujmowane były w odmiennym świetle. Wrażenia zmuszały do zmiany pewnych sądów, do umocnienia innych. Gdzie się znalazłem? W Ameryce początku dziewiętnastego wieku? W krajach Północnej Europy po zwycięstwie reformacji? Wśród jednej z sekt Azji Mniejszej u świtu naszej ery? Odległość od Chicago i Nowego Jorku wydawała się nieskończona, nie tylko w przestrzeni, lecz i w czasie. A jednocześnie byłem w ultrano-

woczesnych Stanach, w ich części znakomicie zorganizowanej, funkcjonującej z wielu punktów widzenia lepiej niż inne.

Znalazłem się na Temple Square. Najpierw dotarły do mnie wrażenia fizyczne. Było gorąco, lecz znośnie. Powietrze suche. Plac Świątyni jest religijnym ogrodem. Znalazłem się wśród pachnących kwiatów, delikatnie iluminowanych fontann, szmerzących parterów wodnych. Wśród nich oświetlone okna budynków. Tu mieszczą się ośrodki informacyjne, tu przyjmuje się do późna w nocy zwiedzających. Za porośniętym roślinnością murem rozjaśnione reflektorami wieże Świątyni. Tylko wierni synowie Kościoła mormońskiego mają prawo wstępu do tej budowli. Dla innych przeznaczone są ośrodki informacyjne. To niedokładna nazwa. Całkowicie przeszklony półkolisty gmach. Wewnątrz rotundy olbrzymia reprodukcja statuy Chrystusa dłuta Thorvaldsena na tle mapy świata. Wzdłuż ścian sceny ze Starego Testamentu, z życia Jezusa, z Księgi Mormona. Otwierają się drzwi jak do teatru. Wchodzimy z przewodnikiem. Drzwi zamykają się automatycznie. Ciemno. Podnosi się kurtyna. Za szkłem las klonowy, opadłe liście. Doskonała robota dekoratorska. Pośrodku klęczy młodzieniec. Reflektor rzuca na niego wiązkę światła. Figura zaczyna się ruszać. To podobizna Josepha Smitha, proroka Kościoła mormońskiego.

Opowiada o dziejach swego objawienia. Po piętnastu minutach reflektor gaśnie. Kurtyna opada. Robi się ciemno. Zapalają się światła. Drzwi się otwierają. Przechodzimy do następnej sali. Znowu zapadają ciemności. Rozbłyskuje reflektor. Kolejna scena z życia proroka.

Dużo zależy od nastroju. Dziedziniec-ogród dobrze mnie przygotował do oglądania ośrodka informacji.

Na terenie Temple Square przebywa od rana do wieczora kilkudziesięciu przewodników-misjonarzy. Oprawdają i wyjaśniają. Czasem bywają natarczywi w swoim prozelityzmie. Zobaczywszy moje zainteresowanie zajął się mną starszy mormon. Wyjaśniał ich koncepcje chrztu. Argumentował cytatami z Pisma. Nie wdawałem się w dyskusję. Byłem zmęczony. Oczy mi się kleiły po całodziennym podróży. Nie chciałem nieuwagą dotknąć religijnej wrażliwości. Starłem się jak najwięcej zanotować w pamięci. Czułem się wyniesiony poza czas, w inny wymiar — polityczny, duchowy, społeczny.

Wróciłem jeszcze kilka razy na Temple Square. Przyglądałem się niezwykleму złączeniu głębokiej religijności i zmysłu propagandy. Kto chciałby sobie choćby w przybliżeniu wyobrazić

atmosferę Salt Lake City i Placu Świątyni, powinien wziąć krajobraz jak z westernów, potężne góry na horyzoncie i szerokie niebo nad głową, wpleść w tę naturę żarliwość religijną jakby z wczesnych zakonów kontemplacyjnych, zorganizować całość wedle reguł nowoczesnego biznesu i propagować ten model kościoła, społeczeństwa, jednostki z techniczną wirtuozerią Disneylandu. Patrzyłem zafascynowany. Nie zamierzam się przenieść do Utah, nie chciałbym żyć pod taką presją religijnych instytucji, ale podróży nie żałuję. Oglądając mormonów można się nauczyć wiele o naszych przeświadczeniach, o tkance naszego życia duchowego i społecznego.

W ciągu krótkiego pobytu niezczędzono mi niespodzianek. Prosiłem o poznanie jakiegoś intelektualisty mormońskiego. Zostałem zaproszony na lunch przez redaktora poczytnego miesięcznika. Opowiadał o organizacji kościoła. Trudno mi było z początku słuchać. Zaprosił mnie do irańskiej restauracji. Powiedział, bym się przyjrzał oryginalnej architekturze. Rzeczywiście dziwna. Wyjaśnił, że lokal mieści się w synagodze, doskonale zachowanej. Gmina żydowska wybudowała piękniejszy gmach pięć lat temu. Dawny sprzedała. Mój mormon dziwił się, że się dziwiłem. Uważał za normalne, że opowiada mi o problemach wspólnoty mormońskiej w irańskiej restauracji będącej nie tak dawno synagogą.

Inny działacz mormoński obwiał mnie po okolicach Salt Lake City. O dwadzieścia minut jazdy znajdują się niewiarygodne tereny narciarskie. Patrzyłem z zawiścią myśląc o jedynej kolejce linowej w Polsce, wybudowanej ponad czterdzieści lat temu. Nie tylko przyrodę przyjechałem tu oglądać. W pewnym momencie wiodąca wśród skał droga ulega rozdzieleniu. Główny szlak kieruje dalej ku przełęczy. Odnoga prowadzi trochę wzwyż, w środek granitowej ściany. Zatrzymujemy się przed bramą. Dalej nie ma wstępu. To tu.

To tu mieści się największy na świecie zbiór mikrofilmów dotyczących genealogii. Atomoodporny schron, specjalne studnie, wentylacja, laboratorium. Jeżeli kataklizm zniszczy wszystkie biblioteki ziemi, ta, skryta w skalnym bunkrze, pozostanie. Zachowa się pamięć o przodkach, pamięć ludzkości. Dlaczego tu, w Granitowych Górach, wykuto tę przedziwną bibliotekę, spełnione marzenia Jules Verne'a? Otóż mormoni wierzą w świętość życia rodzinnego. Po ziemskiej śmierci odnajdziemy się w gronie najbliższych. My? Ci, którzy zostali prawdziwie ochrzczeni. Po odejściu apostołów przerwana została sukcesja.

Nastały wieki apostazji. Dopiero Joseph Smith otrzymał od Pana i Jana Chrzciciela prawo udzielania życiodajnego sakramentu. A przodkowie dzisiejszych mormonów, przodkowie Proroka? Czy nie stawia się na rodzinne spotkanie, tam, w górze? Tak, jeżeli zostaną przez swych wiernych potomków ochrzczeni. Dlatego każdy mormon ma obowiązek badania swego drzewa genealogicznego tak daleko w przeszłość, jak tylko możliwe. Dlatego w Salt Lake City, w kilkudziesięciopiętrowym wieżowcu zgromadzono najbogatszą dokumentację genealogiczną: księgi cywilne i parafialne z całego świata, publikacje heraldyczne, nekrologi, wszystko, co może naprowadzić na trop przodków. Bibliotekę podzielono na działy: poszczególne stany, Ameryka Południowa, Europa, Azja. Skierowałem się od razu do polskiego poddziału, dokumenty parafialne, przewodniki geograficzne, księgi cechowe, herbarze, słowniki biograficzne, książki znane i takie, o których istnieniu nigdy nie słyszałem. Indeksy, indeksy, indeksy, jakby wielki spis ludności całego świata i wszystkich czasów.

Dobrze zorganizowana informacja. Mormoni przyjeżdżają tu zewsząd. W ciągu kilkunastu dni starają się przy fachowej pomocy odszukać przodków, aby później dokonać uroczystego Chrztu Umarłych. Pierwsze kroki kierują ku Międzynarodowej Kartotece Genealogicznej: lista ponad 55 milionów nazwisk z wielu krajów. Nie zdołałem dokładnie uchwycić kryteriów, jakimi kierowano się przy kompletowaniu tego spisu. Tylko mormoni? Tylko nazwiska poszukiwane przez wiernych bądź przez nich sprawdzone? Strach pomyśleć o eschatologicznych konsekwencjach pomyłki, by nie wspomnieć o możliwościach religijnego sabotażu, wypływającej z heretyckiego fanatyzmu dywersji antygenealogicznej. Spojrzałem pod Karpiński. Jedna rodzina czeska, jedna niemiecka. Obejrzałem wielkie polskie rody. Zacząłem wedle rangi od Radziwiłłów. Kilka kartek o nieznaney mi gałęzi bodajże niemieckiej. Potoccy i Zamoyscy także przedziwnie reprezentowani. Przerzuciłem się na inne kraje. Przeszedłem do innych sal. Znalazłem *Armorial de la noblesse polonaise titrée* Szymona Konarskiego i sporządzoną przez niego emigracyjną *Liber chamorum*, wyliczenie Polaków powołujących się na rzekome tytuły. Nie sprawdziłem, czy znalazło się tam miejsce dla Gombrowicza, który sam w *Dziennikach* wyznawał, że ogłosił się w Buenos Aires hrabią.

Nie takich książek szukają tu mormoni. Dla nich genealogia jest kwestią zbawienia, sprawą rzeczywiście ostateczną. Los ich najbliższych jest w ich rękach, na kartach tych książek, w

hieroglifach tych dokumentów. A gdyby zginęły? Gdyby nagle zaproszył się tu ogień? Gdyby wariat bądź terrorysta podłożył bombę? Trzeba było za wszelką cenę zmniejszyć szansę katastrofy. Zmikrofilmowano więc wszystkie książki i dokumenty z tutejszej biblioteki, ściągnięto mikrofilmy z innych zbiorów, wykuto w granicie schron. Zorganizowano system alarmowy. Mają tam dostęp tylko zaufani. Mogłem obejrzeć jedynie podjazd, granitową ścianę i potężną bramę. Nie zapomnę jednak, że w skalnym masywie zabezpieczono filmy naszej pamięci. Cokolwiek się stanie, jacykolwiek przyjdą potomni, może dotrą w kamiennych korytarzach do półek pełnych przodków. A jeśli nie dotrą, jeśli zaginie klucz otwierający ciężkie wrota, jeśli zginą i plastikowe rolki, bądź staną się nieczytelne, bądź nie stanie czytelników, nawet wówczas ta idea pamięci, ten wielki sztuczny mózg schowany w granitowych formacjach Dzikiego Zachodu, to marzenie o przeszłości odnalezionej pozostanie wspaniałym marzeniem.

PROROK

22 września 1981, Salt Lake City

Ze słów, z obrazów, z przeczytanych opowieści powoli układały mi się w głowie dzieje proroka, jeszcze zamglone, półmityczne. Joseph Smith przyszedł na świat w 1805 roku w Vermoncie. Rodzina przyjęła wyznanie prezbiteriańskie. Sprawy religijne zajmowały zasadnicze miejsce w rozmowach ich i sąsiadów. Wokół wiele obrządków — po czyjej stronie jest racja? Kilkunastoletni Joseph rozdzierany był wątpliwościami. Kiedyś wzrok jego padł na słowa Pisma: kogo dręczy niewiedza, powinien zwrócić się do Boga o radę. Tak też postanowił uczynić. Pewnego dnia wycofał się do lasu. Wszystkie siły skupił w medytacji. Poczuł nagle, jakby miał język spętany. Ogarnęły go ciemności. Tracił nadzieję. Gdy znalazł się na granicy rozpaczy, zobaczył nad sobą słup światła. Pojawiły się dwie Postacie o cudownym blasku. Dopiero po dłuższej chwili Joseph odważył się zapytać, która sekta głosi prawdę. Odpowiedziano mu, że nie powinien wybierać żadnej, bo wszystkie oddaliły się od źródła.

Joseph opowiadał o widzeniu. Przyjęto jego słowa nie tylko

ze sceptycyzmem, lecz i z nienawiścią. Zaskoczyła go taka zawziętość wobec młodego farmera szukającego prawdy. Modlił się o nowe objawienie. Po kilku latach został wysłuchany. Obudził się w nocy ze snu. Stała przy nim prześwietlona jasnością łagodna postać w białej szacie. To był wysłannik Boga, anioł Moroni. Pan ma dla Josepha Smitha zadanie. Złożona została Księga, spisana na złotych tabliczkach, zawarte są w niej dzieje dawnych mieszkańców Ameryki i skierowane do nich słowa Pana. Obok złożone zostały dwa kamienie oprawne w srebro, Urim i Thummim; Bóg przygotował je, aby można było przetłumaczyć Księgę. Nie wolno Josephowi pokazywać nikomu ani tablic, ani kamieni, chyba że zostanie mu to nakazane. W tę noc wizja powtórzyła się jeszcze trzy razy. Wkrótce Joseph Smith ujrzał miejsce, gdzie tkwiły złote tablice, lecz anioł-strażnik obwieścił mu, że nie nadszedł jeszcze czas. Minęło wiele dni i tygodni, nim otrzymał pozwolenie przystąpienia do pracy. Ukończył tłumaczenie Księgi Mormona w 1829 roku.

Księga przytacza dzieje dawnych mieszkańców zachodniej półkuli. Jedni przybyli tam na statkach wkrótce po katastrofie Wieży Babel, drudzy, po wodzą proroka Lehi, opuścili Jerozolimę na sześć stuleci przed naszą erą. Opowieść kończy się w roku 421 po Chrystusie, gdy ciemnoskórzy potomkowie jednego z synów Lehi pokonali potomków drugiego. Księga nosi imię Mormona, jednego z ostatnich proroków, który spisał i uporządkował tysiącletnią historię swego ludu. Zanim Joseph Smith zwrócił złote tablice aniołowi, widziało je najpierw trzech, potem ośmiu wybranych, co zostało zaświadczone odpowiednim dokumentem.

Joseph Smith otrzymał również prawo wyświęcania kapłanów. Po epoce wczesnego chrześcijaństwa, gdy zabrakło apostołów, nastąpiły czasy apostazji. Dopiero pojawienie się Boga Ojca i Jezusa Chrystusa w pierwszej wizji Josepha Smitha odrodziło w jego osobie tradycję proroków. W późniejszym widzeniu Jan Chrzciciel przywrócił mu prawo udzielania sakramentu chrztu. Następnie powrócili na ziemię apostołowie Piotr, Jakub i Jan i przywrócili sukcesję apostołską. Odtąd dwunastu apostołów zarządza sprawami kościoła mormońskiego. Z ich grona wywodzi się kolejny prezydent kościoła, gdy umrze poprzedni. Zostaje nim apostoł najstarszy stażem. On jest żyjącym prorokiem.

Pokazano mi dość skromny dom obecnego proroka, który leży ciężko chory. Jego prawdopodobny następca ma nawet u mormonów opinię konserwatysty w sprawach religijnych. To dużo po-

wiedziane. Nie mogłem obejrzeć wnętrza świątyni. Tylko wiernym mormonom, posiadającym specjalne pozwolenie od biskupa, wolno wejść w święte progi. Jest to zaszczyt, ważny moment w życiu duchowym. Świątynia mormońska stanowi nawiązanie zerwanej tradycji. Otacza ją specjalna cześć. Oprócz tego istnieją kościoły, miejsca cotygodniowych spotkań, ale wielkie wydarzenia odbywają się w Świątyniach.

Mormoni od początku budzili niechęć u protestanckich mieszkańców Ameryki. Joseph Smith uciekał przed prześladowaniami z jednego stanu do drugiego. Towarzyszyli mu wierni. Kościół był coraz lepiej zorganizowany, spotykał się jednak z coraz ostrzejszymi reakcjami. W 1844 roku Joseph Smith został aresztowany w Stanie Illinois. Nim doszło do procesu, tłum wdarł się do więzienia i zabił proroka. Głową kościoła został Brigham Young, wspomniały organizator, twórca materialnej potęgi mormonów, założyciel Salt Lake City. To on przeprowadził współwyznawców przez olbrzymie góry, to on wskazał na pustynię u stóp maszywów skalnych i powiedział *This is the place*, oto miejsce, gdzie założyć trzeba Nowy Sion, mormońską ziemię obiecaną. Z latami jałowa ziemia przemieniła się w kwitnące miasto. Każdy mormon ma oddawać jedną dziesiątą dochodu na cele kościoła. Każdy powinien poświęcić trochę czasu na działalność charytatywną, pomoc ubogim współwyznawcom w całym świecie. Młodzi mormoni spędzają dwa lata na propagowaniu wiary w Stanach bądź za ich granicą. W domu gromadzą zapasy żywności na przynajmniej rok — jeżeli przyjdzie wielka katastrofa, zdolają przetrwać.

Znakomita organizacja materialna skierowana ku celom ducha. Religia żyje. Odczułem jej obecność w nastroju ulic, w blasku słońca i w lśnieniach jego zachodu, w światłach świątyni iluminowanej po zmroku, w parterach kwietnych, w zapachu ziół i szumie wody. Inny świat, świat mormonów. A inni, inaczej myślący i wierzący? Prosiłem także o spotkanie z niemormońską rodziną. Spędziłem kolację u miłych nauczycieli. Jak się czują? Nie jestem tak naiwny, aby wierzyć, że na tego typu pytania turysta-cudzoziemiec uzyska całkowicie szczerą odpowiedź. Przyznawali, że trudno się im było przyzwyczaić. Wybrali Salt Lake City i nie zamierzają się przenieść. To zresztą stolica stanu, tolerancja jest tu większa niż w małych miasteczkach Utah, gdzie 95 procent ludności to mormoni. Bywają jednak chwile ciężkie. Prozelityzm już im nie dokucza. Na początku starano się ich nawrócić na wiarę proroka. Teraz sąsiedzi akceptują ich odmienność.

MIGAWKI Z SAN FRANCISCO

28 września 1981, San Francisco

Trudno o większy skok niż z Temple Square na uliczki San Francisco. Inna cywilizacja, inna mentalność, zmienne oblicza tej samej przecież Ameryki. Lot był przerywnikiem, chwilą wytchnienia.

Słona Pustynia, białoszara płaszczyna nasycona solą, położona wysoko nad poziomem morza. Tu odbywają się słynne wyścigi samochodowe. Ziemia jałowa przechodząca w Słone Jezioro, po brzegach białe, dalej ciemniejące. Ogromne. Z samolotu nie widziałem drugiego brzegu. Tylko mroczna woda i wdzierający się rudy paluch skał. Wodna tafla ciągnęła się długo. Po chwili cały horyzont zajęły fałdy rdzawych, ciemnoburych skał. Spienione fale bezkresnego morza gór. Czasem białe plamy (śnieg? sól?). Niekiedy kraterowate jeziora. Czy mieszkają tu ludzie? Lecieliśmy nad Północną Newadą. Wciąż nowe skały, jeziora. Co za przestrzeń! Salt Lake City i Utah wydały mi się punktem wypadowym z jednego bezludzia ku drugiemu. Zmierzaliśmy ku zachodzącemu słońcu.

Do San Francisco przyleciałem o zmroku. Przespacerowałem się po mieście. Jechałem tramwajem linowym przez geologiczne warstwy kultury i geografii. Strzelająca wieżowcami ku niebu dzielnica finansowa. *Chinatown* z zapachem egzotycznych przypraw. Neony wabią do barów na *strip-tease*. Polk street, światowe centrum *gay liberation*. Wiktoriańskie domy na stromych ulicach, dzielnica artystów, siedlisko galerii. *Fisherman's Warf*, wielobarwne stwory morskie na straganach i w oknach restauracji.

Wokół kusi natura oblegająca San Francisco. Wyrwałem się do Yosemite National Park. Staram się oglądać amerykańską przyrodę. Nie potrafię szkicować *Pamiętnika naturalisty*, to nie moja dziedzina, ale kiedy natrafiam na wyjątkową przyrodę, moje reakcje też są wyjątkowe. Tak było za pierwszym pobycem w Stanach, podczas podróży przez Nowy Meksyk, Arizony, Wielki Kanion Colorado, Dolinę Śmierci. Tak było w Yellowstone. I teraz w Yosemite. Zobaczyłem tylko fragment olbrzymiego parku. Wodospady, jak mnie ostrzegano, trochę zawiodły. Należy je oglądać wiosną i wczesnym latem. Nie zawiodły skały, potężny El Capitan, przytłaczający turystów; nie zawiodły wysokopienne drzewa i górskie perspektywy. Nie zawiodł zachód

słońca; podkreślał rozległość przestrzeni dyskretnie ściszoną purpurą, nie tak kompromitująco natarczywą jak trzy lata temu na polach Teksasu.

Dekoracje do westernów naprawdę istnieją. Na filmach wydawały mi się często przesadzone. Nie ma takich zwierząt, takich formacji skalnych, takich widoków — bo nigdy podobnych nie widziałem. Teraz łatwiej mi uwierzyć. Bardziej jednak niż brawurowe popisy natury, wspaniałe, lecz bijące jakieś tam amerykańskie rekordy nie na moją skalę, podobały mi się złote i zielone wzgórza, faliście schodzące ku Meripoza i Mered, otwierające wciąż nowe plany. Wielość możliwości, współwystępowanie widoków — chciałbym, żeby natura była syntezą, nie uniformizacją, żeby utwierdzała moją tożsamość i zmienność, żeby delikatnie odśaniała sensowną różnorodność wzorów na dywanie świata.

Wczoraj i przedwczoraj w Stanfordzie i Berkeley. Wszystko w pośpiechu. Pięć spotkań, rotacja co godzinę. Co można powiedzieć przy pierwszym krótkim widzeniu? W najgorszym razie wymiana zdawkowych wypowiedzi o Polsce i o Ameryce, kiedy indziej... Najciekawszy okazał się Robert Conquest. Wygląda jak z *Klubu Pickwicka*, rumiana twarz, marynarka w kratę, oksfordzka angielszczyzna brzmiąca tu, w Stanford, szczególnie teatralnie. Poeta, autor subtelnych wierszy, a zarazem imponująco udokumentowanych książek o terrorze w Związku Sowieckim. Z podziwem czytałem przed laty jego pracowite zestawienie kolejnych wersji oficjalnych stenogramów z wielkich procesów. Ciekawiło mnie, dlaczego zajmuje się taką tematyką. Przecież normalny człowiek, poeta, nie poświęci lat na badanie tekstów wyróżniających się nikczemnością w historii nie tylko dwudziestego stulecia.

Spytałem o źródła dziwnych zainteresowań. Moja intuicja okazała się słuszna. Conquest otarł się o komunizm w Oksfordzie początku lat trzydziestych. Zaraz po wojnie wysłano go do ambasady brytyjskiej w Bułgarii. Zobaczył wprowadzanie komunizmu w życie. W Bułgarii, w pierwszych latach, działano bez kamuflażu: po prostu likwidowano fizycznie całe grupy społeczne niewygodne dla nowej władzy. Zachód nie chciał o tym wiedzieć. Mógł wiedzieć. Conquest uznał za swój obowiązek danie świadectwa. Do bardziej przejmujących kart *The Great Terror* należy epilog: w momencie kulminacji zbrodni stalinowskich, gdy cała Rosja jest wielkim obozem pokrytym lodowcową skorupą kłamstwa i strachu, wybitne umysły Zachodu przyjeżdżają oglądać świetlane perspektywy i stawiają ojczyznę wielkie-

go terroru za wzór Zachodniej Europie. Obecnie Conquest bada stopień ówczesnego poinformowania Zachodu o ofiarach kolektywizacji. Dziś trudno dokładnie stwierdzić, ile wówczas padło milionów, ale wówczas kto chciał, mógł znaleźć informacje, rozproszone, ukazujące się często w marginalnych pismach, nie przyjmowane do wiadomości przez szeroką opinię — ale dostępne.

Odwiędziłem dyrektora Biblioteki Hoovera. Nie starczyło czasu na obejrzenie zbiorów. W jakimś sensie nikomu na to nie starczy czasu. Hoover Institution ma najbogatszą na świecie kolekcję dokumentów związanych z rewolucjami dwudziestego wieku, zwłaszcza z ruchem komunistycznym. Tutaj znaleźć można bezcenne materiały także do historii Polski. Irena i Jan Grossowie opracowali świadectwa polskich dzieci na temat pierwszej okupacji sowieckiej wschodnich ziem Rzeczypospolitej w latach 1939-1941. Kiedy z armią Andersa dostały się do Persji ocalone dzieci, nauczyciele polecieli im spisanie wrażeń z wejścia Czerwonej Armii. Totalitaryzm w akcji widziany oczami młodymi, lecz przenikliwymi.

Gdy byłem w Stanfordzie za zeszłym pobylem w Stanach, spotkałem kierownika archiwów Witolda Sworakowskiego. Nie był sympatyczny, chciał jednak zaimponować nam, młodym niezależnym historykom myśli politycznej z kraju. Przygotował, jak dla szczególnie ważnych gości, wystawę najciekawszych eksponatów. Dotąd nieskatalogowanych, nie znanych szerzej nawet badaczom. Kilka fałszywych paszportów Litwinowa, donosy na młodego Mołotowa, zaszyfrowane listy Lenina, dokument wyjaśniający zwolnienie Stalina od służby wojskowej: miał zrośnięte dwa palce u nogi. Wiele innych skarbów. Skąd tutaj? Dlaczego skrywane? Opowieść dramatyczna. Zagraniczne centrum Ochrony mieściło się w Paryżu. Gdy rząd francuski cofnął uznanie przedstawicielstwu Białych Rosjan i uznał władzę bolszewicką, domagał się od ostatniego konsula w Paryżu wydania tajnego archiwum Ochrony. Konsul dał słowo honoru, że dokumenty spalił. Przed samą wojną przeniósł się do Stanów. Zamieszkał w Stanford. Zapisał bibliotece swój majątek. Także archiwum, którego istnienie trzymano w tajemnicy. Zmarł w końcu lat pięćdziesiątych. Zbiory ciągle jeszcze nie zostały skatalogowane. Przed wyjściem wzięłem do ręki jakąś teczkę. Miałem szczęście. Donosy służących polskich rewolucjonistów. Raporty o niebezpiecznych myślach i działaniach ich panów pisane potworną polszczyzną i jeszcze gorszą francuzczyzną. Doceniłby te teksty Zygmunt Krasiński, a może jeszcze bardziej Stanisław Wyspiański, bawiący w Paryżu w owym czasie (ostatnie lata zeszłego stulecia).

W Berkeley silnie zapisało się w pamięci spotkanie z Bendixem. Szósty rozmówca tego dnia. Czułem się trochę jak Chaplin przykręcający jednostajnym ruchem identyczne śrubki na pasie transmisyjnym. Problemy Reagana, problemy Solidarności, czterdzieści pięć minut, koniec spotkania. Z Bendixem rozmawialiśmy w jego gabinecie. Z okna niewiarygodny widok na Zatokę przecięty delikatną kreską *Golden Bridge*. Japońska precyzja i zamglenie. Spokój, rozległość, coś z mitologii, coś z marzeń o przyszłości i coś uderzająco realnego. Jak na niektórych płótnach Claude Lorraina. Może dlatego socjologiczne rozważania mojego rozmówcy nabrały dla mnie życia. Wydało mi się, że słowami dotykamy rzeczywistych problemów, że mechanizmy Ameryki odstawiają się przede mną. Choćby tylko na chwilę rozmowy, zachwycenia odległym widokiem.

Wróciłem do San Francisco po południu. Włączyłem się po stromych uliczkach. Szukałem, jak w innych miastach amerykańskich, widoku z wysokości. Odszukałem Fairmont Hotel. Długi gąszcz korytarzy. Wielkie sale recepcyjne na kilkaset czy nawet kilka tysięcy osób. Wreszcie odnalazłem windę. Wsiadłem. Ruszyliśmy. Po chwili znalazłem się na zewnętrznej ścianie, w przeszklonej klatce. Wznosiłem się do nieba. W dole odstawiało się przede mną coraz szerszy horyzont miasta. Na szczycie, z przeszklonego baru, roztaczała się perspektywa jeszcze pełniejsza.

Zachwyciłem się widokiem San Francisco z wyżyn Fairmont Hotel, jazdą windą wzdłuż zewnętrznej ściany budynku. Poradzono mi, abym poszedł do Embarcadero Center zobaczyć Hyatt Hotel. Co tam jest interesującego? Nie umiano czy też nie chciano mi tego wyjaśnić. Wrażenie bardzo dziwne, zapewniano. Trzeba pójść do hallu, chociaż właściwie nie do hallu. Poszedłem.

Budynek względnie niewysoki, z jednego boku jakby ścięty, stopniowo zwężający się ku górze. Przy wejściu nic ciekawego. Nie widziałem recepcji. Pojechałem schodami ruchomymi na wyższą kondygnację. To tu. Widok rzeczywiście niezwykły. I rzeczywiście wymyka się słowom. Jakby hotel wywrócono do góry podszewką. Prawdziwe elewacje są wewnątrz. Olbrzymi dziedzińiec, cały w ruchu. Pierwsze wrażenie: przestrzeń. Drugie: tu wszystko tańczy. Trzecie: takich budowli nie ma, tak się przecież nie buduje. Czwarte: ależ to piękne. Piękne? Raczej może dziwne. Nie: teatralne. To barok dwudziestego pierwszego wieku, wyzwanie wobec funkcjonalizmu. Co tu jest dekoracją, co strukturą, co funkcją? Musiałbym zapytać ojca.

Uzewnętrzniowane wnętrza, to jeden paradoks. Do betonowych słupów przyczepiono windy, wciąż jeżdżą w górę i w dół, potęgają wrażenie ruchu, jakby go tu było mało. Windy (półkoliste lampiony? postawione na sztorc gondole?) przeszklone, oświetlone mrowiem lampek. Tak, lampiony, czuję się jak w Tivoli. Gdyby Ludwik Bawarski żył w przyszłości, interesował się elektroniką i budował nie pałace, lecz hotele... Wokół dziedzińca biegały balkony. Wbrew prawom ciężenia im wyżej, tym bardziej wysunięte, przestrzeń zwęża się ku górze. Z betonowych balkonów spływają zielone pnącza roślinności. Stała gra kontrastów.

Z windy scena staje się jeszcze bardziej teatralna. Ożywa gra planów na dole. Obok mijają w dół i w górę inne świetliki nafaszerowane ludźmi. Zacieśnia się krąg balkonów. Winda wjeżdża w betonowy sufit. Chwila ciemności. A na ostatnim piętrze widok na miasto z obracającego się baru: zewnętrznosc naprawdę zewnętrzna. Nie tak piękna jak z Fairmont Hotel. Hyatt Regency jest niższy i przede wszystkim niżej położony. To w San Francisco decyduje. Widok stąd obejmuje tylko sąsiednie drapacze. Przeczekałem jeden obrót baru. Wróciłem do sztucznego świata architektonicznej wyobraźni. Znowu wejście do świętojańskiego robaczka o przejrzystym plastikowym pancerzu. Droga odwrotna. Chwila ciemności. Rozszerzająca się serpentina balkonów. Drzewa, fontanna, mijają nas sąsiednie windy. Przestrzeń wydaje się ruchem, architektura organizacją przestrzeni.

Czy to jest architektura przyszłości, bunt przeciw miarowej grze prostokątów na amerykańskich drapaczach? W Hyatt Regency prawie nie ma prostokątów. Przestrzeń jest ciągle łamana, powstają zakola, wgłębienia. Gdy Włochom znudziła się renesansowa harmonia, Borromini odpowiedział na florenckie rytmy i miary inną harmonią, linii krzywej, przestrzennych paradoksów. John Portman, twórca projektu, mam nadzieję nie skończy jak włoski artysta. Jest zdrowy na umyśle, interesy idą mu znakomicie. Jest nie tylko autorem, lecz i współwłaścicielem tego dzieła. Nie jedyne. Pierwszy budynek tego typu, mniej uduchowiony, powstał w Atlancie, następny w Chicago, przy lotnisku. Reakcją była entuzjastyczna, ludzie zatrzymywali się w hotelu nie dla wygodnego położenia, nie dla kuchni, obsługi czy luksusowych pokoi, lecz dla architektury. W tym wnętrzu — wnętrzu? — stale coś się dzieje. Gość ma poczucie, że wymknął się wygodnej przeciętności amerykańskich maszyn hotelowych dostosowanych do sprawnej, standardowej i bezosobowej obsługi klienta. Pobyt w atrium Hyatt Hotel jest sam w sobie przygodą. To na pewno

nie zwyczajny budynek. Czy chciałbym, aby więcej było takich? Czy struktury nie za bardzo wyzwoliły się tu z przeciętności? Czy igraszki z przestrzenią przynoszą uspokojenie, czy nie są niebezpieczne, czy nie zbliżamy się do nowej wersji fantasmagorii Piranesiego: człowiek schwytyany w doskonale bezcelowe korytarze, schody prowadzące nie wiadomo dokąd, ludzka skala i miara gdzieś porzucone, spokojny rytm staje się krzykiem. Tylko przez moment pomyślałem o Piranesim. Nie tu, jeszcze nie tu. Niebezpieczeństwo jeszcze daleko.

W NEVADZIE

1 października 1981, Reno, Nevada

Znowu skok samolotowym konikiem po szachownicy Ameryki. Znad łagodnych mgieł Zatoki San Francisco do surowych krajobrazów Newady. Reno znajduje się na wysokości dwóch tysięcy metrów, jest największym po Las Vegas skupiskiem kasyn gry. Naokoło znakomite tereny narciarskie (Squaw Valley). Miasto składa się z wielkich kasyn-hoteli, mniejszych moteli i jeszcze mniejszych parterowych baraków, gdzie można w ciągu doby wziąć ślub bądź rozwód — jakieś dziwactwa stanowego prawodawstwa.

Przyjechałem, aby obejrzeć krajobraz Newady oraz aby spotkać się z Piotrem Hoffmanem, który tutejszym studentom wykłada Pascala, Kanta i Hegla. Uniwersytet pięknie położony, wśród zieleni rozrzucone nowoczesne budynki. Tu może bardziej niż gdzie indziej uderzyły mnie znakomite warunki na amerykańskich uczelniach. Oczywiście słynne uniwersytety — Harvard, Yale, Princeton, Stanford, Berkeley — stwarzają studentom wyjątkowe możliwości. W Reno oglądałem prowincjonalną uczelnię. Biblioteka dopiero się rozwija, ale już łatwością dostępu do zbiorów bije na głowę europejskie. Każdy może wejść. Magazyny są otwarte. Sprawdziłem, co mają Miłozza, Gombrowicza, Nabokova, Geneta, kilku innych pisarzy. Szukałem opisów podróży po Stanach.

Wziąłem do ręki niedawno wydaną książkę Piotra Wandycza *The United States and Poland*. Ostatni rozdział dotyczy czasów powojennych. Jak wszystko sprzysięgało się przeciw polskiemu społeczeństwu! Traciliśmy kolejne swobody na oczach Zachodu,

który nic z tego nie potrafił — i nie chciał — zrozumieć. Od kilku lat prąd się wyraźnie odwrócił. Czy na długo?

Z przejściem śledziłem w gazetach informacje o zjeździe Solidarności. Na lotnisku przeczytałem o rozwiązaniu się KOR-u. Gdy powstawał, myślałem, że choćby kilkumiesięczne istnienie byłoby moralnym triumfem.

Na półkach biblioteki uniwersyteckiej w Reno znalazłem inną książkę będącą swego rodzaju komentarzem do współczesnych wydarzeń: studium Pitrima Sorokina o perspektywach Rosji Sowieckiej. Przenikliwy analityk procesów społecznych, jeden z ojców amerykańskiej socjologii, emigrant rosyjski przedstawia mimowolny katalog złudzeń co do przyszłości sowietyzmu. Pisze w 1944 roku, w momencie szczytowych triumfów stalinowskiej ideokracji, gdy imperium pochłonęło pół Europy i szykowało się do dalszych podbojów, do władzy nad światem. Rosja, jego zdaniem, zmierza ku demokracji, ku odrodzeniu religijnemu i narodowemu, porzuca komunistyczne szamaństwo, odnajduje zagubioną tradycję, własną twarz.

Niedaleko obok Sorokina zobaczyłem szaleńcze spekulacje Adama Gurowskiego o Rosji i Stanach, wydane w czasie wojny krymskiej, a wznowione kilka lat temu jako offset. A więc dopadł mnie i w Newadzie! Od lat łączy nas podejrzana nić wspólnych fascynacji — prawda, że obdarzonych przeciwnym znakiem. Jego akty strzeliste pod adresem Rosji budzą we mnie podniecający dreszcz grozy. I osłupienie. Egzorcyzmy nie są łatwe. Postawa Gurowskiego wewnątrz jego założeń rozwija się logicznie. Nie wystarczy nazwać go jakobinem prawicy, bo podobny w tym do polskiej myśli wymyka się jednoznaczny podziałom na prawicę i lewicę. Zarzut apostazji przywitałby z entuzjazmem. Nie chciał, aby go cokolwiek łączyło z pozostawionym za sobą światem chińskich cieni, z nieświadomymi swej przegranej, wiecznie dającymi sobą powodować Polakami. Wierzył w determinizm historii. Duch dziejów odsłonił mu swoje zamiary: racja jest po stronie silniejszych, po stronie rosnącego w siłę wschodniego imperium.

Piotr obwoził mnie po okolicy. Góry nad jeziorem Tahoe budują widoki wieloplanowe, jak je lubię: wzgórze nakładają się na siebie różnokolorowymi warstwicami, a woda odbija je i przemienia. Pojechaliśmy do Virginia City drogą pnącą się ku niebu między płowymi skałami. Virginia City to miasto-widmo. Niedgdyś centrum kopalń srebra, liczyło ponad 30 tysięcy mieszkańców. Skończyły się złoża, miasto wymarło. Pozostały bezlud-

ne budynki, skansen Dzikiego Zachodu. Oglądałem więzienie, hotel robotniczy, dom publiczny, pałac milionera, teatr. Budynek szkolny, białordzawy gmach, stoi na występie wzgórza, odbija się od przejrzystego błękitu powietrza. Nawiedzony dom, dobrze mi znany. Widziałem go wielokrotnie na obrazach Edwarda Hoppera.

Wybraliśmy się z Piotrem do kasyna Metro Goldwyn Mayer. Hazard mało mnie interesuje. Nie poszliśmy na rewię *Hallo, Hollywood, Hallo*. Rozpoczęła się po północy. Byliśmy zbyt zmęczeni. Bałem się zresztą, czy powtórzyłyby się świetna zabawa sprzed trzech lat na *Halleluya, Hollywood* w Las Vegas — była to cudowna prezentacja niebotycznego kiczu: przedstawienie otwierał ryczący żywy lew, jak na czołówkach filmów MGM, nagie dziewczyny zjeżdżały na żyrandolach, piękny iluzjonista znajdował pod stołem czarną panterę, stan radosnej euforii, wspomnienie magii innej, Wielkiego Kanionu i oceanu światła Las Vegas, odsłoniętego nagle, w nocy, po którymś zakręcie za Tamą Hoovera.

Poszliśmy do innego kasyna coś zjeść, kontynuowaliśmy naszą rozmowę, tę samą rozmowę, którą prowadzimy od lat w różnych miastach świata. Teraz przybrała wyraźniejszy tok. Oglądaliśmy przez ostatnie lata żywy komentarz do naszych słów pisany na ulicach polskich miast. Jak mogło do tego dojść, do takiego wyswobodzenia, do takiej odwagi i mądrości? Skąd tyle rozważnych, śmiałych, pięknych ludzi? I skąd takie rozprężenie ekonomiczne, bezprzykładna katastrofa nie tylko państwowej gospodarki, lecz całej organizacji codziennego życia? Dlaczego tak wielu wyjechało i wyjeżdża? I czy nie przyszedł czas, aby część powróciła? Ci zwłaszcza, którzy potrafili rozwinąć na Zachodzie tłumione w PRL zdolności: umiejętność odważnej refleksji, inicjatywy handlowej, organizacji przemysłu. Mieli kontakt ze swobodną myślą, ze zdrową gospodarką. Wiedzą, co to jest dyskusja, co konkurencja, na jakich zasadach odbywać się powinna wymiana idei i dóbr. Wielu wyobraźnią przebywa nadal w Krakowie czy Warszawie. Wróciliby, gdy tylko powstałyby odpowiednie warunki. Może nie na stałe, nie na zawsze (te słowa we współczesnym świecie przyśpieszonego krążenia ludzi straciły dawny sens), ale na dłuższy czas. Obecnie byłiby szczególnie potrzebni. W codziennym potoku przemian i wydarzeń trudno jest ludziom w kraju zyskać odpowiedni dystans, analizować Polskie Odrodzenie z szerszej perspektywy. Emigranci pomogli by w zdobyciu tej perspektywy. Ich swobodny głos umacniałby nasze swobody.

4 października 1981, Santa Fe

Znów migawka innego świata. Czy takie wrywkowe spojrzenia pozwalają coś uchwycić? Jak najbardziej, jeżeli zdać sobie sprawę z ograniczeń. Rzucony w nowe miejsce, muszę organizować dookolny świat. Wszystko wydaje się tajemnicze, budzi ciekawość, domaga się zapamiętania. Wrażliwość ulega wręcz bolesnemu wyostreniu. Przeszkody praktyczne nabierają jakichś gigantycznych rozmiarów i przesłaniają widzenie. Dlatego nie potrafię podróżować zupełnie sam, bez przygotowania, ale też dlatego nowe sytuacje wprawiają mnie w stan gorączkowej ciekawości, strachu, podniecenia. Co ukaże się za rogiem? Dokąd prowadzi ta droga? Gdzie ja mieszkam? Jak dojść do celu? Czy zdecydować się na nową trasę, czy też okazać się niebezpieczną pułapką?

W Santa Fe, stolicy Nowego Meksyku, warunki do pobudzenia wyobraźni miałem znakomite. Świat nowy, lecz pobyt przygotowany. Na lotnisku w Albuquerque czekała na mnie Maia Wojciechowska, Polka pisząca po angielsku. Poznałem ją, jak było umówione, po znaczku Solidarności. Na samochodzie, którym zawiozła mnie do Santa Fe, też duża nalepka Solidarności. Pojechalśmy do jej domku. Zbudowany z gliny zespolonej trzciną. Takie *adobe* chronią przed wszechwładnym upałem. Po kolacji udaliśmy się do innego *adobe*, w centrum Santa Fe, gdzie miałem się zatrzymać. Przyjemne studio — Maia wynajmuje je Josephowi Hellerowi (temu od *Catch 22*); w czasie jego nieobecności ma prawo dysponować mieszkaniem.

Nocą wyruszyłem w miasto. Doszedłem do Plaza. Wokół podcienia wsparte na drewnianych kolumnach. Galerie przypominają Nowy Orlean, choć brak po francusku wyszukanych krat na balkonach. Domy jedno, dwupiętrowe. Centrum można obejść w kilkanaście minut. Sprawdziłem to następnego dnia. Zwiedziłem Pałac Gubernatorów, najstarszy budynek użyteczności publicznej w Stanach. Obszerny, parterowy barak. Przed nim siedzą w kucki Indianie, wyłożyli na ziemi wyroby ludowe, głównie biżuterię ze srebra i jaspisu. Brzydocy, pomarszczeni, zamarli w bezruchu, zrezygnowani, poza czasem, poza krajem, ci sami co przed stuleciami. Widziałem ich na starych zdjęciach, widziałem, identycznych, w rezerwatach. Siedzieli nieruchomi w restauracjach, przed domami. Uderzał brak energii życiowej. To nie jest ich świat.

Na dziedzińcu Pałacu Gubernatorów odbywał się pokaz technik związanych z książką: produkcja papieru, różne rodzaje druku, barwienie papieru „marmurkowego”, oprawianie tomów, litografia. Widzami były przede wszystkim dzieci, zwożone szkolnymi żółtymi autobusami. W samym gmachu mieści się muzeum historii Nowego Meksyku. Nic z etnograficznej nudy. Umiejętne wprowadzenie w dzieje miasta i prowincji. Wśród bohaterów rozpoznałem kilku starych znajomych i poznałem nowych. Nacisk na momenty przełomowe: wdzieranie się cywilizacji europejskiej, jej przemiany na terytoriach ogromnych i odległych — nie tylko od europejskich centrów, także od ówczesnej stolicy tych ziem, od Meksyku. Otwarcie Santa Fe Trail — szlaku handlowego do Santa Fe — zbliżyło miasto i prowincję do Stanów Zjednoczonych. Nastąpił przyływ ludności anglosaskiej. Prawdziwe złączenie dokonało się dopiero z otwarciem linii kolejowej. Zaczęto wymieniać towary, pojawili się turyści zafascynowani odrębnością kulturalną tej części Stanów.

W Santa Fe szukałem śladów hiszpańskich, oglądałem kościoły, śledziłem specyfikę budownictwa. Prawdziwa hiszpańskość wyszła ku mnie nocą. Plac przed katedrą drżał światłkami małych lampionów: znicze skryte w papierowych torbach. Otworzyły się drzwi katedry. Wyruszyła procesja. Głównie młódzież, dużo starszych kobiet. W rękach trzymano świece. Okrążono plac z cichym śpiewem. Na przedzie szło dwóch młodych franciszkanów z dużym krucyfiksem. Pochód zamykała figura świętego Franciszka niesiona przez czterech mężczyzn. Południowa architektura, oliwkowe twarze, płomień drgający w ciemnościach, przepojony namiętnością religijny śpiew — ascetyzm procesji przywodził na myśl nie splendor Sewilli, lecz ubogie miasteczka gdzieś w głębi Hiszpanii.

Następnego dnia pojechaliśmy wśród rdzawych wzgórz do Taos. W szczerym polu kościoł z błotnych cegieł. Ściany czasem jasnobrazowe, czasem koloru byczej krwi. Szerokie płaszczyzny, proste gry cieni, mocny kontrast brył. To kraina Georgii O’Keeffe. Zobaczyłem spotęgowane odbicie jej malarstwa. Tutejszy kościół jest miejscem wielkiej corocznej pielgrzymki. W zakrystii znajduje się słynące cudami wgłębienie w glinianej podłodze. Ludzie schylają się i zgarniają stamtąd piasek do papierowych toreb. Piasek stale jest o kilkanaście centymetrów od podłogi, mimo że setki, czasem tysiące ludzi czerpie go codziennie. Przy mnie pochylił się stary Meksykanin o ciemnym, ekspresyjnym obliczu. Jego twarz uderzała mieszaniną stanowczości i egzaltacji.

Na ołtarzu młodociany Chrystus w dziwnym stroju. Ma lat kilkanaście, ubrany w hiszpański kapelusz z piórem, wysokie buty, pelerynę. Jakby nałożył na siebie szaty muszkieterów. W ręku trzyma kosz z pożywieniem. W takim stroju miał nawiedzić jedno z meksykańskich więzień. Przejęła mnie ta figura, otaczana tutaj szczególną czcią. Litość dla cierpiących (także za prawdziwe przewinienia), łaska wobec złoczyńców, wyrozumiałość wobec słabych, otucha dla poniżonych, miłosierdzie zwrócone ku wszystkim, bez względu na zasługi, rasę, klasę, sukcesy, to, w moich oczach, siła chrześcijaństwa, zwłaszcza katolicyzmu. Ostry, czasem trudny do przyjęcia model religijności latynoamerykańskiej (Nowy Meksyk to Ameryka Łacińska w anglosaskiej Ameryce Północnej) łagodzony jest i uzupełniany przez oficjalnie wynoszoną na ołtarze figurę Chrystusa przynoszącego pocieszenie więźniom, przestępcom, ludziom z marginesu, nie mieszczącym się w oficjalnej wizji ładu społecznego.

Do Taos jechaliśmy wzdłuż wypalanej słońcem ziemi. Jest to skryta w górach ulubiona miejscowość artystów. Miniaturowe Zakopane oddalone o tysiące kilometrów od Nowego Jorku? Odkąd rozślawił to pustkowie D. H. Lawrence, odkąd mieszkała tu Georgia O'Keeffe, artystów zaczęło przybywać. Dzisiaj każdy coś tworzy. Trafiliśmy na fiestę, kiermasz sztuki. Ale prawdziwe piękno roztoczyło się w drodze powrotnej. Osiki zaczęły zmieniać kolor z intensywnie jasnozielonego w złoty, czasem purpurowy, przełamujący się w brąz. Wysokie rude krzewy po bokach drogi. Wąwozy wyschniętych trumieni. Kaniony skał niekiedy szarych, bliższych białości, niekiedy znów płowych, przechodzących w ognistą czerwień, rdzę, krwawy mosiądz. Dziwaczne konstrukcje wapienne, błotne. Krajobraz z westernów. Spiętrza się nagle iglicą czy kotarą skalną, zaraz potem otwiera wielość planów i kolorów, bądź przechodzi w szare zbocza poplamione szarością kosodrzewiny. Za nami została Rio Grande, wypalona słońcem, skurczona do części swego łożyska, drobniutka, ale i tak Wielka Rzeka w porównaniu z jasnymi smugami ziemi, znaczącymi dno zupełnie wyschniętych innych rzek i strumieni.

Ostatni wieczór spędziłem najpierw przy kieliszku gin and tonic w hotelu La Fonda, najbardziej znanym w Santa Fe, potem zaszedłem do dyskoteki. Widziałem ich wiele w różnych krajach, także tu, w Stanach, w większych miastach, z dziwniejszą publicznością (choćby w San Francisco), ale w Santa Fe podobała mi się wyjątkowo. Przerobiona sala kinowa czy teatralna. Widownia obniża się stopniami ku parkietowi. Wokół lustra, pół-

mrok, dobra gra światła. Dużo ładnej, swobodnej młodzieży. Zapamiętałem dwie tańczące razem dziewczyny, bardzo wysokie, bardzo zgrabne, złotowłose, jedna silniejsza, zaborcza, w spodniach i białej bluzce, druga o kształtach i ruchach delikatniejszych, ubrana w długą, falbaniastą spódnicę. Ich ciała układały się w płynny balet. Raptem wbiegł brodacze w turbanie na głowie, w białych szarawarach splecionych u dołu czerwoną wstążką. Bawił się świetnie goniąc sam za sobą po parkiecie. Inny chłopak, bardziej wysportowany, w dzinsach i kraciastej koszuli, również samotnie wirował wśród tłumu oddalając się i zbliżając do swego odbicia w lustrze. Patrzyłem z poczuciem oczarowania i oddalenia.

Następnego dnia wstałem o świcie. Do Albuquerque na lotnisko ponad godzina jazdy. Zegnałem faliste linie wzgórz i wysokie masywy skalne w oddali. Nagle na niebo wypełzły dziwne stwory. Wielobarwne, wielokształtne. Po chwili wybiła się ogromna butelka whisky J and B w odpowiednim kolorze z czerwoną zakrętką i etykietą. Widok jak ze Steinberga. To międzynarodowe zawody balonowe. W niezwykłych dekoracjach Nowego Meksyku te dekoracje stanowiły jedynie uzupełnienie niezwykłości.

KLONY, TWARZE, ŚMIERĆ, LITERATURA

7 października 1981, Castine i Orono, Maine

Skok największy, przez całe prawie Stany, z Nowego Meksyku do Nowej Anglii. Przesiadłem się dwukrotnie, w Dallas i w Bostonie. Po drodze zaginęła mi gdzieś walizka (znalazła się później). W Bostonie spotkałem Mary McCarthy i Jima Westa, którzy zaprosili mnie do ich domu w Castine. Wybraliśmy się na oglądanie klonów. W czasie *Indian summer*, babiego lata, gdy po pierwszym oziębieniu przyptywa cieplejsze powietrze, drzewa Nowej Anglii rozpalają się tysiącem barw. Zdziwiają czasem wymyślnym splecieniem kolorów, czasem monochromatyczną jaskrawością, czasem delikatną bądź ostrą grą kontrastów. Mary i Jim mówili, że kilka dni temu było jeszcze piękniej. Może. Ja nic podobnego dotąd nie widziałem.

Mary najbardziej podobały się jednolicie szkarłatne klony. Wolałem je w nieokreślonym momencie metamorfozy: w środku

jeszcze zieleni, a po brzegach korony żółć i złoto, gdzieniegdzie połyskuje czerwień. Niekiedy płonące klony i osiki wplątywały się w stonowaną zieleni świerków. Miejscami przeblyskiwały srebrne liście, jakby skąpo porozrzucane stare monety. Zielonkawy brąz niskich klonów tu i ówdzie o bordowym połysku. Miodowa żółć cieszyła się moją admiracją do chwili, gdy zobaczyłem kulę jaskrawo pomarańczową, roześmianą, triumf życia nad jesienią, nie olśniewająca dojrzałością, lecz młodzieńcza energia i soczystość.

Dom w Castine czaruje białością. W hallu duży obraz, trzech poczciwych dżentelmenów ukazanych z wyszukaną naiwnością, trochę jak z ludowych obrazków, trochę jak z okładki *New Yorker*a. Grzecznie skłoniłem się znajomym. Rozpoznałem ich twarze. To Ojcowie Założyciele: energiczny Washington w czerwonym fraku, niebieskich pończochach, czarnych pantoflach z klamrami, zamyślony Jefferson w pomarańczowym fraku, okrągli Adams w niebieskim fraku, z dłońmi splecionymi na rysującym się brzuszku. Tacy właśnie, zwyczajni w niezwykłości, byli twórcy tego kraju?

Przy lunchu Mary McCarthy zwróciła również uwagę na to, co uderzyło wielu z nas w Polsce: wystarczyło spojrzeć na fotografii strajkujących robotników, aby przekonać się, że to inny typ ludzi niż ci, wiecznie dotąd obecni na pierwszych stronach gazet. Inny niż przywódcy i inny niż robotnicy — zarówno ci z propagandy, jak ci z ulicy. Wiele razy mówiłem sobie w przerażeniu: oto nadchodzi nowa rasa, kartoflana, nowy człowiek, człowiek sowiecki, u góry władzy spuchnięty od ambicji, strachu, wódki i ponizenia, u dołu ludzkiej magmy spuchnięty od nienawiści, strachu, wódki i ponizenia. Zdjęcia członków Biura Politycznego dziwnie upodobniały się do zdjęć przodowników pracy socjalistycznej, w obu wypadkach proces odczłowieczenia posunął się daleko.

Chłoporobotnicy wspinający się po szczeblach urzędniczej hierarchii, zagubieni na korytarzach stołecznych biur, mieszanina Kafki i Orwella, która nadała twarzom gierkowskiej Warszawy szczególnie nieprzyjemny wygląd. Myślałem, że będzie jak w Rosji: dawne elity zlikwidowano fizycznie, tradycję zerwano, tłum ludzki poddano demoralizującej tresurze. Pamiętam wyraźnie moment przesilenia. Wróciłem z podróży do Stanów w styczniu 1979 roku, w sławetną zimę klęski. Na twarzach rysowało się zmęczenie i ponizenie. Wzajemna złość. Zbliżał się czerwiec, pielgrzymka papieża do Polski. Po Warszawie rozpuszczano pogłoski o tłumach chłopów szykujących się do najazdu, opowiada-

no o ludziach zatratowanych na śmierć podczas papieskiej wizyty w Meksyku. W przeddzień przybycia Ojca Świętego udałem się na Stare Miasto. Pamiętam szok: dużo młodzieży studenckiej i licealnej z okolic, dokąd papieżowi nie pozwolono się udać (głównie Wybrzeże). Dawno nie widywałem takich twarzy, uśmiechniętych, spokojnych, pięknych i śmiałych. Przez dziewięć dni papieskiej wizyty oglądałem podobne twarze. Nie ludzką magmę, lecz zbiór ludzi godnych.

Podobny szok od sierpnia. Inne twarze i inne słowa. Spęczniałe kartofle zniknęły z ulic, straszą jedynie w telewizji. Skąd ci ludzie, skąd to wyzwolenie języka, skąd ten triumf najlepszych cech demokratycznej tradycji szlacheckiej? Jakby twórcy Solidarności wyszli z obrazów Malczewskiego i Grottgera, jakby byli nie tyle nawet wielbicielami Żeromskiego, co ustrojowo-prawnych analiz Henryka Kamińskiego, których nikt nigdy w Polsce nie czytał (ani obecnie, ani wówczas). Jakby Tocqueville był ulubioną książką młodych robotników. Przecież nie można zrozumieć Polskiego Odrodzenia bez uwzględnienia pojęcia honoru. Twórcze i wyzwalające nawiązanie do tradycji widoczne jest powszechnie.

Polskie Odrodzenie przyniosło odpowiedź na pytanie, nad którym głowiłem się od lat: jak odbudować podmiotowość jednostki i społeczeństwa, jak wyjść ze stanu magmy, jak wyjść z totalitaryzmu? Od lat interesował mnie problem niezależnych elit. Widziałem w nich gwarancję obywatelskich swobód. Krążenie myśli, dóbr, wartości między grupami ożywia tkankę społeczną. Zanikanie tych czerwonych ciałek powoduje paraliż społeczeństwa, rozrost rakopodobnego aparatu władzy. Totalitaryzm polega na zlikwidowaniu niezależnych grup i niedopuszczeniu do ich odrodzenia.

Czy nie dlatego interesowałem się polską myślą polityczną, żeby nawiązać zerwaną nić, znaleźć uzasadnienie dla duchowej niezawisłości? Szukałem rejonów niepodległych. W sztuce europejskiej widziałem szansę duchowego oparcia. W doświadczeniach kraju szczególnie ciężko przez paraliż elit dotkniętego, w historii Rosji, śledziłem przejmującą, tragiczną lekcję. Z liberalnej tradycji europejskiej odczytywałem konstytucję wolności. Ale w Polsce, w Polsce zniewolonej i upokorzonej, z upływem czasu, z zanikaniem wspomnień, z pojawianiem się nowych pokoleń, już po wstrząsie, wstrząsanej nadal — skąd miałyby się pojawić nowe, swobodne twarze, skąd niezależne elity, skąd wiedza o mechanizmach demokracji, skąd smak trudnej wolności, wolności w granicach prawa?

Sierpień 80 stanowił pod tym względem pouczającą lekcję. To w interesie tych, którzy kontrolują mechanizm władzy i paraliżują życie społeczne, jest twierdzenie, że w istniejących warunkach tylko oni mają wiedzę o mechanizmach władzy, a jakiegokolwiek społeczne odrodzenie jest nieprawdopodobne. W sierpniu wyszły na powierzchnię grupy obywatelsko rozbudzone, elity aktywne, lecz świadome ograniczeń, uczące się zdumiewająco szybko. Wyobrażałem sobie dotąd, że upodmiotowienie społeczeństwa będzie procesem rozłożonym na dziesięciolecia. Małe grupy dyskutujące o sprawach publicznych, elitarne lektury, potem grupy szersze, jeszcze szersze. Wszystko nastąpiło inaczej. Błyskawicznie pojawiły się nowe twarze. Bez lektury Klaczki, Tocqueville'a, Rauschninga, Miłosza, Orwella.

Mary McCarthy powiedziała jeszcze jedną rzecz, która mnie i moim przyjaciółom przychodziła często na myśl: jaka szkoda, że Hannah Arendt nie dożyła polskiego sierpnia. Śledziłaby z pasją rozwój wydarzeń. Zobaczyłaby w nich ważne uzupełnienie swojej książki o totalitaryzmie. Przecież wydarzenia polskie są pierwszą na tę skalę próbą wyjścia z totalitarnej formacji nie tylko politycznej (jak miało miejsce w Hiszpanii), lecz również społeczno-ekonomicznej. Samorządność byłaby pojęciem bliskim Hannie Arendt. W komitetach strajkowych mogłaby dostrzec ciekawszy odpowiednik rad robotniczych. Czyżby na naszych oczach pisane były pierwsze strony prawdziwego epilogu jej książki? Czyżby zbliżał się koniec fatalnego eksperymentu? Wiem, epilogi w historii nie istnieją, ani ostateczne triumfy dobra, ani triumfy zła.

Zbieraliśmy się do wyjazdu z Castine do Orono, gdzie Mary McCarthy jest *writer in residence*. Zostałem razem z nią zaproszony do dyskusji na temat *Biographical and Autobiographical Elements in the Fiction* organizowanej przez wydział anglistyki. Przed samym wyjazdem Jim przyszedł z wiadomością, że w Kairze dokonano zamachu na Sadata. Stan prezydenta Egiptu jest ciężki, nie wiadomo, czy żyje. Od razu pomyślałem: papież, Reagan, prezydent Iranu. Nie mam wątpliwości, kto na śmierci Sadata może skorzystać. Po drodze drzewa błyszcząły piękniejsze niż dotąd. Mieniły się cynobrem z wierzchu, pod spodem spokojnie płynęły złotem. Japońskie klony przechodziły z butelkowej zieleni w zgniły brąz. Dlaczego natura w Stanach dopadła mnie z taką siłą? Klony stawały się coraz radośniejsze, buki uderzały powagą, świerki były jak zawsze niezłomnie zielone. Błyskały porozrzucane szpalery pomarańczowych pochodni. Mary

opowiadała historię Roberta Lowella, jego choroby psychicznej, jego miłości i jego śmierci w progu domu. Niedaleko Castine oglądałem pracownię poety nad brzegiem zatoki. Omawialiśmy czekającą nas dyskusję. Powracały w nowym przebraniu językowym moje niekończące się rozmowy z Ewą: literatura zmyśla świat i mówi prawdę o świecie; gdzie przebiega granica tego zmyślenia, jakie są kryteria tej prawdy?

Rewia drzew nie ustawała. Cynober ze słonecznej strony, żółć i złoto w cieniu. Dziwna zmysłowość liści. Jim znalazł tranzystor. Złapałem jakąś stację: „Prezydent Reagan powiedział, że Sadat był wielkim człowiekiem”. Był — czyli śmierć. Drzewa od razu przygały. To jak zabójstwo w Marsylii. Mam nadzieję, że nie jak mord w Sarajewie. Podziwiałem Sadata za jego odwagę, ale jego plany opierały się na jednym człowieku, na nim samym. Trudno wyobrazić sobie lepszy cel dla terrorysty. Jego przyjazd do Jerozolimy, wystąpienie w Knesecie, to były kroki historyczne. Jego polityka wewnętrzna budziła moje opory, zwłaszcza ostatnio, gdy masowo aresztował opozycję. Był jednak głównym architektem pokoju (nadziei na pokój) na Bliskim Wschodzie, w zapalnym rejonie świata. Od razu myśli interesowne: Rosjanie mają jeden kłopot mniej, Zachód jeden, olbrzymi, więcej. Rozwiązuje to ręce pierwszym, związuje drugim. Dlatego tak przejąłem się śmiercią Sadata. Co oznacza dla nas, dla Solidarności? W 1956 roku szalona wyprawa sueska uła twiła zgnicenie młodej wolności w Budapeszcie.

Cały wieczór i część nocy spędziłem przy telewizji. Wywiady Barbary Walters. Sadat i Begin w Jerozolimie. Sadat po Camp David. Jego wyznania o sensie życia, o śmierci, której się nie lęka. Ambasadorowie Izraela, Egiptu, państw arabskich. Ostrożnie cedzone słowa. Przebija przez nie obawa przyszłości. Sceny z kairskiej rzezi. Trybuna rządowa złana krwią. Poharatana twarz, ciało wygięte w śmiertelnym skurczu. Przeskok ku dniom radości. Trójka triumfatorów: Sadat, Begin, Carter po Camp David. Przemówienie w jerozolimskim parlamencie. Śmiałe słowa umiarkowania, które zrodzić musiały wrogów. Zapłacił już za te słowa.

Życie toczy się dalej, odzyskuje swoje prawa, po wstrząsach. Myślałem o tym w czasie panelu na prowincjonalnym uniwersytecie, jak z *Pnina*. Jakież intrygi naukowców niezbyt pewnych własnych pozycji i zupełnie przekonanych o umysłowej nicości rywali. Mary zachowywała się bardzo taktownie, interesowała się ich sprawami i konfliktami bez sztucznej przesady,

która mogłaby zranić. W czasie dyskusji każdy mówił o czymś innym. Najpierw specjalistka od literatury angielskiej, poetka, przeczytała esej o Virginii Woolf, panięńsko wdzięczny i wypieszczone, choć nie bez stylistycznych zawijasów. Zestawiła kilka fragmentów niedawno opublikowanych *Dzienników*, gdzie mowa jest o powstawaniu *Do latarni morskiej*, z samą powieścią: granice wyobraźni autorskiej i jej transformująca siła.

Zabrałem głos krótko. Wiem, że lepiej nie narażać słuchaczy na dogłębniejszy kontakt z moją angielszczyzną. Starałem się szczerze zastanowić nad tym, co znaczy dla czytelnika Flaubertowskie „Madame Bovary to ja”. Czy znaczyłoby to, że każda powieść jest autobiograficzna (zawiera skryte świadectwo o autorze) — z wyjątkiem autobiografii, czyli portretów świadomych, więc upozowanych? Tak i nie. Element fikcji jest niezbędny. Gdy chcemy zrozumieć atmosferę jakiejś epoki, sięgamy raczej do ówczesnych powieści niż do gazet. Potrzebujemy fikcji. Która musi być jednak związana sekretnymi nićmi z rzeczywistością. Sekretnymi, dlatego nie ma recept na sztukę.

Mary McCarthy opowiadała o własnych doświadczeniach pisarskich, o często nieświadomych zabiegach urealnających. Kiedy zostaną przez autora dostrzeżone jako chwyt, ich magia przyska. A magia jest niezbędnym składnikiem sztuki. Pojawia się nawet w najbardziej realistycznych, „wiarygodnych” utworach. To ona współtworzy ich wiarygodność. Mary wprowadziła rozróżnienie *fiction* na *novel* i *tale*. *Tale* (opowieść) to utwór, w którym narrator stanowi element dystansu między czytelnikiem a przedstawianym światem. *Novel* (powieść) to dłuższy utwór fikcyjny bez tak rozumianego narratora. A powieść angielska XVIII wieku, Sterne? To nie jest powieść w tym rozumieniu. Takie rozróżnienia tylko niekiedy wnoszą coś interesującego. Rzucają nowe, sztuczne światło. Zawsze zewnętrzne wobec dzieła.

Profesor literatury niemieckiej, młody, puciołowaty okularnik, specjalista od Rilkego, snuł mętne spekulacje na temat swojej dziedziny. Wymienił trzy dzieła interesujące przez ich odniesienie do biografii autorów: *Malte Rilkego*, *Śmierć w Wenecji* Tomasza Manna, *Przemianę* Kafki. W pierwszym związku z rzeczywistością (nadrzeczywistością) Rilkego jest zupełnie oczywisty i jeżeli struktura u Kafki...

Odpłynąłem. Rilkeolog snuł dalej naukową pajęczynę, jeszcze jeden referat potrzebny do pchnięcia naprzód naukowej kariery.

Ale mówił przecież o moich znajomych. Bliskich znajomych. Odpłynąłem ku nim. W odniesieniu do Kafki słowo „bliski” nie pasuje. Raczej trzeba by mówić o strachu przed lodowatą doskonałością i celnością jego koszmarnych wizji. Tomasz Mann towarzyszy mi od lat. Rozumiem wyznanie Gombrowicza, że wcześniej odczytał on w *Toniu Krögerze* cieniście naszkicowany zapis swego losu. Zmieniał się mój stosunek do Manna. Niektóre jego utwory — *Józef i jego bracia*, *Wybraniec* — są mi obojętne, ale nie przyłączyłem się do międzynarodowego spisku przeciw Mannowi, do którego należą niektórzy z moich przyjaciół. Pozostałem mu wierny. Jest częścią mojej wyobraźni. Pojawiają się w niej i Hanno Buddenbrook, i Aschenbach, i Settembrini, i Hans Castorp, i Claudia Chauchat, i Bronisław Hippe (jakkolwiek było ze złamaniem ołówka).

A Rilke? Jest mi bliski inaczej. Jako zapis intymnych olśnień i przestroga przed niebezpieczeństwami. Fascynacja nicością stanowiąca jedną z wersji fascynacji przepaścią. Bez dystansu mannowskiej ironii. Malte, reagujący na codzienność odartą ze skóry wrażliwością, współbrzmiał z moją wrażliwością lat licealnych, z moim maksymalizmem estetycznym i duchowym. Od lat niechętnie i z pewnym osłupieniem wspominam tamten okres bolesnego przepoczwarzania. W niektórych wierszach Rilkego odnajdywałem wówczas czysty głos moich marzeń. Czytałem zwłaszcza *Sonety do Orfeusza*. Widziałem w nich zapis niedostępnych mi spełnień. Fascynował chłód anielskiej doskonałości. Dziś czytam inne jego wiersze. Odnajduję w nich przemijający zapis niemocy. *Księga godzin* podbija splendorem słowa i rytmu, ale wydaje mi się dziwnie bliska czarom i gusłom Paula Valéry. Między Maltem a panem Teste śledzę więź tajemnego pokrewieństwa. Ich spotkanie byłoby bolesne dla obu, wzajemnie dostrzegliby swoje kalectwa. A zresztą skryliby się w zacięte milczenie. Nie, nie biorę ich za towarzyszy w podróży po Ameryce. Obaj panowie zostają na kartach książek.

Wolę Tonia Krögera. Otwiera furtkę domu, w którym spędził dzieciństwo. Zamieniono dom jego wspomnień w bibliotekę publiczną. Dlaczego skrada się tu z nieczystym sumieniem? Co chce wynieść? I czy nie ma nic wspólnego z pewnym podejrzalnym indywiduum, które też kręci się po świecie? Czego się obawia? Nie jest przecież Cyganem na zielonym wozie, jest synem i wnukiem znacznych Krögerów. Po cóż więc wyruszył w podróż i dlaczego wystaje z jego kieszeni brulion z notatkami? Kogo chciałby tu odnaleźć, tu, w Ameryce, na prowincjonalnym uniwersytecie, wśród twarzy, drzew, śmierci i słów?

HANCOCK TOWER

10 października 1981, Boston

Z oddalającej wysokości Boston ożywa. Sears Tower w Chicago, Empire State Building i World Trade Center w Nowym Jorku, Fairmont Hotel w San Francisco, wybrane punkty obserwacyjne, z których zobaczyłem miasta. Hancock Tower, najwyższy budynek Bostonu, cały w lustrzanych okładzinach, odbija okoliczne domy i płynące pasma obłoków. Stojący naprzeciw dziewiętnastowieczny kościół zadziwia *fin-de-siècle*'ową romańszczyzną. Jego wizerunek na ścianie Hancock Tower przez grę załamania ulega modernistycznej stylizacji. Ujrzałem wielką dyskotekę metropolii: lustro gmachu odślania rozedrganą zewnętrżność Bostonu.

Dotarłem na sześćdziesiąte piętro wieczorem. Robiło się ciemno. Dostrzegłem wyraźnie Beacon Hill, siedzibę nowoangielskiej arystokracji, symbol jej zamknięcia i agresywnej pychy, Boston Common, gdzie latem odbywają się słynne koncerty. Odszukałem muzeum Izabeli Steward Gardner. Wenecki pałac w bostońskim parku. Protektorka Bernarda Berensona zebrała pod jego kierunkiem interesującą kolekcję. Są tam arcydzieła (*Porwanie Europy* Tycjana), są zapisy jej marzeń (portrety Sargenta, ostatnia pieczęć światowości, błyski klejnotów, impresjonistyczny wdzięk toalet). Jest tam kilka dzieł zdobytych przez nią dla mnie. Kierowała nią i Berensonem moja ręka. Kazała wybrać autoportret Rembrandta, zapamiętać jego oczy — puste? przerażone? pewne siebie? nie wiem, szeroko otwarte, witające mnie znów, po latach. Inne autoportrety Rembrandta, jego starcze wyznania, ironia i tragiczny śmiech rozbrzmiewający w Kolonii oddziałują może szerzej, na pewno prowadzą głębiej, ale puste oczy próżnego młodzieńca, pycha złotego łańcucha, zasłona skrywająca przyszłe dni, nieprzenikliwa dla niego, widoczna i częściowo choćby przezroczyista dla mnie, stanowią ważny element mojego Bostonu. Z Hancock Tower szukałem młodzieńczej twarzy, starałem się wpisać ją w budynek, w jego lustrzane ściany, w ulice i mieszkańców Bostonu, w nagły przypływ wspomnień.

Szukałem innych obrazów, ich odbicia w Bostonie i we mnie. Wyznaczyły mi niegdyś rytm miasta. Rozbrzmiewało nimi we mnie, odbijało się w dziełach. Schodziły z muzealnych ścian. Przenosiły się do mojej galerii. Odczytywałem je; one czytały we mnie. Któż dojdzie, czyja lektura była pierwsza? Niech

odbijają się odsyłając w nieskończoność — jak szybko przesu-
wające się białe błamy chmur na szklanych płytach Hancock
Tower. Młodziutki *Święty Jerzy* Crivelliego, o delikatnej urod-
zie z włoskich podróży, manierystycznie wznosi się na koniu,
piękniejsze dopełnienie prerafaelitów. Takim byłby Burne Jones,
gdyby był prawdziwym kolorystą, gdyby nie popadł w dogma-
tyzm linii i symboli. W pokoju Vermeera trwa koncert, chwila
świata. Zatrzymane od trzech stuleci, lecz wciąż żywe mgnienie
mieszkańskiej Holandii. Czasem wydaje mi się, że rozpoznaję
chwile Vermeera na dzisiejszych i jutrzejszych ulicach Nowego
Jorku, wśród rozszarpanych słońcem budynków Harvardu. Kiedy
powietrze nabierze ostrości i przezroczystości, kiedy chłonnie w
siebie zapachy miasta, blask domów, szafirowe rozedrżanie noc-
nych myśli, rozpalenie dnia, wówczas widzę czas poza czasem.
Czas żywy. Jak u Vermeera. Tak było przed trzema laty.

Pamiętam białe lśnienia parnych, gorących dni. Chodziłem
codziennie do harwardzkiej biblioteki. Nie tylko upał doskwierał.
Rozgrzana wilgoć oblepiała zewsząd. Nie ma o niej pojęcia, kto
nie spędził lata na Wschodnim Wybrzeżu. Jakbym mieszkał trzy
tygodnie w tureckiej łaźni. Miała kształt harwardzkiego uniwer-
sytetu i okolic. Zar nie zmniejszał się nawet w nocy. Zwoleń-
niczy ruchy. Robić to tylko, co niezbędne, niezbyt szybko. Myśl ule-
gała wygładzeniu. Kierowała się jedynie ku sprawom naprawdę
ważnym. Bez protez wymuszonego wysiłku.

Biblioteka przynosiła uspokojenie, stanowiła strefę wzglę-
dnego chłodu. Czułem dziwną swobodę. Co niemożliwe, zostało
odsunięte z pola widzenia. Chodziłem w stanie lekkiego rauszu.
Spać było trudno. Siadywałem w bibliotece do dwunastej, do
chwili zamknięcia. Raz nawet nie usłyszałem końcowego sygnału
i zostałem zamknięty z książkami. Z trudem udało mi się zwró-
cić na siebie uwagę nocnego strażnika. Najpierw był nieufny,
nie rozumiał o co chodzi, chciał czekać na uniwersytecką policję,
potem, gdy z jego koślawej angielszczyzny przeszliśmy na włoski,
opowiedział mi sycylijskim dialektem (rozumiałem najwyżej po-
łowę), jak marznie tutaj zimą i jak marzy o powrocie w przy-
szłości do rodzinnych stron.

W południe droga od naszego mieszkania do biblioteki wy-
dawała mi się egzotyczną wyprawą. Z nieba lało się wilgotne
powietrze. Słońce nadawało widokom intensywności. Chwile
Vermeera? Raczej nawiedzone samotne domy na obrazach Hop-
pera. Nie, po prostu obrazy Bostonu i Cambridge, okolice Har-
vardu z tamtego lata, ciągle obecne pod powiekami. Między

obszarami oślepiającej białości zapamiętałem fragmenty o bieli delikatnej i zróżnicowanej. Zbudowane z lekkich plamek południowego śniegu zabarwiały się białą zielenią trawnika przed gmachem fizyki. Biała czerwień kościoła i muzeum. Biała biel drewnianych domów. Biało błękitna szarość jednego z nich. Posuwał się ku mnie leniwie. Dosłownie. Przewożono go powoli na długich belkach. Przeszkadzał w budowie nowej ulicy. Był już zabytkiem, chciano go zachować. Przesuwano codziennie w czasie mojej nieobecności. Kiedy przechodziłem, czał się w bezruchu trochę dalej niż poprzednim razem. Gdy tylko spuszczałem go z oczu, ruszał naprzód. Któregoś dnia zniknął w upalnej wilgotnej bieli.

Poszukiwałem dzisiaj, w porwany wiatrem październikowy dzień, rozpalonego Harvardu z tamtego lata, naszego mieszkania na skraju Sommerville, mojej trasy między biblioteką a domem. Pamiętałem dobrze poszczególne fragmenty. Ale całość? Jak ułożyć rozsypane widoki i odnaleźć wśród nich drogę? Jak zestawić tamtą biel z purpurą jesiennych liści? To tutaj, myślałem, bo nagle za zakrętem ukazał się uniwersytecki gotyk. Nie, to tutaj, bo dostrzegłem rząd bielejących domów, chyba znajomych. To jednak dalej, inna ulica też wydawała się bliska. Zagubiłem się w konfrontacji wspomnień z nowym Harvardem. Musiałem kilkakrotnie pytać o drogę i radzić się planu. Wreszcie dotarłem do szarostalowego domku, w którym z takim trudem zdobyliśmy, dzięki energii Marcina, mieszkanie. Supermarket, oddalony parkingiem od ulicy, jakby wypływały, inny niż z mojego okna, gdy rozbłykiwał w parną noc światłami neonu.

Dziwniejsze gry pamięci dosięgły mnie w harvardzkiej bibliotece rzadkich druków i rękopisów, Houghton Library. Chciałem raz jeszcze odczytać listy Jerzego Stempowskiego do Józefa Wittlina. Zrobiły na mnie przed trzema laty duże wrażenie. Zwłaszcza jeden, o śmierci Lechonia. Pisałem o tym liście w *Mapie Ameryki*, opowiadałem go kilka razy. Pamiętałem zwłaszcza metaliczną precyzję słów, swobodnie oddychających, trafiających w sedno znaczeń. Każde zdanie wynikało z długich przemyśleń. Wydawało mi się, że w analizie samobójstwa Lechonia Stempowski osiągnął ideał swojej prozy, doskonałość jakby z rzymskich inskrypcji nagrobnych. Echo jego słów utkwіło w mojej pamięci. Tak mi się w każdym razie wydawało. Z czasem byłem o tym coraz bardziej przekonany. Ale w Houghton Library, w teczce z korespondencją Stempowskiego, nie odnalazłem listu o klasycznej kadencji zdań i zdumiewającej psychologicznej przenikliwości

wyvodu. Nie, nie zginął, nigdy go w tej formie nie było. Dwa listy złączyły się w moich wspomnieniach w jeden, ich forma i treść uległa z czasem destylacji, zbliżyła się do oczekiwań i marzeń.

STEWARD GARDNER MUSEUM

11 października 1981, Boston

Przywitałem się z autoportretem dwudziestotrzyletniego Rembrandta. Nie pamiętałem, że jest tak nieprzyzwoicie młody. Znowu patrzy na mnie ciemnymi kulami intensywnie mrocznych oczu. Światło wydobywa prawy policzek, ramiona spowite zielonoszarym aksamitem, przekreślone jaskrawym złotem łańcucha. Mieni się mysiosrebrna materia kapelusza ozdobionego złotem i kamieniem o kolorze zakrzepłej krwi. Brąz puszystych loków. Karmin ust ocieniony meszkiem młodzieńczego zarostu. Koloryt całości złotozielony tam nawet, gdzie panuje ginąca w mroku stalowa szarość. Powiedzieć, że dostrzegłem w młodzieńczych oczach rozpaczliwy chichot i przesywającą trzeźwość starczego spojrzenia z kolońskiego autoportretu, gdy rozumiał już tyle, nie wszystko, ale tyle, powiedzieć tak, to zdeformować formułą moją reakcję, lecz ślad spojrzenia w spojrzeniu dociera przecież do mnie z ciemnokulistych młodzieńczych oczu.

Kiedy nie wytrzymałem spojrzenia mojego Rembrandta, odwracałem się ku Vermeerowi. We wspinałem wnętrzu trwał koncert. Złączenie wszystkich elementów, które przybliżają jego sztukę. Jest i ukośnie ukazana szachownica kamiennej posadzki, i leżąca na stole materia o rdzawobłękitnym wzorze (vermeerowski błękit natychmiast skupia na sobie uwagę). Są i Vermeery potęgi drugiej, obrazy w obrazie. Na ścianie wisi pejzaż: kępa drzew i niebo wybuchające nowym odcieniem vermeerowskiego błękitu. Inny krajobraz na podniesionym wieku szpinetu, znowu pasmo czułego błękitu. Stalowa biel kobiecej sukni. Chwila zatrzymana. Z całego malarstwa on jeden potrafił tak przedstawić mgnienie żywego czasu. Pomyśleć, że przez dwa stulecia Vermeer był uważany za jednego z wielu rodzajowych malarzy, i to tych gorszych, odartych z indywidualności. Dzisiaj jego osobowość narzuca się powszechnie. Jak nie wierzyć w formującą siłę este-

tycznych kanonów? Mimo nagromadzenia „vermeerowskich chwytów” nie zaliczyłbym bostońskiego *Koncertu* do moich wielkich Vermeerów. Obecność życia byłaby silniejsza, gdyby nie było w ogóle ludzkich postaci. Obrazy, instrumenty, podłoga narzucają się spojrzeniu; muzykującej trójki nie ma, nie zdołała zaistnieć tym spotęgowanym istnieniem, jakim obdarzone bywają postaci Vermeera. Z nowojorskiej *Alegorii wiary* usuwam egzaltowaną kobietę-symbol. Tutaj trudniej dokonać podobnego zabiegu.

Wracam spojrzeniem do Rembrandta. Pod autoportretem, z boku rzeźbionej komody dostrzegam zawieszony maleńki rysunek piórkiem, ledwie kilka centymetrów kwadratowych, autoportret naszkicowany cztery lata później niż obraz. Wąsy już po męsku dojrzałe, spojrzenie wyraziste. Brak jednak intensywnej nieokreśloności wczesnego dzieła. Zapomniałem o istnieniu tego rysunku. Przypomina (gdybym nie pamiętał) o innych obliczach, o niepełności każdego. Narzucająca się prawie zmysłowo nieokreśloność, zdecydowany portret niejasności rzutuje znieruchomiłą chwilę w przyszłość, która nie ma jednego oblicza. Każdy z późniejszych autoportretów jest dopełnieniem bostońskiego arcydzieła, żadnego nie potrafiłbym zatrzymać jako odpowiedzi na pytające spojrzenie kulistych oczu.

Piętro wyżej byk porywa Europę. Tycjan obnażył jej nogi i piersi. Biała materia, zmysłowo zaznaczone kontury bardziej podkreślają niż odsłaniają. Z tej samej ściany Filip IV Velasqueza bacznie przygląda się widzowi, czy nie zatrzymuje się zbyt długo przed tycjanowską nagością. Kto dzisiaj potrafi tak namalować ciało? Dziś więcej można odsłonić, co nie znaczy więcej pokazać. Błękitne góry, cieliste amorki płyną powietrzem, czerwona szarfa powiewa w dłoni omdlałej z rozkoszy Europy, szeroko otwarte ogromne oczy byka, wszystko to jest i sztuką, i artystyczną wizją zmysłów. Wracam na dół i przyglądam się autoportretowi wcale nie mądrzejszy. Z przeciwnej ściany wybija się, między hieratycznie dekoracyjnym *Doktorem praw* Zurbarana a męsko energicznym *Hrabią Arundel* Rubensa, *Burza* Rembrandta. Chrystus z apostołami na miotanej falami łodzi. Jezioro Genezaret przemieniło się w spienione morze. Śmiałość trójkątnej kompozycji, znikomość ludzkich postaci. Czy odwrócona ku widzowi drobna twarz to rzeczywiście jeszcze jeden autoportret Rembrandta? Chyba tak, ale autoportretem jest tu coś więcej, cały nastrój dzieła, ludzki niepokój wpisany w doskonałość kompozycji.

LUNCH Z MIŁOSZEM

12 października 1981, Cambridge

Poszliśmy we czwórkę, ze Staszkiem i Anią Barańczakami, do Atrium przy Harvard Square. Miłosz podkreślał swój krytycyzm wobec Ameryki. „Maszyna do wymóżdżania” pracuje tu pełną parą. Czy skuteczniej niż w innych krajach? — zapytałem. „No, jeśli porównać z horyzontami dostępnymi czytelnikom *Prawdy i Izwiestii*...”. Zaśmieliśmy się. Czy jednak Ameryka, jego zdaniem, wymóżdża bardziej niż Europa Zachodnia? Można tak sądzić, odrzekł. Opowiadał, o czym będą jego harvardzkie *Norton Lectures*. O miejscu poezji we współczesnej kulturze w porównaniu z miejscem, jakie zajmowała w okresie dla niego „klasycznym”, w okresie romantycznego przełomu. Zanikły dawne nadzieje, ambicje poetów zmalały, mówił Miłosz, jakby kontynuując i kontrapunktując wcześniejsze słowa o „wymóżdżaniu” i o „królestwie złotego diabła” w kapitalizmie.

W pewnej chwili pochylił się nad naszym stolikiem czarno-włosy młody mężczyzna i niewyraźnie coś powiedział. Myślałem: pijany bądź znarkotyzowany. Spytał drugi raz jakby się przełamując: „*Are you professor Miłosz?*”. A po uzyskaniu twierdzącej odpowiedzi wyrzucił z siebie: „Chciałem Panu podziękować za Pańską poezję”. Odszedł lekko zawstydzony. To był nagły argument w naszej rozmowie — za szczodropliwością i umysłową otwartością Amerykanów. Ktoś układa wiersze w mało znanym narzeczu niewielkiego szczepu mieszkającego na dalekim, oddzielnym Wielką Wodą kontynencie. Spotyka go uznanie. Tak być nie powinno, twierdził Miłosz, aby emigracyjny poeta polski dostał nagrodę Nobla. Każde z trzech określeń — emigracyjny, poeta, polski — świadczy przeciw racjonalności takiego wyboru.

A jednak jego poezja została zauważona. Zaczyna wchodzić w krwiobieg zachodniej kultury. *Bells in Winter* rozeszły się w kilku tysiącach egzemplarzy, podobnie *Selected Poems*. Tysiąc dla tomu wierszy to już sukces. Czy uznanie potrwa dłużej? Bardzo wątpliwe, odpowiedział Miłosz. Przecież nawet Mickiewicz jako twórca nie istnieje w kulturze światowej. Żaden jego utwór nie wszedł do kanonu (choćby elitarnego). Także Puszkina nie ma na wiarę. Jego anglosaskie przekłady nie oddają poetyckiej maestrii. Wspomaga go wielka rosyjska powieść i olbrzymia ciekawość Zachodu wobec kultury rosyjskiej, traktowanej jako pierwszy stopień wtajemniczenia w zagadki rosyjskiej polityki.

Dobiega końca pierwszy akt mojej wyprawy do Ameryki. Jakby dla efektowniejszego epilogu, otwierającego ku przyszłości, zadzwonił przed moim wyjazdem do Nowego Jorku Miłosz. Chciał się pożegnać. Powiedział, abym pomyślał po powrocie nad ontologiczną słabością kultury polskiej. Rozmawialiśmy o tym podczas naszego spotkania. Polacy istnieją w grupie, dla innych i na tle innych. Gombrowicz wyraził coś z samej skrytej esencji polskiego geniuszu, gdy mówił jednocześnie o wszechwładzy formy i o słabości formy. Dlaczego polonia jest kulturalnie nietwórcza, nie interesuje się książkami, staje bezradna wobec obcych wzorów? Egzystencje wtórne w sytuacji „narodowego rozrzedzenia” nie mają wzorów wyższych, same są zbyt słabe, aby wytworzyć z siebie własny świat. Kultura polska to kultura towarzyska, letnia, argumentował Miłosz, w bardziej wyważonej i lepiej uzasadnionej formie powtarzając oskarżenie, które w liście do ojca rzucił był kiedyś Polakom Zygmunt Krasiński z całym okrucieństwem genialnej młodości.

Problem dystansu wobec wzorów kultury powraca na wielu piętrach i w rozmaitych wcieleniach. Zwłaszcza w warunkach zewnętrznej dominacji przez obcą ideologię jest to problem osobistej strategii, mój problem. Wielka sztuka Carnota, powiedziałyby Mochnacki, ruchu mas, działania liczby i liczbą, oraz problem elit, określenia osobistej strategii. Spór optymistów i pesymistów toczący się w historiografii i w historiozofii, szukający argumentów w duchowej socjologii tłumu i jednostki. Podczas rozmowy o Nowej Fali w poezji Miłosz przypomniał słowa Aleksandra Wata o konieczności oderwania się od nieprzyjaciela. Inaczej pozwalamy narzucić sobie przedmiot sporu, teren walki. Język nowomowy, choćby ironicznie ujmowany, jest groźny. Jego demaskacja dziś nie wystarcza. Częściowo jest już zabiegiem zbędnym. Niektórzy publicyści spełniają to zadanie. Nowa Fala poetycka — twierdziłem — była w swych udanych dokonaniach czymś więcej niż polemiką. Przez refleksję nad sponiewieranym językiem była (bywała) dotknięciem rzeczywistości.

Miłosz bronił utopijnego myślenia. Nie może tego nie czynić, jeżeli jako polski emigracyjny poeta, piszący dla nikogo, wyróżniony został najwyższą nagrodą. Czyż mogą nie czynić tego Polacy po sierpniu 1980, gdy niemożliwe zostało podchwyczone przez olbrzymią większość społeczeństwa i okazało się możliwe? To spór o słowa, odpowiedziałem, bo przecież w sierpniu została przede wszystkim odrzucona oficjalna utopia. Był to bunt przeciw kłamstwu, przeciw narzuconej ideologii, przeciw fałszywej kulturze i pustemu językowi. Bunt w imię rzeczywistości (wiem,

jakie to wieloznaczne pojęcie, ale zeszłego lata o to przecież chodziło, czuliśmy to wyraźnie, o nagłe wynurzenie się rzeczywistości z podziemi). Bunt w imię wierności sobie, wierności kulturze odziedziczonej i otwierającej ludzkie perspektywy na przyszłość.

Od sierpnia, od papieskiej wizyty chodzą mi wciąż po głowie dwa słowa: syzyfowe prace. Syzyfowe prace: tylu ludzi truduło się tyle lat nad produkcją wysoko zorganizowanego kłamstwa, instytuty naukowe, pisma, szkoły, radio, telewizja, organizacje społeczne, polityczne, systemy kar i wyróżnień, zasady awansu, politycy, literaci, dziennikarze, lata pracy, tony, dziesiątki, tysiące ton papieru. Wszystko na nic. Strząśnięte wzruszeniem robotniczych ramion, skwitowane uczniowskim dowcipem. Adresaci nietknięci. Autorzy wąpiący bądź zbuntowani. Wszystko na nic? Niezupełnie. Szkody były, i to wielkie, są nadal, odezwą się w przyszłości, choć ich obecnie w całej pełni nie widać.

A jednak jesteśmy świadkami Polskiego Odrodzenia, oczyszczenia języka, odrzucenia schematów ideologii, tego więzienia, poniżenia, źródła resentymentów. Czy ludzie, którzy tego dokonali, nie mają silnej osobowości? Czy można jeszcze mówić o ontologicznej słabości Polaków? Czy sięgnięcie po suwerenność duchową, ekonomiczną, także polityczną (w tym ostatnim wypadku po świadomie ograniczoną suwerenność) dzieje się w ramach kultury letniej? Czy letniość uległa zmianie? W nagłe zmiany postaw narodowych nie bardzo wierzę. Jeżeli następują, są najczęściej nietrwałe. A może letniość jest warunkiem, środowiskiem naturalnym, ułatwiającym rozwój narodowego odrodzenia, któremu od kilku lat przyglądam się z uwagą i nadzieją? Przypomniały mi się słowa Kota Jeleńskiego z lata tego roku, że letniość, towarzyskość kultury polskiej była dla niego jej główną siłą atrakcyjną. A także inne jego słowa, o których często myślę: że produktem narzuconej, niechcianej komunistycznej indoktrynacji, produktem peerelowskich stosunków okazało się paradoksalnie to niezwykle pokolenie tak kulturalnie chłonne, ten ruch społeczny najważniejszy chyba w powojennej Europie.

NAD CENTRAL PARKIEM

13 października 1981, Nowy Jork

Lot z Bostonu nie zawiódł, choć trwał krótko. Najpierw błękitnostalowa mozaika okolic Bostonu: miasto wypami wynu-

rzające się z wody. Potem ciemna zieleń lasów przeczesana jesienną rudością. Trochę notowałem. Gdy wyrząłem, w dole jednostajne ciągi domków. Nagle pasmo zatoki. Kilka kominów przemysłowych. I Manhattan. Pode mną. Nie panorama, mapa plastyczna. Pulsująca miniatura miasta. Uchwytne wzrokiem serce najbardziej ekspansywnego zbiorowiska świata.

Tyle razy się skarżyłem, że przylatując do Nowego Jorku nie widziałem Manhattanu z góry. Chodząc po mieście daremnie szukałem odkrywczych perspektyw w przejrzystej, lecz monotonnej szachownicy ulic. Teraz wszystko zostało nadrobione. Samolot leciał nisko nad dolnym Manhattanem. Na wysokości Central Parku dokonał obrotu, powoli odślaniając najbardziej efektowne widoki, pochylając się na moją stronę.

Nad Central Parkiem jakby się zatrzymał. Wszedł w zakręt. Pozwolił mi obejrzeć znajome widoki w nowym wcieleniu. Z bujnej zieleni Central Parku wyróżniała się ciemnoszafirowa tafla wody. Drobne fale marszczyły powierzchnię. Nie wiedziałem, że jezioro jest tak duże. Ze wzruszeniem przyglądałem się łące, na której siedzieliśmy podczas pamiętnego dla mnie przedstawienia *Rigoletta* trzy lata temu. Czy dostrzegłem wówczas *Mapę Ameryki*, czy też to była moja mapa, na tle mojej generacji, mojego kraju, moich problemów, a nowojorskie widoki były tylko tłem, wciąż wymykającym się, obcym? *Autobiographie par personnes interposées*? Szukając cudzych cieni w kanionach nowojorskich ulic starałem się odnaleźć cień własny? W każdym razie teraz starałem się odnaleźć znajome budowle, szukałem ulubionych drapaczy, odnajdywałem je we właściwym miejscu, choć w odnowionym kształcie. Kaniony ulic były teraz naprawdę kanionami. Po ich połyskliwym dnie poruszały się żuki-samochody. Samolot powoli płynął wzdłuż Central Parku. Nad górnym Manhattanem skręcił raz jeszcze. Ukazał dalsze perspektywy. Zobaczyłem bliźniacze wieże World Trade Center. Nadal stoicie. Cieszę się.

W NEW HAVEN

15 października 1981, New Haven

Trafiłem na przyjęcie z okazji nowego mieszkania Tomasa Venclovy. Prawie wszyscy goście z Europy Wschodniej. Najwybitniejszy dziś poeta litewski, najwybitniejszy poeta rosyjski,

jugosłowiański historyk kultury, polski socjolog, wyrzuceni do Stanów przez procesy gnilne łagodniejącego i rozpadającego się totalitaryzmu. Jednak łagodniejącego, bo za stalinizmu takie typy duchowe bądź nie mogłyby się pojawić, bądź zostałyby fizycznie zlikwidowane. Wszyscy naznaczeni doświadczeniem stamtąd. Jak rozwiną się nowe elity emigracyjne? Czy zachowają więzi z rodzimym językiem i kulturą? Czy te więzi nie przesłonią równie życiodajnego kontaktu z kulturą otaczającą ich obecnie?

Brodski wspomniał w naszej rozmowie o zeszytwnieniu ojczyztego języka w późnej twórczości Nabokova czy Wiaczesława Iwanowa. Kiedy mówiłem o oczyszczeniu mowy na wygnaniu, o osiągnięciu zadziwiającej precyzji przez Gombrowicza i Miłosza, zainteresował się, choć pozostał sceptyczny. Czy myśli o przejściu na angielski? Jego *Elegia na śmierć Johna Donne'a* była kiedyś dla mnie wielkim przeżyciem poetyckim. Czytałem ją najpierw po francusku w *Preuves*, potem po polsku w *Kulturze*. Zachowałem w pamięci ton duchowej swobody. Wyczułem bliskie mi uwrażliwienie na historię, które otwiera ku przyszłości. Josif Brodski jest jednym z niewielu nowych rosyjskich emigrantów, którzy znają obce języki i interesują się zachodnim światem. Jego angielszczyzna jest znakomita. Mówił mi Ron, któremu ufam, że żaden ze znanych mu cudzoziemców nie osiągnął podobnej mimikry słowa. Napisał już kilka wierszy bezpośrednio po angielsku, przełożył sam niektóre swoje rosyjskie utwory. Ciekaw jestem drogi jego dalszego rozwoju. Jest w sytuacji bardzo trudnej. Sprawa toczy się przecież nie tylko o wybór języka. Ku jakiej tradycji literackiej miałyby się zwrócić? Puszkina, to oczywiste, dalej Achmatowa. W jakim kontekście duchowym ich umieści, jakich antenatów sobie doborze? Wszyscy stajemy przed podobnymi problemami. Brodski, jak sądzę, natknął się na te dylematy z wyjątkową brutalnością.

W New Haven poszukiwałem dawnych śladów. Przeszło trzy lata temu spędziłem parę miesięcy w cieniu biblioteki. Pisałem esej o malarstwie Davida Hockneya. Czytałem przeróżne książki. Wyruszyłem teraz na spacer po kampusie dawnymi szlakami. Zamazały się w pamięci. Miasto było częściowo oswojone, oswojone w wyobraźni, ale zarazem zamazane przez czas, domagało się konkretyzacji i dopuszczało każdą możliwą konkretyzację. Tędy chyba chodziłem do biblioteki Wydziału Sztuki oglądać albumy Schielego i Steinberga? Nie, to było tędy. Nie wiem, nie pamiętam. Nie pamiętam księgarni, na którą nagle się natknąłem, a przecież księgarnie przynajmniej zapamiętuję dokładnie. Poszukiwana przez mnie droga mogłaby przebiegać

wszędzie — w tej tonacji, w tych formach, w tej architekturze, odmiennej od innych uniwersyteckich miast amerykańskich, lecz wewnątrz campusu Yale całkowicie wymiennej. Mapa miasta składa się dla mnie z płynnych elementów, czeka na zastygnięcie. Normalnie wyobraźnia jest formą otwartą, gotową na przyjęcie i przetworzenie rzeczywistości. Teraz, po trzyletniej nieobecności, wyobraźnia była konkretna, to rzeczywistość atakowała ją i zaskakiwała, domagała się ciągłych korektur i kompromisów.

Porządkowałem dawne ślady: ulice, przyjaźnie, książki, wspomnienia. Idąc do Wandy, daleko na Prospect Street, zboczyłem ku naszemu domowi na Mansfield. Minąłem lodowisko, któremu Saarinen nadał kształt wieloryba. W parku jesień znów ukazała się z nowoangielskim przepychem. Przy domu Wandy stał samotnie najpiękniejszy klon, wyuzdany, purpurowy płomień. Gdy podszedłem, ukazały się bardziej dyskretne liście, zachowujące jeszcze przyzwoite złoto, bądź nawet zieloną naiwność i niewinność. To drzewo, szokujące, niepochwytnie, wielobarwne, wycieniowane, domagało się ode mnie wysiłku, precyzji i śmiałości, jakiej potrzebuję do nazwania otaczającego świata, do zatrzymania — w matowości i schematyczności słowa — splendorów natury, do zrozumienia kontaktów z ludźmi, czekających mnie za chwilę i w przyszłości.

Następnego dnia dwukrotnie gubiąc ślad dotarłem do uniwersyteckiej galerii sztuki. Szukałem wystawy *Caprichos* Goyi. Przy okazji obejrzałem stałą ekspozycję. Od ostatniej mojej wizyty wzbogaciła się przynajmniej o jeden legat, wspaniały. Wybuch francuskiego geniuszu w widzeniu: od Cézanne'a przez Odillon Redona (można go w Ameryce lepiej obejrzeć niż we Francji) po odwagę Rouault — nagi tors, widziany od tyłu, metaliczny i cielesny; naprzeciw witrażowe *Ukrzyżowanie*.

Goya piętro wyżej. Nowoczesność, okrucieństwo, precyzja, śmiałość. Jego prywatna wizja trafia doskonale w nasz świat. Szamocze się na granicy szaleństwa. Czasem ją przekracza. *Kaprysy* tworzył człowiek nienawistny, zamknięty w sobie, w błysku chorego geniuszu odślaniający chorobę świata, ukazujący nowe widzenie. Celność linii, niepowtarzalność każdego ujęcia, uderzyło mnie to, gdy przed laty Józef Czapski pokazywał mi album ze świetnymi reprodukcjami błyskawicznych notatek-rysunków Goyi.

Podczas pierwszego pobytu w Yale oglądałem wystawę Hockneya, słoneczną, szczęśliwą. Ożywał przede mną indywidualny

świat i narzucał się siłą talentu. Dostrzegłem wówczas równoległy zapis moich amerykańskich wrażeń. Świat jednostronny, stronniczy świadek, specyficzne spojrzenie. Tak jak teraz Goya jest jednostronny. Zauważa tylko koszmary. Z jaką jednak konkretnością, skrótowością wizji. Z jaką siłą potrafi podporządkować sobie fantazję widza. Te obsesje to świat, myślałem, choć wiem, że to tylko jeden odblask świata we mnie, mnie w świecie sztuki.

Wyobrażenia kierowała się przez kaprysy wyobraźni Goyi ku innym dziełom z tamtej epoki. *Więzienia* Piranesiego są wcześniejsze. *Czarodziejski flet* zrodził się w roku 1791. *Kaprysy* zostały wypuszczone w świat w ostatnim roku XVIII wieku. Dotyczą wszystkie trzy królestwa nocy, nadchodzącego schyłku pewnej formacji artystycznej, duchowej, cywilizacyjnej. Goya dostrzega noc koszmarną, Piranesi wzniosłe tragiczną i szaloną, Mozart szaloną dwuznacznie i w końcu twórczo. To tylko formuły. Trzech artystów opowiedziało trzy historie, które stały mi się bliskie. Podobnie jak w dzieciństwie uczymy się mówić, rozpoznajemy słowami otoczenie i dzięki otoczeniu uczymy się sensu słów, tak później dla niektórych, dla mnie, utrwalone przez artystów mgnienia ich wewnętrznego świata są ważną pomocą w rozpoznawaniu mojego świata. Więcej niż pomocą, stają się jednym z jego składników. Nie tylko mogą dzięki nim przekazać coś innym względnie zrozumiale i bez boleśnie zawitych obnażeń. Mogę też lepiej rozmawiać ze sobą, dostrzegać siebie i budować siebie

U I W Y

18 października 1981, Hurley, New York

Na wsi przyglądałem się dokładniej przesileniu jesieni. Pokazała się raz jeszcze w blaskach babiego lata. Koło domu przyjaciół Iwy wystarczyło przejść przez gęstwą świerków i wchłoniętych przez nie klonów, wdrapać się trochę pod górę, a ze skalnego urwiska otwiera się widok na siwe pole pastewnej kukurydzy i na łagodnie wznoszące się wzgórze w intensywnych kolorach przemijającej jesieni. Brak młodosoczystych zieleni i radośnie rozświetlonych pomarańczy. Triumfują zgniłe brązy, ciemnoburaczana czerwień, żółcie przechodzą w rubinowe karminy. Od ziemi bił mocny zapach butwiejących drzew, opadłych liści, późno kwitnących krzewów. Na podwieczorek zjedliśmy ugotowaną dy-

nię, silnie przyprawioną, co ratowało jej mdły, słodkawo kartoflany smak. Do tego trochę polskiej kiełbasy, surowej kapusty z oliwą, piwo.

Znajomy gospodarz demonstrował swój nowy wynalazek, z którego chciałby zrobić modę. Jedno z tych prostych amerykańskich szaleństw: dwa gumowe kółka na drewnianym drążku; ich rozstaw można regulować. Służą one do rozluźniania mięśni krzyża. Kalifornia jest wybraną ojczyzną takich dziwnych wynalazków. Niektóre z nich podbijają Stany, wyznaczają działania ludzi. Dla twórców oznaczają nagłe bogactwo, prawdziwe, na amerykańską skalę. Milionom narzucają styl życia. Nieliczne wynalazki tego typu stają się modą. Co decyduje? Reklama, znajomości, instynkt handlowy, przypadek? Nie umiem odpowiedzieć. Nagłe manie dowodzą potrzeby wzorów. Odbiorcy kultury masowej pozostają w kręgu parareligijnej mentalności. Poszukują zbawienia, gdy idą do psychoanalityka, gdy jedzą tylko *health food*, gdy pograżają się w kulcie ziemi, seksu, równości, różności, Murzynów, Ameryki.

Kiedy wracaliśmy, okoliczne lasy płonęły złotem, brązem, czerwienią i nieskończoną gamą barw pośrednich. Przyroda wabiła chwilą przesilenia, życiem intensywnym, zatrzymanym na mgnienie, wzbogaconym o mnogość form przemijających. W jesiennych krajobrazach Nowej Anglii fascynuje mnie odbicie moich pragnień, nadziei, lęków, rozczarowań. Nie jestem wielbicielem natury. Musi dotknąć strun naprawdę osobistych, abym ją zobaczył. Wówczas nie daje o sobie zapomnieć. Tak było tym razem. Z sypialni Iwy widać daleką przestrzeń lasu, miejscami zrudziałego, miejscami rozbłyskującego ostrym karminem. W tle siodło gór i zapowiedź odległych perspektyw. To jest jeden z widoków otwierających ku życiu, ku intensywności zgodnej z biologicznym rytmem i kierunkiem duchowej ekspansji.

Zatrzymaliśmy się w Woodstock. Defilada drzew trwała nadal. Najbardziej dorodne klony stawały na baczność wzdłuż szosy. Towarzyszyły mi za oknami autobusu, którym wracałem do Nowego Jorku.

NOWY JORK I POLSKIE NIEPOKOJE

19 października 1981, Nowy Jork

W autobusie zasnąłem. Wykorzystano ten czas do zmiany dekoracji. Zadymione zakłady przemysłowe, stłoczone domy.

W brzydkim płaskim pejzażu daleko w tle samotny budynek. „To Empire State Building. Budował go mój kuzyn”, odezwała się moja agresywna, trochę zapewne stuknięta sąsiadka. Nie uwierzyłem. I nie poznałem w pierwszej chwili wieżowca. Gdzie podział swoich braci, budynki niewiele niższe, bądź, World Trade Center, wyższe? Nie wiem, ale to był on. Jeszcze kilka zakrętów. Zrzuciliśmy balast podmiejskich domów. Już czeka. Empire State Building, królujący wśród innych. Panorama Manhattanu okręcająca się wzdłuż drogi. Chrysler czarujący iglicą. Poszarpana, dramatyczna sylwetka miasta.

Rano zadzwoniła moja opiekunka z International Visitor Center. Ledwie zdążyłem do niej na dwunastą. Załatwiła wizytę w szkole. Zajmie się innymi spotkaniami. Podobno Hockney ma przyjechać do Stanów i zatrzyma się w Nowym Jorku. Pod koniec chwili rozmowy o Polsce. Co sądzę o ostatniej zmianie? „Jakiej zmianie?” — „No, zmieniono tego... jak on się nazywa...” Po chwili zrozumiałem, że chodzi o Kanię. Nic o tym nie wiedziałem, nie czytałem jeszcze gazety. Znowu mnie dopadło. Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie opuściło mnie nigdy. Cień rodzimych spraw, mieszanina nadziei i strachu. Starłem się nie ciągnąć za sobą odległych — tu, w Ameryce — obaw i koszmarów.

A jednak sytuacja polska stale określa zakres mojego widzenia. W podróży po Ameryce jestem bardziej uwrażliwiony na pewne problemy, bo zostawiłem za sobą kraj zmagający się o wolność, rozpadający się ekonomicznie, płacący teraz rachunki za lata szalonych rządów. Zostawiłem za sobą — i kurczowo trzymam ją w sobie — nadzieję na odzyskanie trwałej swobody społecznej. Może w przyszłości moja wolność wewnętrzna nie będzie się zderzać ze ścianą zewnętrznych fałszów i przymusów. Nadzieje po raz pierwszy oparte o społeczną siłę. Nadzieje kruche. Wystarczy jedna decyzja, obłąkana i zgubna z mojego punktu widzenia, lecz mająca za sobą pewne racje z punktu widzenia decydenta, zamkniętego w schizofrenicznym świecie wszechwyjaśniającej ideologii. Wystarczy jeden gest, trudny do zatrzymania w momencie startu, nie do zatrzymania, gdy niszcząca tkanke społeczną maszyna nabierze impetu.

Boję się szalonej decyzji. Staram się nie pamiętać o wiszącej nad nami groźbie. Interwencja w Polsce musiałaby się różnić od interwencji w Czechosłowacji, gdzie trzeba było przede wszystkim przywołać do porządku partię komunistyczną, przywrócić jej leninowski charakter, to znaczy podporządkować rozkazom Cen-

trali. Różniłaby się także od interwencji na Węgrzech w 1956, gdzie czołgi miały za zadanie zdusić wolność liczącą raptem kilkanaście dni. W Polsce wolność zakorzeniła się głębiej. Interwenci musieliby zniszczyć nową klasę polityczną, działaczy Solidarności, wyrobionych już w społecznym działaniu, umyślowo niepodległych. Trzeba by położyć tamę działaniu Kościoła, niezależnych organizacji, niezależnych wydawnictw i pism, niezależnemu działaniu i myśleniu, trzeba by zniszczyć całe pokolenie, kilka pokoleń. Wprowadzić terror. Na wielką skalę. Byłby to wstrząs również dla wewnętrznego organizmu Związku Sowieckiego. Wiem o tym. Byłby jednak taki krok uratowaniem Imperium w jego obecnym kształcie. Wiem o tym. Czy wiem na pewno? Interwencja byłaby przecież zburzeniem równowagi w Imperium. Na pewno nie wiem nic. Sytuacja polska jest nowa. Wykracza poza ramy jałtańskiego porządku. Dlatego budzi nadzieje jednych, obawy innych, zmusza do uważnej obserwacji, do porzucenia schematów i zwodniczych analogii historycznych.

A Jaruzelski, który został następcą Kani? Nie wiem. Co oznacza konsekwentna militaryzacja władz? Na sesji poświęconej rocznicy wypadków marcowych Anna Walentynowicz w świetnym przemówieniu wyrażała zaniepokojenie coraz to nowymi przedstawicielami wojska powoływanymi na stanowiska rządowe i partyjne. Może jednak teraz przerwany zostanie trwający od miesięcy najbardziej dokuczliwy dla społeczeństwa strajk, strajk władz, które nie podejmują żadnych wysiłków, aby wprowadzić konieczne reformy. Więcej, wyraźnie przeskadzają reformom, boją się uszczuplenia swych przywilejów. Bez takiego uszczuplenia, bez uwłaszczenia społeczeństwa niemożliwa jest poprawa ekonomiczna. Czy wybrane zostanie porozumienie, czy też strach przed ograniczeniem nomenklatury skłoni rządzących do wyboru narodowej katastrofy?

POWRÓT DO SZKOŁY

20 października 1981, Nowy Jork

Wstałem przed szóstą rano. Było jeszcze ciemno. Ubrałem się, umyłem, nie miałem siły, aby cokolwiek zjeść. Wyszedłem starając się nie myśleć, nie czuć, nie ulegać porannej beznadziejności. Godziny wyrwane ze snu pogrążają w intensywnie smutnej pustce. Jak automat szedłem do metra. Niedospany ranek

łączył się w pamięci ze wspomnieniem agresywnego zapachu powietrza, zimna, mechanicznych ruchów. Wracałem do szkoły. Przez wszystkie lata liceum pierwsze godziny przepełnione były pustką.

Naprawdę wróciłem do szkoły. Poprosiłem, aby pozwolono mi obejrzeć dobre gimnazjum nowojorskie. Przez pierwszą godzinę bardziej niż o Tocqueville'u myślałem o *Ferdydurke* i o szkolnych fragmentach *Buddenbrooków*. Myślałem o własnych, przykrych wspomnieniach. Amerykańska rzeczywistość szybko przebiła się przez pokłady obolałej pamięci. Dalton School mieści się na Osiemdziesiątej Dziewiątej Ulicy między Lexington i Park Avenue. Jedna z najlepszych szkół, o liberalnych tradycjach. Wszyscy uczniowie wybierają się później na studia. Większość marzy o elitarnych uczelniach Ivy League.

Byłem na dwóch lekcjach literatury angielskiej. Na pierwszej, w maturalnej klasie, omawiano *Słońce też wschodzi* Hemingwaya. W dalszym planie *Zgiełk i furia* Faulknera i *Lolita* Nabokova. Byłby się zdumiał profesor Pnin. Młody nauczyciel z emfazą odczytywał fragmenty i kazał się wczuwać w psychologię postaci. Co znaczy ten gest? Czy bohater tak postępując staje się bardziej sympatyczny? Czy jest to moralne zachowanie? Uczniowie odpowiadali chętnie, choć dziecinnie. Ciekaw jestem, co zostaje z takiej lektury, z takiej szkoły. W porównaniu z polskimi bądź francuskimi wzorami uderzył mnie nikły nacisk na fakty i dobry trening w zdroworozsądkowej interpretacji. Moi przyjaciele, którzy uczą na amerykańskich uniwersytetach, opowiadają o zaskakujących obszarach niewiedzy (przy dobrej woli i otwartym umyśle) nawet u studentów z elitarnych szkół. A jednak łatwiej jest takim uczniom przestawić się na uniwersytecki typ zajęć. Dobre wyższe uczelnie w Stanach są dzisiaj na najwyższym światowym poziomie.

Druga lekcja literatury poświęcona była transcendentalistom: fragment Emersona, esej Thoreau, urywek *Song of Myself* Whitmana, wszystko czytane we fragmentach, w klasie. Do domu nie zadaje się prawie nic, lecz podczas godzin szkolnych wymagane jest żywe uczestnictwo. Otwartość umysłu mogłem stwierdzić oglądając szkolne pismo, wydawane lepiej niż najbardziej efektywne niezależne publikacje w Polsce. Jasność wypowiedzi śledziłem w czasie zajęć. Uderzał spokojny ton, bez młodzieńczej agresywności.

Byłem także na lekcji historii. Zajęcia przemieniły się w moją krótką prelekcję na temat sytuacji w Polsce. Później żywe i traf-

ne pytania. O prasę niezależną. O pozycję kościoła katolickiego i innych wyznań. Co zmieniłbym, gdybym mógł zmienić jeden element polskiej sytuacji? Czy manewry na granicy nie zniechęcają społeczeństwa do Solidarności? Czy groźba interwencji jest realna? Czy obecna podróż przez oddalenie pozwoliła mi lepiej zrozumieć sytuację w Polsce? Co mnie najbardziej razi w Stanach? Jak oceniam ich szkołę i sposób nauczania w porównaniu z naszym? Starałem się odpowiadać uczciwie i zrozumiale. Uogólniałem, ale też przyznawałem się do niewiedzy. Podkreślałem nowość wydarzeń w Polsce. Ofiarowano mi wydawany przez uczniów półrocznik polityczny *Macrocosm: The Public Affairs Review* wzorowany na *Foreign Affairs*. Jak wyobrazić sobie możliwość szkolnego pisma politycznego w Polsce? A przecież bez takiej możliwości trudno mówić o normalnym rozwoju i selekcji elit obywatelskich. Trzeba zresztą przyznać, że po ostatnim roku wyobraźnia działa już sprawniej: oczywiście nie w takiej szacie graficznej, ale niezależne pisma szkolne zaczynają się pojawiać. Zamknięcie przez władzę jednego z nich, *Ławy*, narobiło przed moim wyjazdem sporo szumu. Słyszałem też o innych uczniowskich publikacjach.

Z Y G F R Y D

21 października 1981, Nowy Jork

Z Metropolitan Museum wyszedłem dość późno. Nie zorientowałem się, gdzie należy wziąć autobus, aby dostać się do Lincoln Center, po drugiej stronie Central Parku. Kiedy zrozumiałem błąd, było już zbyt późno, aby się cofnąć. Poszedłem piechotą. Prawie biegiem. Zdążyłem do opery na kilka minut przed początkiem *Zygfryda*. Siedziałem niewygodnie. Byłem zdyszany. Ale kiedy kandelabry zaczęły unosić się ku górze wolno ciemniejąc, kiedy zgasty i rozległa się muzyka, dostałem się znów w krąg oczarowania.

Tak było od pierwszego przedstawienia w tym gmachu, od *Trubadura*. Dlaczego? Muzyka działa na mnie tylko niekiedy. Opera wciągnęła od razu. Przecież nie treścią spektaklu, nie stroną czysto teatralną. Chyba złączeniem elementów. Opowieścią naprawdę magiczną, nie redukującą się do słów, ale tkwiącą także w słowach, w ich materii dźwiękowej, poddanej specjalnym zabiegom. Włączenie światła, kolorów, melodii, ges-

tów w opowieść, w którą nie muszę wierzyć. Przedstawienie obejmuje mnie i pozwala się oglądać. Komplikacje, sztuczne, melodramatyczne, niby filozoficzne, nie przeszkadzają. Akceptuję konwencję. Coraz trudniej mi się z nią pogodzić w powieści. Potrzebuję jej obecności w poezji.

Gdybym słuchał *Zygfryda* z płyt, z librettem w rękę, zapewne nie wytrzymałbym czterech godzin mitologicznego wykładu, ambicji wyjaśnienia wszystkiego, ujmowania w filozoficzne metafory spraw delikatnych i ulotnych, bądź tak ciężkich i trudnych, że godzi się je oglądać tylko z dystansu, z przymrużonymi oczyma. Wagnera opętało niemieckie marzenie, aby sięgnąć do rdzenia bytu, wyjaśnić miłość zmysłową i miłość synowską, i miłość przyrody, i fascynację mocą, i zew braterstwa. Dekoracje stworzyły zbawczy dystans. To jest opera, fikcyjna opowieść o życiu i sztuce. Zależnie od gry reflektorów splecione gałęzie odwiecznych drzew zmieniały się w wejście do smoczjej jamy, bądź w miejsce miłosnego zagubienia, rozpoznania i zatracenia. Umowność akceptowana. Muzyka, śpiew i gra znajdowały dopełnienie w plastycznej organizacji sceny, w materialnych obrazach. Umownych? Tak. Realistycznych? W jakimś sensie. A przecież stwarzających dystans między mną a czystą treścią wagnerowskiej opowieści. Jego koncepcje nie przeszkadzały mi. Same w sobie w wielu punktach były mi obce, bądź drażniły pretensją, bądź żenowały zbytnią dosłownością. Jednak tego wieczoru, w tej sali, przy tym nastroju, dzięki tym dekoracjom, jego koncepcje były składnikiem konwencji, częścią gry, jednym z elementów spektaklu, który mnie podbijał. Prawda opery? Mieści się gdzieś indziej, poza teoriami, poza fabułą libretta.

METROPOLITAN MUSEUM

22 października 1981, Nowy Jork

W nowej, olbrzymiej sali, wysokiej na kilka pięter, mieszczącej egipską świątynię z Dendur, porządkowałem notatki. Siedziałem naprzeciw ukośnej szklanej ściany, wchodzącej między drzewa Central Parku. Jesień wdzierała się do muzeum. Brązowe, złote, czerwone klony stanowiły tło dla szkolnych wycieczek tłoczących się wokół nauczycieli pod kolumnami świątyni. Obejrzałem pobieżnie część amerykańskiego skrzydła, otwartego już po moim wyjeździe trzy lata temu. Śledziłem inne zmiany,

jakbym przechadzał się po dawno niewidzianym, zaprzyjaźnionym domu. Przeniesiono Tycjany i Tintoretty z reprezentacyjnej sali na początku galerii malarstwa.

Trafiłem na wystawę kolekcji Thyssen Bornemisza, której nie udało mi się zobaczyć przed laty w Lugano. Do Nowego Jorku dotarły tylko wybrane obrazy z tych wspaniałych zbiorów. Nie znalazłem Dürerowskiego *Jezusa nauczającego w świątyni*, młodziutkiej twarzy i perwersyjnej gry linii. Jezus tłumaczy zaślony teologiczne. Subtelność jego argumentacji oddana została subtelnym splotem wykrzywionych dłoni. Nareszcie zobaczyłem *Świętą Katarzynę* Caravaggia. Brakowało jej w mojej kolekcji dzieł wielkiego Włocha. Święta Katarzyna w bogatej sukni opiera się wyniośle o koło, jakby była modelką, a raczej damą z rzymskiego towarzystwa pozującą do wspaniałego portretu. Piękna twarz jak twarz Salome. Nie ma jednak w tym obrazie napięcia linii, kolorów, form, napięcia świata i wiary, zmysłów i sensów, napięcia, którego przejmujący ślad odnajduję w dziełach z Santa Maria del Popolo, w *Ukrzyżowaniu Świętego Piotra* i w *Nawróceniu Świętego Pawła*, ale którego wybuch niezrównany, stanowiący o niezwykłości Caravaggia, o jego wyróżnionym miejscu w moim prywatnym panteonie malarstwa, widzę w dwóch wiszących naprzeciw siebie i kontrastowo dopełniających się obrazach z San Luigi dei Francesi, w *Powołaniu* i w *Męczeństwie Świętego Mateusza*.

Heraldyczny portret młodzieńca pędzla Carpaccia różni się od weneckiego cyklu o świętym Jerzym. Stanowi doskonały przykład delikatnego uwznioślenia. Dzieła Antonella da Messina kolekcjonuję jak Vermeera, jak Caravaggia czy Piera della Francesca. W jego portretach jest metaliczna twardość psychologicznej przenikliwości. W jego ukrzyżowaniach jest znieruchomienie rozpaczliwej chwili i kontrastująca równowaga rozległego krajobrazu. Jego wizerunki Chrystusa umęczonego, kolejne wersje Ecce Homo, potrafią pokazać ludzką samotność Boskiej męki. Zbiory Thyssena mogą się pochwalić *Portretem mężczyzny* Antonella, o liniach tak precyzyjnych i trafnych, jakby odcisniętych na wieczność. Niewielu twórców w historii sztuki ma tę celność pędzla. Po przykłady raczej musiałbym się kierować ku początkom europejskiego malarstwa i w północne kraje. Kilka portretów Rogiera van der Weyden. Wszystko, co stworzył Jan Van Eyck, kimkolwiek był ten malarz. Zbiory lugańskie chlubią się monochromatycznym *Zwiastowaniem* Van Eycka. Wiedza historyczna, literatura krytyczna zatrzymują się przed takimi dziełami. Powinny się zatrzymać. Nie sprostają wyzwaniu. Pozostaje

utrwalone w dziele artystyczne rozpoznanie świata. Do tego potrzebuję sztuki. Nie stanowi ucieczki od rzeczywistości, jest jakby odkrywaniem nowych pomieszczeń w znanym już mieszkaniu, otwarciem drzwi na nowe pokoje, gdzie nowe spotkania stają się możliwe. Takim nagłym odkryciem był dla mnie małej obraz Petera Chrystusa *Madonna wśród bezlistnych drzew*. Czym jest to dzieło? — otwarciem nowych przestrzeni? zatrzymaną chwilą? Może tym wszystkim, lecz także czymś jeszcze — uchwyceniem rzeczy znanych, a pozbawionych właściwej nazwy, nadaniem intensywności doznaniom bliskim, wymykającym się dotąd określeniom.

Zaszedłem jeszcze na chwilę przywitać się z nowym Vermeerem i pozdrowić stare. Wiszą inaczej, niż je pamiętam. Oddzielono *Alegorię wiary*, może po to, bym łatwiej mógł dokonywać moich zabiegów: usuwać ze wspianego obrazu sztucznie udrapowaną alegoryczną postać, a zwłaszcza jej twarz o pretensjonalnie wzniosłym wyrazie, a zwłaszcza żenująco płaczące oczy, które malował Guido Reni w złych chwilach, bo przecież nie mój Vermeer. A nowy, *Portret kobiety*, ofiarowany przez państwa Wrihstman? Już należy do moich. To przecież wciąż ta sama twarz, nawiedzająca obrazy Vermeera. Żona? Córka? Na jego płótnach, zwłaszcza z kolekcji amerykańskich, pojawia się twarz kobiety, dziwnie bezosobowa i zmysłowa zarazem, o zagadkowym, niezbyt rozgarniętym uśmiechu. Kim jest ta postać schowana w sobie, skryta gdzieś za własną twarzą, za strojem, za lekką rozmową, za doskonałością portretu?

Dostać nowego Vermeera! Jakie muzeum świata marzyć może o czymś piękniejszym? Jest jego obrazów na świecie — ile? Kilkadziesiąt. Tuzin genialnych. Z tego połowa w Ameryce. Reszta przede wszystkim w Holandii. Czy to sprawiedliwe, że przebogate muzeum dostaje jeszcze jedno arcydzieło? Jedni powiedzą: zagubi się w natłoku wielkości, a byłoby ozdobą prowincjonalnych zbiorów i przyciągałoby widzów. Inni powiedzą: tu przychodzą tłumy, tu jest właściwe tło, dzieła Vermeera, dzieła wielkich malarzy, *Portret kobiety* odnalazł tu swoje miejsce w wiszącej na ścianach Metropolitan historii sztuki. Co za wspianiały gest zbieracza! Kim jest pan Wrightsman, który ofiarował także *Magdalenę La Toura* i portret *Heleny Fourment Rubensa*? Kim byli inni kolekcjonerzy, którzy stworzyli wielkie muzea amerykańskie: Frick, Mellon, Altmann, Kress, Widenerowie? Zawsze interesowało mnie to złączenie szerokiego gestu i elitarnych pasji, sztuki, pieniędzy i socjologii.

NA DACHU DRAPACZA

23 października 1981, Nowy Jork

Wjechałem na siedemdziesiąte piętro RCA Building, najwyższego drapacza Rockefeller Center. Wolno przelatuje nad dachami miasta srebrne plastikowe cygaro Zeppelina z reklamą opon Good Year. Odcina się od zielonkawożłobordowoorzechowej (słowo pstrokate jak widok) taszystowskiej kompozycji Central Parku. Niczemu się nie dziwię. Lot opływowego balona z małą gondolą, dinozaura o potwornym cielsku i mikroskopijnej głowie, nie jest bardziej fantastyczny niż wznoszenie się w powietrzu samolotów, potężnych metalowych cylindrów nafaszerowanych ludźmi. Nie bardziej fantastyczny niż funkcjonowanie drapaczy, megamrowisk, sześciennych pudełek rozdętych do gigantycznych rozmiarów, w których żyją tysiące ludzi.

Budynek RCA mieści się w samym centrum Manhattanu, jest wyższy od okolicznych drapaczy, ale nie tak wyniosły jak Empire State Building, pozwala przyjrzeć się sekretom sąsiednich mrowisk. Na pobliskich dachach skomplikowane labirynty rur, lasy pomp i wywietrzników. Obracają się jakieś koła. Wylatują kłęby pary. Ile energii, wody zużywa taki organizm, ile potrzebuje żywności, ile wydziela odpadów! Wystarczy nagła awaria i powstaje śmiertelne niebezpieczeństwo zatrucia. Chwila osłupienia: co stałoby się z Nowym Jorkiem, z tym stłoczeniem ludzi, energii, potrzeb, z tym złożonym organizmem milionów białych (i czarnych, i różnokolorowych) komórek, gdyby nagle zaatakował go groźny wirus, choroba społeczna, wojna. Intensywność napięć i zagrożeń byłaby wprost proporcjonalna do rekordowej gęstości zaludnienia.

Miałem chwilę wolnego czasu do następnych spotkań. Spacerowałem po Piątej Avenue. Wszedłem, jak zawsze, poszperać do księgarni Doubleday i do Rizzolliego. Szybkie rozczarowanie, panuje tam plastikowa strawa dla ducha. Bestsellery, wiecznie takie same albumy, wspomnienia polityków, o których za chwilę nikt nie będzie pamiętać. Dotarłem do Rockefeller Plaza. Powietrze było przyjemnie rozgrzane. Ciepły wiatr późnego października przypominał raczej oczekiwany w napięciu początek lata niż schyłek jesieni. Na zamknięciu Plaza, u stóp smukłej, podniebnej wieży, właśnie budynku RCA, na którym byłem przed czterema godzinami, we wgłębieniu okolone marmurem sztuczne lodowisko. W takt muzyki krążyli łyżwiarze. Tafla mleczno-biała, gładka jak marmur wykładzin, czasem tylko przecięta żyłką

śladu. Wokół hałas budowy miesza się z dźwiękami muzyki. Przed wejściem na lodowisko wykute w kamieniu wyznaczenie wiary fundatora, Johna D. Rockefellera. „Wierzę w najwyższą wartość jednostki, w jej prawo do poszukiwania szczęścia. Wierzę, że każde prawo łączy się z odpowiedzialnością, każda szansa ze zobowiązaniem, każde osiągnięcie z powinnościami. Wierzę, że prawo jest dla ludu, nie ludzie dla prawa, że rząd jest sługą narodu, nie jego panem, że prawda i sprawiedliwość są podstawą społecznego ładu. (...) Wierzę, że najważniejsza na świecie jest miłość, że tylko ona może pokonać nienawiść, że prawo może zwyciężyć, że zwycięży siłę”.

Patrzyłem na tańczących łyżwiarzy, ale myślałem byłem przy pięknych hasłach i zawiłościach ich realizacji. Wspominałem wczorajszą rozmowę. Podczas kolacji słuchałem opowieści o początkach formowania się zorganizowanej opozycji politycznej w Polsce w połowie lat siedemdziesiątych. Trudno o przykład piękniejszego ruchu. Jednak i wówczas rodziły się spory. Dlaczego polityczne wydarzenia, a raczej ich interpretacje w czyjejs głowie, zyskują taką władzę, że działają własnym impetem, przemieniają się w wyolbrzymione własne karykatury? Tak powstałe antypatie dzielą później ludzi silniej niż rzeczywiste różnice poglądów. Dostojewski opisał w *Biesach* patologiczne formy życia politycznego. Występują ze szczególną siłą w społecznościach zamkniętych. Nie tylko tam. Doświadczenie uczy, że resentymenty bliskie patologii pojawiają się i w zbiorowościach otwartych. Życie polityczne Francji, nie tylko za czasów III Republiki, może się wydać uprzedzonemu obserwatorowi jednym pasmem afer. Do istoty demokracji należy ujawnianie konfliktów. Powinienem o tym pamiętać, interesowałem się przecież tym ideałem politycznej kultury, jakim w historii Europy jest demokracja ateńska.

Co innego wiedzieć teoretycznie, co innego znosić z aprobatą w życiu. Bolał mnie zacietrzewione spory ludzi szlachetnych. Wiem, że konflikty takie zjawiają się zawsze, wiem, że w polskiej opozycji przyjęły łagodną formę, różną choćby od tego, co dzieje się wśród Rosjan w kraju i na emigracji. Co więcej, gdy myślę o polskim lecie i następnych miesiącach, o Polskim Odrodzeniu, uderza mnie zdumiewający brak resentymentów w społeczeństwie. Nieraz myślałem, jak można będzie rozwiązać tyloletnie konflikty, rachunki poniżenia i dominacji, gdy przemoc (ale jak? to były tylko rojenia) straci grunt pod nogami. Bałem się upragnionego momentu, bałem się wybuchu nienawiści. Chwila swo-

body nadeszła, wybuch nie nastąpił, bo opresor po prostu zniknął, rozplynął się w tłumie.

Tym bardziej bolą wiadomości o sporach i waśniach. Są to konflikty drobne, ale niepotrzebnie zużywają energie, które należałoby skierować gdzie indziej... Wynika to zapewne z mego usposobienia. Spory traktuję poważnie. Nie potrafię ich rozwiązywać przez szermierkę słowną. Dla niektórych ludzi atmosfera walki politycznej jest naturalnym środowiskiem. Czują się wówczas lepiej. Myślą prędzej i dokładniej. Sprawniej działają. Ja nie.

SABARSKY GALLERY

24 października 1981, Nowy Jork

Załatwiono mi spotkanie z panem Sabarskym, właścicielem galerii na Madison Avenue i pięknej kolekcji ekspresjonistów austriackich, zwłaszcza Eгона Schielego. Na początku pierwszego pobytu w Nowym Jorku, bodajże w lutym 1978 roku, przeczytałem o wystawie rysunków Klimta, Schielego, Kubina w Sabarsky Gallery. Któregoś dnia chciałem pokazać Schielego przyjacielowi, który go nie znał. Wystawę zmieniono. Ku mojej radości otwarto nową, jakby na moje zamówienie. Kilkanaście autoportretów Schielego. Twarz wykrzywiona, rysy połamane. Czołwiek odarty z masek. Miałem trochę krępujące wrażenie konfrontacji z nagością. Nie tą fizyczną z chudych aktów, inną, bardziej intymną, duchową. Tak, odarty z masek, odarty ze skóry, nagi, płonący czerwienią, ostro nakreślony czarną linią, składający się tylko z głowy i baletu rąk, cały w grymasie, wciąż inny, a przecież ten sam, narzucający się z bolesną trafnością. Później w princetońskiej bibliotece czytałem jego więzienne wyznania, hołd sztuce, wierność powołaniu. Oskarżano go o pornografię, był ascetą malarstwa.

Chciałem się dowiedzieć o nim jak najwięcej. Zachodziłem na wystawę często. Któregoś dnia spytałem o inne zbiory galerii. Pokazano mi kilkadziesiąt rysunków Schielego. Sabarsky kupował je przed laty za bezcen. Nikt się wówczas nimi nie interesował. Teraz stanowią majątek. Czy Sabarsky ma jeszcze jakieś inne dzieła Schielego? Dlaczego się nim zajął? Co zrobi ze zbiorami? Postanowiłem, korzystając z okazji, poznać tego kolekcjonera. Kiedy przyszedłem na umówione spotkanie, rozmawiał

z parą Japończyków. Dobijali targu o czwarty już rysunek Schielego. Sabarsky wprowadził tego malarza do Japonii, jak przedtem do Stanów. Jest rozmówcą impulsywnym, przekonany o własnej racji. Lekko szalony, ale sympatyczny. Niestety, nie mógł mi niczego pokazać. Jego zbiory brały udział w wielkiej wystawie Schielego, która krąży po Europie, będzie w Wiedniu, Linzu, Monachium.

Spytałem dla podtrzymania rozmowy, czy wie, nad czym pracuje obecnie Alessandra Comini. Zobaczyłem nerwowe spięcie twarzy. „Dlaczego Pan pyta?” — „To przecież autorka wielu monografii o Schiele”. Tu nastąpił wybuch. „Ta kobieta czyniła swoimi interpretacjami tyle szkody, że trzeba będzie kilku pokoleń, aby zatrzeć te bzdury. Jest chorą maniaczką. Sprowadza wszystko do seksualnych symboli. Wszędzie widzi pornografię, bo chce ją zobaczyć. Nie dostrzega w ogóle sztuki. Wie Pan, pisanie o malarstwie bywa najczęściej wpychaniem się między widza i malarza, zaśnianiem plecami dzieła. Krytyk powinien doprowadzić czytelnika do obrazu, powiedzieć: patrz — i zniknąć. Upieram się przy zdaniu, że jeżeli przyprowadzić osobę nie interesującą się malarstwem do *Lisowczyka* Rembrandta i po prostu kazać jej patrzeć przez dziesięć dni z rzędu, wreszcie doceni obraz, choćby nic nie wiedziała o życiu malarza, o epoce”.

Spytałem Sabarsky'ego, co zrobi ze swoimi zbiorami. Myśli o ufundowaniu muzeum. Nie jest jednak całkiem pewien, czy to słuszny pomysł. Muzea są najczęściej pomnikiem nie artysty, lecz próżności kolekcjonera. Skupienie dzieł w jednym miejscu ma też inne złe strony. Jeżeli rzucić je na rynek, część dostanie się z czasem do różnych muzeów świata. Obecnie Luwr i londyńska National Gallery polują na Schielego. Wielkie muzea, zwiedzane przez miliony, obudziły się z drzemki, chcą nadrobić długi okres lekceważenia. Zamknięcie obrazów i rysunków Schielego w jednym miejscu ograniczyłoby zasięg oddziaływania jego dzieła.

Wspomniałem Sabarsky'emu, jak głębokim przeżyciem było dla mnie obejrzenie części jego zbiorów wówczas, na wystawie autoportretów. Wiedeńskie Breughle, Botticelli w Ufizziach, Turnery w Tate Gallery odbierają szansę innym muzeom, ale dają jedyną okazję zapoznania się z twórcą. Pamięć jest zawodna. Teoretycznie można jeździć śladami malarza, można uzupełniać wiedzę o nim na kartach książek, oglądać jego obrazy w reprodukcjach. To pomaga. To nie zastąpi możliwości bezpośredniej konfrontacji, chwycenia podobieństw, różnic, odcieni. Dlatego

tak ważne są wielkie wystawy retrospektywne, dziś coraz rzadsze, bo koszty ubezpieczeń stały się niewiarygodne.

Nie wszystkie retrospektywy — zaperzył się Sabarsky. — Panuje obecnie gigantomania muzealna. Na wielkiej wystawie Picassa zebrano wiele setek obrazów i rysunków. Takiej ilości nikt nie może sobie przyswoić bez długotrwałych studiów, na co wystawa rzadko komu pozwala. Niektórzy wychodzili z przekonaniem, że są niewrażliwi na sztukę, że nie potrafią Picassa „zrozumieć”, bo oczy się szybko zmęczyły, wrażliwość stępieła, a pamięć przestała rejestrować. Inni umocnili się w przekonaniu, że Picasso to humbug. Starali się patrzeć, a niczego nie dojrzeli. Takie wystawy, grzmiał Sabarsky, są tylko szkodliwe.

Jest w nim coś z gombrowiczowskiej skrajności i jednostronności w patrzeniu na sztukę. Gombrowiczowskie tyrady przeciw muzeom mało mnie wzruszały, ale w wypadku właściciela galerii, kolekcjonera malarstwa, są to poglądy prowokujące i ciekawe.

NORMAN PODHORETZ

26 października 1981, Nowy Jork

Redaktor *Commentary* z urzędu zajmuje ważne miejsce w amerykańskim życiu kulturalnym i politycznym. Ten miesięcznik inteligencji żydowskiej wykracza daleko poza ramy problemów etnicznych. Skupia doskonałe pióra. Redagowany jest przez człowieka o dużym temperamencie intelektualnym. Słyszałem o nim jako o błyskotliwym, powierzchownym i aroganckim publicyście. Podczas dwóch spotkań wyrobiłem sobie inną opinię. Norman Podhoretz miło mnie zaskoczył. Łatwo nawiązać z nim kontakt. Od razu dotyka spraw ważnych. Ma wyrobione poglądy, potrafi jednak dostrzec racje oponenta. Przyznaje się czasem do niewiedzy, braku odpowiedzi na niektóre pytania (cnota wśród intelektualistów wyjątkowa).

Rozmawiałem z nim swobodnie. Rozumieliśmy się łatwo. Nie było potrzebne zniechęcające uściślanie terminów i wyjaśnianie punktów odniesienia. Nie przeszkadzały mi też różnice. Nie bałem się niebezpiecznych aliansów. Miewam takie zahamowania w Polsce. W Stanach jestem w wygodnej — choć nieraz podstępnej bądź jałowej — pozycji intelektualnego podróżnika. Wojażuję po ludziach, po tematach. Dla przyjemności i dla

nauki. Co decyduje o kontaktach? Kiedy są udane? Podstawową rolę odgrywa kryterium prawdziwości. Szukam trzeźwego, dalekowzrocznego i różnicującego widzenia. Genealogiczne sympatie i antypatie, gdzieś tam wybierane na rozrośniętym w czasie drzewie rodzimej kultury, tak ważne dla mnie w Polsce, tutaj nie są decydujące. Ideologiczne szantaże, choćby wyrażane w formie negatywnej („to hasło jest niebezpieczne, miej się na baczności”), tutaj są mniej skuteczne.

Podhoretz potrafi zauważyć różnorodne rozkładanie się cieni, dostrzega wiele możliwości, pokazuje wachlarz kontrargumentów. Nie traktuje poglądów odmiennych jako przejawu czystego kretynizmu bądź zakłamania. Potrafi też przyznać, on, zawodowy intelektualista, przywódca kierunku, który jest obecnie w politycznym natarciu, że wobec jakiegoś problemu jest bezradny. Nakłaniałem go do mówienia. Czynił to z przyjemnością. Nie nudził. Rozumiał, kiedy rozumiałem. Odpowiadał na pytania, a nie, jak to często bywa, streszczał ostatni artykuł. Ożywił się od razu, gdy na początku wspominałem, że od lat pięćdziesiątych byliśmy na Zachodzie świadkami fundamentalnych przemian cywilizacyjnych. Nigdy może w historii nie obserwowano równie błyskawicznego awansu ekonomicznego i politycznego tak szerokich kręgów. Towarzyszyła temu jednocześnie niechęć wobec społeczeństwa konsumpcyjnego. Nigdy literatura nie opisywała z taką satysfakcją marginesu społecznego, nie zawierała takiego ładunku goryczy. Czy naprawdę nigdy, pomyślałem, czy przesilenie romantyczne, dziejące się również w czasach politycznej i ekonomicznej ekspansji, nie przyniosło podobnego wybuchu goryczy i zwątpienia? Zdaniem Podhoretza, kryzys w ostatnich czasach jeszcze się zaostrzył. Najważniejszy problem obecnie, to problem duchowy, nakaz przemyślenia dzisiejszej sytuacji świata, sytuacji kryzysowej. Ameryka stoi przed dylematem: czy zwyciężą, mówiąc drastycznie, tendencje samobójcze i cywilizacja zachodnia skapituluje przed totalitarnym zagrożeniem, czy też energia jednostki, waga osoby ludzkiej, współtworzące kulturę, zostaną ocalone.

Zadałem „moje” trzy pytania, staram się nimi rozruszać ciekawskich rozmówców. Po pierwsze, kim są, *if any*, dzisiejsi mistrzowie, *maitres à penser* młodego pokolenia? Po drugie, gdzie leży główny problem dzisiejszej Ameryki, jakie są zagrożenia i możliwości działania? Po trzecie, czy obecna zmiana stylu myślenia społecznego, to co ogólnie określa się odwrotem od kolektywistycznej utopii, a co znalazło skrajny wyraz w ideologii neokonserwatywnej, jest zjawiskiem trwałym? Wiem, że nie ma na

te pytania jasnych odpowiedzi, ale forma tych odpowiedzi wydaje mi się znacząca dla zrozumienia postaw intelektualnych w Stanach. Podhoretz odpowiadał porządnie, trochę jak na wykładzie. Kreślił problemy i perspektywy. Odczytywałem z jego słów obraz dynamiczny, bez pretensji do wyłączności. W tym różnił się i od moich o nim wyobrażeń, i od niektórych moich poprzednich rozmówców, choćby bliskich mu ideowo (jak Irving Kristol), których pewność siebie ograniczała ich siłę perswazyjną.

Podhoretz widział rok 1968 jako tragiczną w skutkach rewolucję kulturalną. Dotąd na uniwersytetach amerykańskich widać ślady ówczesnych spustoszeń. Dlatego obecne pokolenie czuje się zagubione. Rozbite zostały, na szczęście, dawne bożyszczka. Nie tylko marksizm stracił siłę atrakcyjną. Także socjaldemokracja. A przecież w okresie powojennym to socjaldemokracja stanowiła w Europie Zachodniej bastion przeciw stalinizmowi. Czy neokonserwatyści potrafią dzisiaj zaproponować atrakcyjny program, mogący stanowić przeciwwagę totalitarnym pokusom? W charakterze amerykańskim leży niechęć do ideologicznego ujmowania problemów. Dlatego antykomunizm uważany bywa za coś wstydliwego. Dlatego jednak wytwarza się odporność na totalitarne szamaństwo. Nie przyjmuje się do wiadomości tego języka.

Konserwatyści, neokonserwatyści, antykolektywiści, jakkolwiek się ich nazwie, zyskali obecnie duży posłuch. Nie powstały jednak jak dotąd nowe wybitne dzieła. Próby nowej syntezy są nieśmiałe, niekonsekwentne. To kwestia czasu. Długiego czasu. Życie społeczne kształtują wykładowcy uniwersyteccy sprzed dwudziestu lat, przypominał Podhoretz znaną opinię Keynesa. Dzisiejsi prawnicy i przemysłowcy formowani byli przez Nową Lewicę (czyli m.in. przez młodego Podhoretza, czego dyskretnie nie skomentowałem). Sprawa jest zasadniczej wagi. Toczy się walka o to, powtórzył, czy świat zachodni podejmie aktywną obronę indywidualnych swobód. Co się uznaje za oczywiste, za fundament europejskiej cywilizacji, wymaga walki.

Tu bacznie nastawiłem uszu. Nie widzę sytuacji Zachodu katastroficznie. Wiem, zdaje mi się, że wiem, jakie były dawniejsze zagrożenia. Staram się zrozumieć, jakie perspektywy i wyzwania rysują się obecnie. Weszliśmy w nowy okres, którego jeszcze nie dostrzegamy. Z mgły wyłania się zmieniony świat. Rok 1968 był na Zachodzie (na Zachodzie tylko, u nas sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej) jak rok 1848. Rok entuzjazmów i zagubienia. Rok przesilenia, przyszedł po nim okres znie-

chęcenia i trzeźwości, często zaślepionej trzeźwości. Jak w *Szkole uczuć*. Na tym kończą się analogie, historyczne i literackie. Przed nami nowy okres — wrażliwości? ideologii? myśli politycznej i społecznej? — wszystkiego po trochu.

Niezwykłość polskich wydarzeń ostatnich kilku lat — polityczna, socjologiczna, kulturalna, religijna — stanowi interesujący punkt odniesienia dla refleksji nad nowymi formami rysującymi się w społecznym życiu Zachodu. Odrębność polskich doświadczeń powoduje, że często jesteśmy głusi wobec pewnych zjawisk, nie rozumiemy niebezpieczeństw i nie dostrzegamy nowych perspektyw. Staram się pamiętać o naszych ograniczeniach i nie popadać w iluzje prekursorstwa. A jednak: odejście od ideologii, zobaczenie życia społecznego ponad schematami marksizmu, nowa forma religijności, pełniejszej, bardziej powszechnej, a zarazem otwartej, pogłębionej, to wszystko jest prekursorskie. Wiem, społeczeństwa naprawdę twórcze duchowo powinny być materialnie rozwinięte. My jesteśmy na dnie. Jest to jednak sytuacja narzucona, objawiająca fałszywość eksperymentu przeprowadzanego na społeczeństwie polskim i mobilizująca do odbudowy obywatelskich form życia. Może ktoś powiedzieć: kultura sztuczna, życie duchowe (a obecnie i życie społeczne) oderwane od materialnego podłoża. W sytuacji, gdy rozwój ekonomiczny został zduszony ideologiczną kontrolą, właśnie ta oderwana, jakoby elitarna kultura jest naturalnym sposobem istnienia, sięgnięciem po duchową suwerenność.

Te ostatnie rozważania to już tylko ja. Oddaliłem się na pewien czas od Podhoretza, jak zdarza mi się z rozmówcami bardzo ciekawymi (bądź bardzo nudnymi, ale to inna sprawa). Gdyby spotkania miały być tylko wymianą poglądów, lepiej byłoby przeczytać książkę, bądź pójść na seminarium uniwersyteckie. Rozmowa powinna być także wymyślaniem partnera. Inaczej przemienia się w głośną lekturę notatek, w pokazywanie sobie, na mgnienie oka, na drgnienie powietrza, brulionowych form własnych poglądów. Forma drukowana nie jest w stanie zastąpić żywej osoby. Od czego zależy promieniowanie rozmówcy? Trudno mi powiedzieć. Wiem tylko, że w towarzystwie pewnych osób myślę chętniej, szybciej, odważniej. Inne działają paraliżująco. Podróże pomagają mi w otwieraniu wyobraźni i zaakceptowaniu odmiennych punktów widzenia.

Spytałem o sprawę antysemityzmu w Stanach. Istnieje narastający konflikt między Murzynami a Żydami, biedną ludnością czarną a względnie zamożniejszą, lecz też biedną ludnością żydowską. A w innych warstwach? Dziś nie pamięta się, że w Stanach

do wojny istniał milcząco przyjęty *numerus clausus* na wyższych uczelniach, dotyczący zarówno studentów jak i wykładowców. W Europie mitologizuje się wpływy amerykańskiej społeczności żydowskiej. Zwłaszcza jej udział w bankowości (bardzo nikły) i w przemyśle (prawie żaden). Grupą panującą (dyskretnie) są nadal Waspowie, anglosascy protestanci. Po potwornościach wojny otwarty antysemityzm stał się postawą nietolerowaną. Kto chciał istnieć społecznie, nie mógł głosić rasowej dyskryminacji, jakiegokolwiek były jego prawdziwe poglądy. Między rokiem 1945 a 1967 Żydzi czuli się w Ameryce bezpieczni jak nigdy dotąd. Potem sytuacja zmieniła się o tyle, że radykalna lewica opowiedziała się po stronie arabskiej. Nadal jednak Stany to kraj największej tolerancji, na którym nie ciąży poczucie winy, więc brak niebezpiecznej obsesji problematyką żydowską.

Czy nie było w Stanach głosów antysemickich w czasie procesów przeciw szpiegom komunistycznym w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych? Nie, symbolem infiltracji był Aliger Hiss, potomek najlepszych rodzin nowoangielskich. Ówczesne konflikty ujmowano raczej w kategoriach: irlandzcy katolicycy policjanci z FBI przeciw Waspom ze State Department, wychowankowie Fordham czy Notre Dame przeciw zdegenerowanej elicie z Harvardu czy Yale. Były to oczywiście powierzchowne interpretacje. W sprawie Rosenbergów i innych szpiegów atomowych też zarzutów takich nie wytaczano, nawet w wulgarnej, brukowej prasie, bo pamiętano wojnę, wiedziano też, że prokuratorem i sędzią byli w tej sprawie Żydzi, że społeczność żydowska nie głosiła niewinności Rosenbergów.

Czy religia nadal odgrywa w Stanach rolę społecznego spoiwa? Tak, nigdy nie przestała jej pełnić w szerokich kręgach. Stosunek do religii jest dziś zapewne bardziej otwarty, niemniej wśród młodzieży obserwuje się renesans wiary. Amerykański Kościół katolicki, kiedyś ostoja zachowawczości, przechodzi głęboki kryzys radykalizmu. Zdaniem Podhoretza, katolicy przeżyli najmocniej zderzenie ze współczesnością, byli na nią zamknięci, teraz korzą się przed nią; Synagoga zreformowała się w XIX wieku; kościoły protestanckie bardziej były związane z cywilizacją przemysłową, dziś potrafią się skuteczniej przeciwstawić jej wynaturzeniom.

A sprawa murzyńska? Sprawa obumarłych, zniszczonych dzielnic, odmowy uczestnictwa w życiu społecznym i braku miejsca w życiu społecznym? To jest prawdziwa tragedia amerykańska. Zawiodły nadzieje, że państwo dobrobytu rozwiąże ten

problem. Czarna klasa średnia powiększa się, choć następuje to powoli. Bywa często agresywnie nastawiona wobec murzyńskiej biedoty, wyczuwa w niej zagrożenie osiągniętego statusu. Nie ulega zmniejszeniu wymykający się socjalizacji margines społeczny. Młodzież bez ojców, wychowana na ulicach, traktująca gang jako własną rodzinę i tylko wobec niego lojalna. Nikt nie znalazł dotąd lekarstwa na tę chorobę amerykańskiego społeczeństwa. Wielka migracja czarnej ludności z południa do miast północy i przyptyw setek tysięcy Portorykańczyków do tych miast, to powody szczególnego zaostrzenia kryzysu po drugiej wojnie światowej. Uczyniono wiele dla włączenia ludności kolorowej w społeczny obieg. Segregacja rasowa na południu jeszcze w latach pięćdziesiątych była faktem. Została prawnie zakazana i zakaz ten był egzekwowany z wielką stanowczością. Społeczne rozdarcie istnieje nadal. Nie jest tak widoczne, jak w okresie zamieszek końca lat sześćdziesiątych, ale czy przy sprzyjających warunkach nie pojawi się znowu w całej jaskrawości?

DZIEŃ Z POLICJĄ

27 października 1981, Nowy Jork

Zapytałem nieśmiało moją opiekunkę z nowojorskiego International Center, czy mogłaby załatwić, abym towarzyszył patrolowi policyjnemu w czasie nadzoru bardziej niebezpiecznych części miasta. Bałem się, czy moja prośba nie zostanie uznana za wyraz niezdrowej ciekawości, obraźliwej dla gospodarzy. Nie. Zainteresowanie ciemnymi stronami miasta uznano za postawę naturalną. Spędziłem sześć godzin z patroliem Dwudziestego Komisariatu (Zachodnia Strona od Sześćdziesiątej do bodajże Osiemdziesiątej Ulicy).

Objazd z policją mało miał z filmowej malowniczości. Nie zastąpi pobytu w Nowym Jorku, chodzenia na własną rękę po jego ulicach. Nie otworzyły się przede mną tajemnicze lochy czy domy rozpusty. Przyjrzałem się fragmentowi życia jednej dzielnicy. Stanowić może wizytówkę Manhattanu, bo zawiera w sobie to co najlepsze i co najgorsze. Zanim zbudowano Lincoln Center, była to zła część miasta o zniszczonych domach, jakie widywałem w Harlemie czy Bronxie. Powstanie wielkiego ośrodka kulturalnego, sal opery, baletu, filharmonii, przyciągnęło zamieszkańców. Zaczęto odbudowywać domy. Miasto

za jednego dolara sprzedawało młodym ludziom *brownstones* (obszerne, jednorodzinne wille) w stanie ruiny, pod warunkiem doprowadzenia ich do porządku w ciągu pięciu lat.

Zachodnia strona Central Parku jest obecnie bardzo eleganckim adresem, zwłaszcza wśród aktorów. Przejeżdżaliśmy obok domu, w którym mieszka Dustin Hoffman, Elisabeth Taylor. Tu zastrzelono jednego z Beatlesów, Johna Lennona. Wokół pobliskiej Amsterdam Avenue rozwija się silny ośrodek *gay community*, porównywalny do Castro Street w San Francisco i do Christopher Street w dole miasta. A to oznacza ruch na ulicach, przyływ klienteli, pojawienie się szykownych sklepów z ubraniami, restauracji, barów i kawiarni. Biedniejsi lokatorzy wyprawiają się w stronę Harlemu. Opłaca się remontować mieszkania i wynajmować je po wygórowanych cenach. Tuż obok kontrasty. Domy opieki społecznej pełne narkomanów, alkoholików. Bliżej rzeki obszary nędzy. Na Broadwayu uderza ilość ludzi niezrównoważonych psychicznie. Mamy dobre stosunki z wariatami, powiedzialesz mi jeden z policjantów, są niegroźni, jeśli zachowywać się wobec nich życzliwie.

Sąsiedztwo ludzi bardzo zamożnych i bardzo biednych prowokuje do przestępstwa. Plagą dzielnicy są napady rabunkowe. Ludzie spoza miasta przyjeżdżają do opery. Parkują kilka bloków dalej, w ciemnych uliczkach. Oddalają się od samochodu. Kiedy rozumieją niebezpieczeństwo, już za późno, aby się cofnąć. Otaczają ich wyspecjalizowane bandy. Wiedzą one, jak uciekać przed pościgiem, znają wszystkie podwórka i wszystkie połączenia klatek schodowych. Wieczorem stale krążą patrole. Napady trwają jednak nadal.

Obejrzałem środki bezpieczeństwa zastosowane w operze. Kasy pod stałym nadzorem kamer. Długi podziemny korytarz, prowadzący do metra, wyposażony w ukryte reflektory i głośniki. Gdy na ekranach kontrolnych telewizorów ukaże się niebezpieczna sytuacja, drzwi zostają automatycznie zamknięte, reflektory się zapalają, a głos jak spod ziemi każe się napastnikowi zatrzymać. Ten ostatni ośrodek działa podobno zupełnie paraliżująco. Bywają okresy specjalnej czujności: występy artystów sowieckich czy izraelskich. Wyjątkową obstawę zastosowano podczas wizyty księcia Walii w Lincoln Center. Obawiano się zamachu irlandzkich terrorystów.

Jeździłem samochodem w towarzystwie dwóch policjantów. Znają tę dzielnicę od lat. Wiedzą, gdzie spodziewać się awantur. Znają przestępców, z którymi wymieniali ironiczne pozdro-

wienia. Patrol upłynął spokojnie. Były tylko dwa wezwania. Nic poważnego. Bójka młodzieży. Dwa gangi pokłóciły się o terytorium wokół szkoły. A także ostra kłótnia małżeńska: ona chciała wracać do Korei, on do Izraela. Odwiedziłem komisariat. Komputerowa informacja o skradzionych samochodach. Dział przestępstw seksualnych obejmujący zasięgiem cały Manhattan. Rysopisy przestępców, dokumentacja ważniejszych przypadków. Policja regularnie spotyka się z przedstawicielami rozmaitych grup. Omawiają wzajemne problemy. Najtrudniejszą sprawą są napady rabunkowe oraz narkotyki i alkohol. Minęło nas na ulicach kilka zupełnie otepiałych postaci. Jeden z policjantów okazał się rodakiem. Przemówił pocieszoną polszczyzną. Ostrzegął, abym nie kupował byle gdzie polskiej kiełbasy. „*What else would you like to see, Doc?*” — spytał mnie dowódca patrolu, jak z powieści. Obwieszony różnymi odznakami. Miał szczęście być w nieodpowiednim miejscu w odpowiednim momencie, skomentował jego kompan.

KOBIETA BEZ CIENIA

28 października 1981, Nowy Jork

Po raz drugi widzę *Frau ohne Schatten* w Metropolitan. Ta sama inscenizacja. Dekoracje olśniewają operowym przepychem i wymyślnością. Nie pamiętałem ich z poprzedniego przedstawienia wiosną 1978 roku. Śpiewała wówczas Rysanek, dyrygował Karl Boehm. Może ta parada gwiazd przestłoniła w pamięci stronę plastyczną? Dzieło Straussa i Hofmannsthała stawia zawrotnie trudne wymagania inscenizacyjne: gra światła, zmiany dekoracji, ich nagłe zapadanie się, współwystępowanie planów. Opera mogła zostać wystawiona zgodnie z autorskimi wskazówkami dopiero dzisiaj. I dzisiaj dopiero, kiedy muzyka, śpiew, obrazy zlały się w jedno wielowymiarowe, wielorodzajowe dzieło, dzisiaj dopiero egzystencjalna symbolika staje się w pełni uchwytna.

Zobaczyłem na scenie rozwinięcie słynnego wiersza Hofmannsthała *Manche freilich*. Jedni przebywają na królewskich pokojach, rozmawiają z Sybillami, śledzą śmiały lot podniebnych ptaków, żyją w krainie ducha, nie zniewoleni przez ziemskie pokarmy i pragnienia. Inni na pokładach okrętów mozolą się przy

wiosłach, wplątani w korzenie życia, oplątani przez ziemskie korzenie. Ale cień jednych pada na drugich, nadaje sens ich istnieniu. Ci, którzy czytają z gwiazd, złączeni są z tymi, którzy pocą się przy wiosłach. Rozważania dotyczące tego problemu brzmią banalnie bądź abstrakcyjnie. Tylko sztuka może czasem dotknąć spraw zarazem ulotnych i gardłowych.

Kobieta bez cienia, królowa, zbyt wyniosła, aby odnaleźć kontakt z korzeniami życia. Ludzie ducha dla równowagi powinni dotykać ziemi. Przyjdzie im za to zapłacić pewną cenę. Nie każdą cenę płacić się godzi. Nie cenę okaleczenia cudzej osobowości. W operze Straussa i Hofmannsthalera królowa odzyskuje cień, ziemską płodność, niszcząc cudzy cień. W rezultacie niszczy siebie. Ale dotknięcie materialności, cieplej materii życia jest jej niezbędne.

Jak zachować cień, ziemski ciężar, a zarazem królowanie, duchową lekkość i wyniosłość, choćby te kilka chwil, gdy rozmawiamy z Sybillami, gdy rozwiera się przed nami, na moment, wysokie niebo, a ptaki płynnym lotem unosząc się w powietrzu dają trudno czytelne znaki? Sztuka jest Hermesem, posłańcem, pośrednikiem między wyniosłością a trywialnością. W różnych ujęciach, czasem patetycznym, czasem kpiącym, najczęściej ironicznym, pełnym czułości i kpiny zarazem, ukazał tę sytuację Tomasz Mann, wielki znawca hermesowych powikłań. Czy podróże, myślałem muzyką, śpiewem, obrazami *Kobiety bez cienia*, czy podróże, przenosząc w obce kraje, w nowe sytuacje, nie po to wyzwalamy z ciężaru, z dawnych cieni, abym mógł dostrzec nowy cień i zobaczyć, nocą, nowe gwiazdy?

WIECZÓR POLSKICH MITÓW

30 października 1981, Nowy Jork

Jeden z wysokich, starych budynków w centrum Manhattanu. Rozklekotana winda z ciężko otwierającą się metalową kratą. Na którymś tam piętrze labirynt korytarzy i pomieszczeń. Wreszcie drzwi. Wnętrze, jakich w Nowym Jorku tysiące. Ale ściany dziwnie znajome. I twarze. *Czwórka* Chełmońskiego pędzi ku litografiom kościołów Wilna, Lwowa, Krakowa. Nietzscheańskie wąsy i oczy na wyrzeźbionej w brzoje polskiej twarzy. Inten-sywne spojrzenie ciąży na zebranych.

Spotkaliśmy się w Instytucie Piłsudskiego na odczycie Wacława Jędrzejewicza o roli Marszałka w odrodzonej Polsce. W nowojorskim gmachu oaza polskości. Takich oaz jest zapewne więcej. Może w tym samym momencie zbierają się gdzieś Litwini, Ormianie, Kubańczycy, zwolennicy Gurdziewa, wyznawcy koreańskiej sekty, wielbiciel nieznanych mi poglądów, popiecznicy nieznanych przywódców. Na sali przeważała młodzież. Obok prelegenta, niezwykle rzeńskiego jak na swoje dziewięćdziesiąt lat żołnierza Legionów, ministra Polski Niepodległej, potem historyka na amerykańskim uniwersytecie, siedział jeden z młodszych członków KOR-u.

Słuchałem opowieści znanej mi z wielu przekazów. O wielkiej polityce i o kucharce Adelci. Jarzyn nie jadał. Kołdunów też nie. Bawił się z dziećmi. Co za dziwna, anachroniczna, potężna postać, rzucająca przemożny cień na historię Polski. Z tym samym co zawsze zachnięciem zareagowałem na mowę w Sali Malinowej o zapluty karle. Oszczędzono nam obscenów parlamentarnych. Psychoanalizę traktuję z politowaniem, ale ten przypadek doprasza się o psychoanalitika. Zmącenie reakcji sięga dalej wstecz niż rok zabójstwa Narutowicza. W czasie prelekcji przypominałem sobie przygnębiające wywiady z okresu Sulejówka. Myślałem o zamachu majowym, o Brześciu. Czy dzisiaj, kiedy mit Józefa Piłsudskiego nabiera w kraju siły, należy zapomnieć o mrocznych momentach? Nie potrafię i nie zamierzam tego zrobić.

Czy mitologizacja postaci jest szkodliwa? Każda mitologizacja, politycznie zaślepiająca, może być szkodliwa. Trzeba zastanowić się nad tym, co fascynuje w Piłsudskim dzisiejsze młode pokolenie. Nie jest to uwielbienie Wodza i na pewno nie tęsknota do rządów silnej ręki. Piłsudski stał się symbolem historii prawdziwej, a ukrywanej pod warstwami oficjalnych zafałszowań. Symbolem woli niepodległości, niepoddania się klęsce. Dzisiaj nie pamięta się antyparlamentarnych złorzeczeń, Brześcia. Więcej nawet: przywrócenia Piłsudskiego narodowej pamięci domagają się ci sami, których zasadniczym postulatem jest wprowadzenie demokratycznych mechanizmów. Piłsudski ucieleśnia dla nich pragnienie duchowej suwerenności, wolę uobywatelnienia jednostek i uspołecznienia państwa.

Legenda Piłsudskiego to dziś przede wszystkim legenda człowieka wyzwolonego ze schematów doktryn i partii, walczącego o zrzućcenie niewoli. A potem niepodległe państwo, jakkolwiek kalekie, którego stał się symbolem. Tego szuka się w Piłsudskim, raczej w postaci niż w pismach. Zrobił to Marcin Król w

Stylach politycznego myślenia. Jego książka dlatego jest ważna, że dotyczy bardziej wizji Marcina niż historycznych rozróżnień i zastrzeżeń. Można mieć obecnie nadzieje, że przedwojenne rozdarcia, które zaciążyły boleśnie na losach kraju i przetrwały dłużej niż realne przyczyny różnic, zostaną zapomniane. Waśnie polityczne potrafią czasami powracać i straszyć jak upiory, gdy protagoniści i przedmioty konfliktu dawno już spoczywają w grobie. Nad historią Francji widmo roku 1793 i jakobińskiego terroru ciąży od dwóch stuleci.

HALLOWEEN

31 października 1981, Nowy Jork

Od rana do drzwi dzwoniły dzieci. Przebrane za księżniczki, zbójników, a zwłaszcza czarownice i czarowników. Czasem z dynią podświetloną świecą. Prosiły o cukierki. Irena zawczasu przygotowała słodycze. Amerykanie, z wyjątkiem Nowego Orleanu, nie organizują pochodów karnawałowych. Zastępuje je Halloween, obchodzone na wesoło Zaduszki. Motywem maskarady są zwłaszcza czarownice i kościotrupy. Wszystko w radosnym nastroju.

Wieczorem pojechaliśmy do Greenwich Village. Trafiliśmy na początek parady. Trudno było przebić się przez tłumy. Z wysiłkiem znalazłem chwiejny punkt obserwacyjny na pokrywie wysokiego kubła na śmieci. Widziałem już wczoraj na rogu Christopher Street i Siódmej Alei, jak z taksówki wysiadło dwóch młodzieńców. Jeden z nich miał głowę skrytą w skomplikowanej płataninie brązowych liści. Ubrany był w obcisłe trykoty jakby ze *Snu nocy letniej*. Drugi, który płacił, miał twarz pomalowaną w wielobarwne cętki. Nikt się nie zdziwił. Na paradzie pojawiały się stroje bardziej ekstrawaganckie. Tłum gęstniał. Ledwie utrzymywałem równowagę. Przed oczyma przepływał wielobarwny pochód.

Już tylko niektóre przebrania przyciągały uwagę. Witano je oklaskami. Coraz trudniej przychodziło je zdobyć. Nie wystarczyło umalować się, przebrać za kobietę, doprawić sobie gumową twarz Nixona. Koło nas stał chłopak wieża szachowa. Zakonnice z ciemnymi brodami śmigały na wrotkach. Maszerowała trójosobowa Twarz, ale dopiero przy nas jedno i drugie Oko wyrównało krok, a Nos wysunął się na należycie eksponowaną

pozycję. Zamarli na chwilę. Znow ruszyli łamiąc banalny szyk Twarzy. Frankenstein kobieta, nie, mężczyzna w skomplikowanych falbanach, niósł na rękach niechcianą ofiarę. Wielogarbny wielbłąd komicznie kołysał się w takt muzyki. Co i raz pojawiały się szkielety. Wielką orkiestrą Gay Community dyrygował kucharz na wrotkach.

Przemarsz trwał parę godzin. W końcu cały tłum wtoczył się na Washington Square. Ścisł, hałas, zapach marijuany i alkoholu. W prześwicie łuku panującego nad placem wisiół olbrzymi druciany kościotrup poruszany przez tańczących. Maski przyglądały się maskom. Błyskały flesze. Zrobiło się zimno. Schroniliśmy się w japońskiej restauracji. Kelnerzy też byli przebrani i w maskach. Zjadłem surowe, suszone i wędzone ryby. Potem granita di limone we włoskiej kawiarni nieopodal. Zbliżała się północ, gdy znow doszliśmy do Christopher Street. Ulica zamknięta dla ruchu. Parada trwała tam dalej.

Z barów wynurzały się nowe maski. Jezdnia zmieniła się w scenę. Dookoła aktorów grupki kibiców. Niektórzy odgrywali tylko dla siebie. Nie potrzebowali widowni, bądź nie potrafili jej zdobyć. Największy entuzjazm wywoływał mężczyzna silnie umalowany i przebrany. W ręce trzymał lalkę. Przemawiał do niej karcąco. Odgrywał jakąś pantomimę. Dopiero Irena wyjaśniła, że ucharakteryzowany jest na Joan Crawford z filmu *Mommy Dearest*, który opowiada, opierając się na pamiętnikach córki, jak niegdyśjsze bożyszczce amerykańskiej publiczności maltretowało swoje potomstwo. Nasza Joan Crawford biła lalkę, mamrotała podrobionym głosem, że dzieci nie potrafią się obecnie zachowywać, waliła kukłę, a potem ostentacyjnie głaskała ją po włosach. Zgromadzeni wokół d'Artagnan, Portos, Arabowie, tancerki, zakonnice, jeźdźcy apokalipsy pękali ze śmiechu.

Trochę dalej nowa grupa widzów. Kibicowała mocno wydelatowanej Marylin Monroe. Z magnetofonu płynął śpiew. Gwiazda udawała ruchy ust, egzaltację gestów. Co pewien czas ktoś próbował jej żartobliwie przeszkadzać. Zostawał odepchnięty i zataczał się w tłum. Gdy wracaliśmy ku parkingowi (minęła już druga rano) ku oburzeniu zebranych puszczono przez Christopher Street samochody. Przeciskały się powoli wśród masek. W jednym z nich, obitym lamparcią skórą, siedziało sześciu wąsaczy w balowych sukniach. Byli śmiertelnie poważni. Pojawiła się Joan Crawford, znow strofowała i biła lalkę. Wąsacze patrzyli oswiali. Tłum chichotał.

W WHITNEY MUSEUM

1 listopada 1981, Nowy Jork

Ekspozycja współczesnej sztuki amerykańskiej tchnie szacowną nudą. Wybija się kilka rysunków Steinberga, snop światła w ciemnych salach. Czy taka jest sztuka dzisiejsza? Jeżeli znaleźć w niej można kilka jaśniejszych punktów, to znaczy, że żyje, lecz wadliwie ją ukazują. Czyżby i do sztuki stosował się paradoks Keynesa? Dyrektorzy muzeów i wpływowi krytycy formowali swoje gusty dwadzieścia lat temu, za oświeconego absolutyzmu abstrakcji. Wystawiają obecnie eksperymenty sprzed dwóch generacji, odległe od naszego widzenia.

Czy w dzisiejszych czasach rozchwianie gustów i zagubienie norm jest większe niż w przeszłości? Zapewne bardziej widoczne. Sytuacja przedstawia się chyba następująco: sztuka pozostaje rzemiosłem, rzemiosłem magicznym. Artyści zostali wyzwoleni. Nie ma cechów na średniowieczną modłę. Są inaczej zorganizowane, prywatne. Kiedy idę do galerii czy na wystawę, składam zamówienie. Wynajmuję rzemieślników, aby wykonali określoną pracę — nazwania świata, znalezienia form i kolorów dla moich marzeń, strachów, objawień. Chcę, aby oswoili otaczającą mnie rzeczywistość, rozszerzyli moje widzenie. Taka była rola współczesnej sztuki wszystkich czasów. Jeżeli jest jedynie komentarzem do teorii, stroną z wykoncypowanej przez twórcę historii przemian formalnych malarstwa, jeżeli jest grą aluzji do intelektualnych programów, to nie spełnia swojej roli. Zwalniam wówczas tych twórców z pracy czyli kieruję się ku innym. Jeżeli nie znajduję ich wśród współczesnych, zwracam się ku przeszłości i tam werbuję moich współczesnych. Rembrandt z autoportretu jest dla mnie nowoczesnym malarzem.

Zapatrzenie w przeszłość? Nie, to szerokie obszary sztuki współczesnej ślepe są na dzień dzisiejszy, a w każdym razie nie pomagają mi w widzeniu. Zeszyłem razem oglądałem w Whitney wystawę rzeźb Segala, zupełnie obojętnych. Teraz trafiłem na przegląd płócien, rysunków, rzeźb Roya Lichtensteina z ostatniego dziesięciolecia. Akademizm, mózgowość tej sztuki. Żadnych wrażeń estetycznych. Wysilone podjęcie dawnych dyskusji. Kubizm, suprematyzm, Matisse, Léger odnotowani. Zdawało mi się, że wiele obrazów powstało po to, aby pobudzić krytyków do pisania uczonych studiów: pop-art a kubizm, reinterpretacja Braque'a przez Lichtensteina. Ale do stworzenia takich tekstów nie trzeba artysty, no i nie bardzo jestem ich ciekaw.

Na stałej ekspozycji sztuki amerykańskiej dwudziestego wieku znalazłem kilku świetnych majstrów, rzemieślników zatrudnionych już dawniej i dzielnie wywiązujących się ze swych zadań: Edward Hopper, Georgia O'Keeffe. Ale dwa Hoppery to mało, gdy Whitney ma ich olbrzymią kolekcję. Po raz któryś uderzył mnie dramatyzm abstrakcyjnych płócien Marka Rothko. Wybijają się z poprawnie akademickiego otoczenia. A reszta? Dlaczego tak wymuszona? Bez uśmiechu. Bez napięcia innego niż pragnienie zyskania aprobaty krytyków. Sztuka ani buntownicza, ani rewelacyjna wobec rzeczywistości, ani pokornie wierna. Smutna. Szara. Nowoczesna jedynie ekwilibrystką formalnych chwytów.

Sztuka współczesna jałowuje wówczas, gdy staje się autonomiczna wobec widzenia i zrelatywizowana wobec ewolucji gatunków (artystycznych). Liczą się daty, copyrighty, prądy, teorie. Wśród metodologicznego zawikłania ściana światła, lekkości, inteligencji, sztuki. Ściana Steinberga. Ileż razy w Nowym Jorku nagłe uderzenie: to ze Steinberga, on tylko zdołałby pokazać takie splecenie brzydoty i piękna. On mi je pokazał. Stworzył język współczesności. Nie narzucił go światu, lecz rozjaśnił nim świat. Rozszerzył moje widzenie Ameryki. Na ilu splątanych ze sobą, lecz nie zamazanych płaszczyznach dzieje się jego sztuka, jego opowieść o świecie, o człowieku (Steinbergu) rzuconym w nowy i stary świat, w Amerykę, w dziesiątki Ameryk?

SPOTKANIE Z NABOKOVEM

2 listopada 1981, Nowy Jork

Kilka dni temu zastałem w domu kartkę: „Dzwonił Nabokov. Prosi o telefon”. Czekałem na to spotkanie od początku podróży. Starłem się je zorganizować, mimo że wydawało się mało prawdopodobne. To nie autor *Lolity* dzwonił z zaświatów, choć w pewnym sensie on. Jeszcze w Waszyngtonie prosiłem o spotkanie z Dmitrim Nabokovem, synem Vladimira. Nie wiedziałem nawet, czy przebywa w Stanach. Pamiętałem, że kiedyś mieszkał we Włoszech. Czytałem w *Encounter* jego przejmujące wspomnienie o ojcu. W Nowym Jorku mówiono mi, że nie wiedzą, gdzie go szukać. I nagle telefon. Jakby na seansie spirytystycznym. Wywołany czystą siłą pragnienia.

Wydawało mi się, że zdołam przez niego znaleźć jeszcze jeden most do wyobraźni ojca. Z Vladimirem Nabokovem rozmowa byłaby zapewne niemożliwa. Ze wspomnień innych i jego samego wynika, jakim bywał trudnym człowiekiem. Jego sztuka nachodziła na mnie z obsesyjną siłą i zaraz wymykała się — stwarzała stan głodu, pragnienia, niezaspokojenia, ciekawości. W mieszkaniu przy Piątej Avenue otworzył mi wysoki mężczyzna, kiedyś zapewne szczupły, teraz z wyraźnym zarysem brzucha. Gładko wygolony. Wyobrażałem sobie, że powinien mieć brodę — dlatego, że bas? że śpiewa w *Borysie Godunowie*? Koszuła bez rękawów. Sandały na bosych stopach. Na rękach splot czerwonych linii. Choroba żył? Narkotyki? Starałem się nie patrzeć zbyt natrętnie. Po chwili z całą naturalnością powiedział, że tydzień temu wyszedł ze szpitala w Lozannie, gdzie spędził dziesięć miesięcy. Miał bardzo poważny wypadek samochodowy. Na szczęście katastrofa wydarzyła się o kilka minut od szpitala. To uratowało mu życie. Przeszczepiono mu skórę w kilkudziesięciu miejscach. Dziwnym zbiegiem okoliczności twarz pozostała nietknięta. Żałuje, że stracił sezon operowy. Teraz jedzie na Florydę wyrzekać się w słońcu. Mówił o tym spokojnie, jakby to był zwykły wypadek. Jakby właściwie nie jemu się wydarzył.

Rozmawialiśmy po francusku. Ma lekki akcent. Sam twierdzi, że zachował ślad akcentu w angielskim. Kiedy przybył do Stanów jako sześciolatek w 1940 roku, nie znał zupełnie języka. Po skończeniu studiów literackich na Harvardzie myślał o szkole prawa. Gdy przyjrzał się uczelni i jej absolwentom, przeraziła go ta złota klatka. Poszedł do konserwatorium. Uczył się śpiewu. Przez pewien czas był wyścigowym kierowcą. Przetłumaczył kilka powieści ojca z rosyjskiego na angielski, a ostatnio na włoski. Jego matka, Vera Nabokov, zajmuje się właśnie przekładem *Pale Fire* na rosyjski. Podjęto się tego zadania kolejno dwóch nowoprzybyłych emigrantów z Rosji, ale rezultaty były podobno fatalne. Jak Vera Nabokov da sobie radę z poematem, który jest w wielu partiach pastiszem osiemnastowiecznej poezji angielskiej? Zastosuje się do wskazówek V.N.: przede wszystkim wierność oryginalnemu tekstowi, o ile to jest możliwe — rytm, rymy nie są niezbędne. Spytałem o dalszy ciąg ojcowskich wspomnień, *Speak On, Memory*, zapowiadany niedługo w wywiadach. Nie istnieje. Na wydanie czeka jedynie tom harvardzkich wykładów o Cervantesie. Wykłady o rosyjskich pisarzach właśnie ukazały się w księgarniach.

A w ojczyźnie? Czy nieistniejące dzieło i twórca zaczynają się ucieleśniać? Czy są jakieś sygnały, że zbliża się przejście

przez mroczny tunel do punktu startu, do domu, do rosyjskiego czytelnika? Żadnych oficjalnych propozycji publikacji. Minimalne oznaki zmian. Jakoś trzeba sobie radzić z nieprzemijającą światową sławą. Pojawiła się krótka wzmianka w *Encyklopedii Sowieckiej* o autorze dekadentkich powieści z życia Zachodu. Reszta jest milczeniem. Które prędzej czy później zostanie przerwane. W jednym z naukowych pism semiotycznych ukazała się praca o języku poetyckim egzemplifikowana cytatami z poezji Godunowa-Czerdyncewa. Bez komentarza, że jest to wymagowany bohater *Daru*.

Dmitri Nabokov powiedział w pewnym momencie, że kończy właśnie pierwszą powieść. Toczą się rozmowy z wydawcą. Ukaże się pod pseudonimem. Jak przedwojenne książki ojca. Nie chce korzystać z protekcji rodzinnej sławy. Nazwisko autora znać będzie oprócz wydawcy tylko jedna osoba. Jeżeli powieść odniesie sukces, wówczas może wyjawić tajemnicę. Nie chciałem dalej pytać. Nie było mi to potrzebne. Nieważne, jaki to wydawca i czy tekst naprawdę istnieje. Nieważne, kto jest jego autorem. To jest nabokowska powieść. Tyle mi wystarczy.

Kiedy patrzyłem na Dmitra Nabokova, widziałem zniszczone przez czas jego fotografie z dzieciństwa utrwalone na stronach *Speak, Memory*. Widziałem go w Mentonie. Trzyma za rękę ojca. Widziałem jego zdjęcie z paszportu, obok matki, na wizie do Ameryki i do nowego świata. *Dar* pozostał za nimi. *Lolita* i *Blady ogień* jeszcze niewidoczne w mglistej przyszłości, oddzielone oceanem. Widziałem go przy fortepianie w Cambridge. Matka patrzy z pełnym podziwu tklwym uśmiechem, ojciec z mieszaniną dumy i wstydlivosti. Widziałem jednocześnie poprawione i unaturalnione zdjęcia ojca. Pociągła, stanowcza twarz o zmiennym wyrazie, raz życzliwa, raz chłodna, rzędzące włosy, wydany nos. Niekiedy był postacią z powieści ojca, niekiedy ojcem z opowieści o nim ludzi krytycznych, a niekiedy dostrzegłem autora i bohatera utworów, o których wciąż myślę. Nie potrafiłem tylko odnaleźć — czas, przestrzeń, czas — niemowlęcia, tajemniczego bożka, po karmieniu wpatrującego się intensywnie w nieodgadłą przyszłość, ani chłopczyka trzymającego dziwnie ciepłą rączką rękę ojca w oczekiwaniu na pociągi znikające z gwizdem pod berlińskim mostem, tych fragmentów ze *Speak, Memory*, które należą do najbardziej przejmujących opisów miłości ojcowskiej.

Ze współczesnej prozy wyjątkowo cenię nienapisane powieści Nabokova (czy to proza?). Czasem przez chwilę wpadam na ich

śląd, czytam kilkanaście stron — u Nabokova, nie u Nabokova — książka ginie, rozplywa się powoli jak kot z Cheshire, pozostaje w głowie rytm paru zdań, marzenie o pewnym rytmie. W Nabokowie fascynuje mnie to, co czyni mi bliską wszelką literaturę emigracyjną, zwłaszcza polską. Mam jej zmitologizowany obraz, wiem o tym. Zawsze jednak podziwiałem romantyczne motywacje wygnańczej postawy, jakkolwiek chwiejna i gorzka byłaby w rzeczywistości, jakkolwiek trudna i bolesna. Dawid, słaby, pozbawiony broni poza egzotycznym słowem, walczy z wielokształtnym Goliatem, z przemocą, z obcością i obojętnością. Nie tylko tych, którzy go wygnali, ale też tych, którzy go otaczają. Jest od nich biedniejszy, nie mieści się w ich świecie, w ich hierarchiach. W sobie nosi źródło wartości i siły, autonomiczną hierarchię.

Z przejściem śledziłem cię Mickiewicza na rue de Seine i w okolicach Arsenалу, Norwida dumnie i niezręcznie kroczącego ku Hotelowi Lambert, Słowackiego kaszlącego na florenckim poddaszu i w uliczkach Neapolu, Krasińskiego powłóczącego nogami w rzymskich ogrodach. Co pozwalało im wierzyć w siebie? Co zmuszało do ciężkich zmagañ z rodzimym słowem? Nie czysty egotyzm ani bierna zależność od przeszłości. Tak bywa, tak być nie musi. Czasem zwycięstwo wygnańca — problematyczne dla otoczenia, okupione dotkliwą ceną, brakiem tych satysfakcji, które potrzebne są każdemu artyście, każdemu człowiekowi — decyduje się w teraźniejszych i przyszłych umysłach jego współrodaków. Jest zwycięstwem rzutowanej w nieznaną przyszłość odrodzonej i przemienionej przeszłości jego kultury. Jak piękne jest to wówczas zwycięstwo! Jak wybornych ma on czytelników, tym cenniejszych, im mniej licznych. Razem uczestniczą w spisku przeciw Goliatowi. Przeciw monopolowi Lewiatana w sprawach ducha.

Gombrowicz obnosił swoją głowę jak lampę po Tandilu. Nigdy nie troszczyłem się o to, gdzie naprawdę znajduje się na mapie argentyńskie miasteczko. Było realne na inny sposób, magiczny, przywołane do życia słowem tak intensywnym, że niewiele podobnych odnaleźć można w polskiej mowie. Wsłuchiwałem się w głos czarodziejskiego fletu. Przywracał mi wewnętrzną wolność. Do zagłuszania tej melodii powołano całe instytuty walki z imperialistyczną dywersją, tygodniki literackie zamieszczały piętnujące artykuły, najmowano dziennikarzy, wytaczano procesy, celnicy przeszukiwali walizki, policja mieszkania, a mimo to słowo pisane za oceanem, po drugiej stronie równika, przez nikomu nieznanego cudzoziemca, docierało do mnie.

Nabokov na zniszczonej ceratowej kanapie, w zadymionym pokoju, w starym berlińskim mieszkaniu, którego tylko ten skrawek do niego należał, i to do pierwszego, do terminu następnego czynszu, układał opowieści o szalonych szachistach, o opętanych fabrykantach czekolady, o grach umysłu, o wewnętrznej wolności, niezgodzie na przemoc, na kłamstwo, na narzucaną jednolitość wulgarnej doktryny. Układał kryształowe konstrukcje zdań o niezrównanej precyzji i perfidii — dla kogo? Dla siebie? Dla wygnańców pozbawionych ojczyzny, których ojczyzna zatonęła, pochłonięta przez mechanizmy niszczące swobodny czas, wolne słowo? Dla nieznanych przyszłych czytelników w nieznanym kraju? Zalew sięgał coraz dalej. Grunt cofał się spod nóg. Zostawało słowo i wyobraźnia. Uciekał z owładniętego przez bolszewików Petersburga na Krym. Z Krymu na Zachód. Z podbitego przez hitleryzm Berlina do Francji. Z powalonej przez nazistów Francji w ostatniej chwili do Stanów.

W Ameryce odnalazł swobodę, nowy świat, pamięć i nowe gry wyobraźni, Lolitę, blade ognie. Czasem nachodził go profesor Pnin, nie, nie jego sobowtór, ktoś bezradny, bardziej z przeszłością związany, niemiłosiernie kaleczący angielszczyznę, wyciąga ręce, puste, ku przyszłości. Czasem wracały obawy, że w wilgotny dzień upalnego lata, gdzieś w Ameryce, choćby w labiryntach Widener Library (budował tam labirynty komentarzy do Puszkina), może w krętym przejściu podziemnym do Pussey, zagubi się w nie całkiem przecież realnym świecie swobodnej kultury. I jak wówczas, w tamtym prowincjonalnym francuskim miasteczku, w tamtym muzeum, wyjdzie z upalnego dnia na śnieżny wieczór, w inny świat, widmowy, choć okrutnie konkretny, w niechcianą noc utraconej ojczyzny. Ze strachem odczyta na rogu słowa pisane w ojczystym języku, lecz w nowej pisowni, słowa poddane przemocy. Może zostać za chwilę schwytyany. W królestwie nocy wszystko go demaskuje: jego sposób mówienia i myślenia, jego widzenie Puszkina, jego tradycja, jego wolność, jego otwarcie ku przyszłości. Zwłaszcza jego dzieło. Stanowi wyrok. Zarazem stanowi urealnienie, legitymację pozwalającą wyostać się na wolność.

Odrzucił koszmarne wspomnienia. Przebywał na wolności. Czy można przywiązać się do strasznych snów i pragnąć ich powrotu? A jednak w koszmarnych majakach tkwiła część jego swobody. To był dar. Przyjął go i chronił. Dzięki niemu odnosił zwycięstwo. Jego słowo przedostawało się powoli, jako cień cienia, w nocny świat. Pojawiał się, widmowy rewizor, na śnieżnych ulicach. Czy straszy tam jego wyobraźnia nie podległa żąd-

nej ortodoksji, jego swobodne słowo? Jeszcze nie zdołały się wedrzeć. Stoją jeszcze przed bramą. Strażnicy nadal odpędzają groźbę. Jak długo im się to uda?

Kiedys przecież na naszych oczach dokona się przejście inne, od mrocznych korytarzy, od śnieżnej nocy, od słów zniewolonych, ku swobodzie, ku wolności wyboru. Nawet jeżeli słowa wygnańca nie wrócą do ojczyzny, jeżeli istnieje tyle słów, które się nie obronią, bo ich siła oddziaływania przemienie, jak przemija każde dzieło ludzkie, nawet wówczas dla życzliwego obserwatora są te słowa, te swobodne egzystencje, trwające w dziełach i bez dzieł, śmiała, tańcząca, mozartowską drużyną, szturmującą królestwo nocy. Jedni obdarzeni czarodziejskim fletem, inni, bardziej przyziemni, ratujący się grą magicznych dzwonek, jeszcze inni ratują siebie i nas grą niewidzialną, magią własnej osobowości, odwagą, śmiechem, namiętnością, wiernością, wdziękiem, swobodą. Wygnanie pozostaje wygnaniem, trwa przecież wyzucie z domu, z ojczyzny, lecz jest zarazem obietnicą swobody, swobodą. Gdzie rozbija się namioty, co robi się z tym haustem wolności, zaczerpniętym w obcym mieście, któregoś dnia, na jakimś dworcu, wobec jakiejś twarzy, nad jakąś książką, co się z tym robi, to już inna sprawa. Historia, która wyгнаła wygnanych, ofiarowała im wolność od nudy, kłamstwa, przemocy. Mają szansę odważnego widzenia. Zapłacili za nią wysoką cenę. Tego widzenia szukałem u Nabokova. Zapowiadał je, nie zawsze spełniał. Wtedy kierowałem się ku nienapisanym kartom jego książek, ku jego wyobrażonej osobie towarzyszącej mi w Stanach jak cień.

OBRAZY ANDREW WYETHA

4 listopada 1981, Nowy Jork

Skąd się znalazłem w olbrzymim, pustym mieszkaniu na Piątej Avenue, u syna Andrew Wyetha? W Metropolitan Museum przyglądałem się datom urodzin i śmierci malarzy. Dawno zwróciłem uwagę, że wielu żyje bardzo długo. Jest coś w malarstwie utwierdzającego życie? Szukam tego utwierdzenia. Szczególną satysfakcję sprawiają mi oddalone od siebie momenty graniczne zanotowane po nazwisku. W skrzydle amerykańskim zauważyłem ze zdziwieniem, że Andrew Wyeth, którym się trochę interesowałem, umieszczając go, również chronologicznie, gdzieś niedaleko Hoppera i Georgii O'Keeffe, urodził się dopiero w

1917 roku i żyje. Nie wiedziałem gdzie. Pamiętałem scenerię Wschodniego Wybrzeża na kilku płótnach i rysunkach. Poprosiłem w International Visitors Center o spotkanie, jeżeli mieszka bądź bywa w Nowym Jorku. Nie, prawie nie bywa. Spędza większość czasu latem w Maine, zimą gdzieś w Pensylwanii.

Mogę spotkać jego synów. Jeden z nich jest malarzem. Widziałem kiedyś jego salonowy, efekciarski portret Nurejewa. Rozmowa o sztuce byłaby dla nas obu krępująca. Drugi syn zajmuje się sprzedażą obrazów ojca. Ma u siebie ostatnie dzieła. Załatwiono mi spotkanie z nim. W hallu domu kilku strażników. Winda zawozi prosto do mieszkania. Przywitał mnie młody człowiek, puciołowaty. Wydawało mi się, że lekko utyka. Olbrzymi, prawie pusty salon. Na ścianach obrazy. Patrzyłem na nie przez chwilę z grzeczności, bo całą uwagę przyciągnęło od razu okno. Widok na Central Park zapiera dech. Nie wypadało zajmować się tylko naturą, gdy przedmiotem wizyty była konkurencja. Przez moment natura triumfowała. Kuszyła szmaragdowostalową taflą wody. Gdy stanąłem pośrodku salonu, okno ucinąło brzeg obszernego jeziora, drzewa i drapacze po drugiej stronie. Byłem na wspaniałym transatlantyku. Mieniąca się tafla wody wypełniała cały widok, odsyłała odbite promienie słoneczne. Podeszedłem bliżej. Obraz dopełnił się o plamistą gęstwą drzew, ciągle jeszcze cudownie wielobarwnych, kontrastujących ze spokojem jeziora i spokojnie radosnym błękitem nieba.

Usiedliśmy. Wyjaśniłem, że nie jestem ani krytykiem, ani naukowcem, ani konkurencją. Staram się oglądać Amerykę. Dzieła jego ojca były mi w tym pomocne. Chciałbym poznać ich więcej. Nicolas Wyeth wyraźnie się odprężył. Pokazał mi najpierw znakomitą temperę (kto dzisiaj jeszcze stosuje tę technikę?). Pusty pokój, intensywna biel ścian, prześwieczone blaskiem okno, ledwie naszkicowana kurta wisząca na haku. Kurta to część munduru angielskich żołnierzy z roku 1812. Wyeth pasjonuje się historią tego okresu. W jego obrazie nie było nic z historycznej pedanterii. Uobecniona nieobecność postaci. Skrócowa ewokacja wnętrza. Powietrze napełnia przestrzeń, światło sączy się delikatnie i modeluje przedmioty.

Oglądałem dawniejsze dzieła. Błyskawiczną notatkę ołówkiem, pierwszy szkic do *Świata Krystyny*. Ten znany obraz przykuwa uwagę w Museum of Modern Art. Dom na odległym wzgórzu, samotny, i samotna postać kobiety na pierwszym planie — czołgającej się ku domostwu? patrzącej w oczekiwaniu na niewidoczny dla nas znak? Krystynę odnalazłem na innych

obrazach Wyetha, ale żaden nie miał tej ewokacyjnej siły, tego obsesyjnego nastroju nieszczęścia i konieczności, czegoś naturalnego, nieuniknionego. „Ojciec często coś nagle szkicuje — opowiadał mi Nicolas Wyeth. — Uderzyło go wniesione zimą wiadro z wodą. Na rączce zatrzymał się jeszcze śnieżny nawis. Firanka wciągnięta przeciągiem w głąb pokoju. Miedziane rondle mieniące się na matowej kuchennej ścianie. Rozprawia się o nastroju samotności w jego płótnach. To prostota uderza. Nigdy nie mówił do mnie czy do brata: przyjrzyj się temu. Patrzyliśmy, jak on reaguje na świat. Staraliśmy się naśladować jego prostotę i precyzję widzenia. Zawsze był przekonany o słuszności swojej drogi. Także wówczas, gdy malarstwo realistyczne było w pogardzie. Z abstrakcjonistów cenił Kline’a. Podziwiał oczywiście Hoppera, Winslowa Homera, Eakinsa, ale szedł własną drogą”.

Obecnie w Ameryce zaczęto doceniać jego obrazy. Ma zagorzałych wielbicieli i zdecydowanych przeciwników. Pod Filadelfią istnieje prywatne muzeum, największy zbiór jego prac. Ale w innych galeriach prawie nie jest reprezentowany. Nie cieszył się uznaniem dyrektorów. Teraz, kiedy już nie wypada nie mieć jego obrazów, niechętnie się z nimi rozstaje. Woli prywatnych kolekcjonerów. W Europie omalże nieznanym, ma wiernych kupców w Japonii. Dzisiaj jego temperę wysokiej klasy można sprzedać nie gorzej chyba niż dobry olej Hoppera. Chyba — bo Hoppera nie ma właściwie na rynku. Ceny idą w setki tysięcy dolarów.

Dziwny artysta. Niekiedy znakomity, gdy ukazuje niezwykłość w zwyczajności, jakiś błysk światła na kuble, topniejący płat śniegu na wiosennie spęczniałej ziemi, twarz wyrwaną z mglistej bieli i czas zatrzymany w czyichś zmarszczkach. Niekiedy znowu banalny ilustrator natarczywie opowiadający o szczegółach. Oglądałem rysunki i obrazy w różnych pokojach. Smutne mieszkanie. Żadnych książek. Trochę dziecięcych zabawek. Na kanapie długa szczupła lalka o szerokiej spódnicy. W małym pokoju pracownia modelarska, narzędzia stolarskie, zawieszony u sufitu szkielec samolotu. Na ścianie portret gospodarza znany z książek. Andrew Wyeth namalował dwunastoletniego syna, gdy ten marzył o samolotach. Widać pozostał wierny marzeniom. W sypialni zaskakująca akwarela. Pejzaż morski z Maine, malowany w latach trzydziestych. Śmiała abstrakcyjna kompozycja, nakładające się plamy kolorów. Czyżby duch przeczenia? W okresie powracającego klasycyzmu wybuchy kolorów i nieobecność konturu, w latach triumfującej abstrakcji precyzja linii, wierność szczegółowi, uwielbienie dla Mistrza de Flémalle. Takie ujęcie

niczego nie wyjaśnia. Jak niczego nie wyjaśniają słowa Nicolasa Wyetha o niepotrzebnym doszukiwaniu się filozofii, o zwyczajnej prostocie. Jak też niczego nie wyjaśnia termin realizm, także magiczny realizm.

CZARODZIEJSKI FLET

5 listopada 1981, Nowy Jork

Chagall nie trafił w ducha Mozarta, w baśniową lekkość i powagę. Widziałem lepsze dekoracje, słyszałem lepszych śpiewaków. A jednak znów mnie wciągnęła magiczna opowieść. Od początku. Od pojawienia się Królowej Nocy, budzącej najpierw litość, potem grozę. Od omdlenia Tamina i zachwyków nad dostrzeżoną na obrazie piękną twarzą. *Dies Bildnis is bezaubernd schön* — to dzieło, ta muzyka, ta wyobraźnia są czarująco piękne. Gra żartu i mądrości, niekonsekwencje, niedopowiedzenia, wszystko urzeka. Sarastro, najpierw zły duch, potem zbawca ludzkości, właściciel niewolników sprawnie posługujący się knutem? To przecież bajka, nie traktat filozoficzny, na szczęście. To bajka, która zniewala, wciąga w magiczny krąg. Rozpoznamy znajomych: Papageno znów zachowa się z komiczną lekomyślnością, Tamino będzie książęco szlachetny, mądry i wierny. Kim są cudowni chłopcy? Na służbie Królowej Nocy, Sarastro, czy Mozarta? Gdzie się podzieli, gdzie przebywają teraz, oni wszyscy?

Gdy wyszedłem z Lincoln Center, schwycił mnie przejmujący wiatr. Nie zatrzymałem się przy oświetlonej fontannie przed operą. Jak najszybciej do metra. Na Columbus Circle wirowały brudne gazety. Po chodniku walały się rozprute torby ze śmieciami. Nie, nie chcę wszechwładzy Sarastro! Mój czarodziejski flet? Moje próby i moja świątynia, i strażnicy, i piękny wizerunek, i spotkania z Królową Nocy? Jest taki wiersz Hermanna Hesse, przeczytałem go w programie do wiedeńskiego *Czarodziejskiego fletu* z tego lata, natrętny rytm wpadł w ucho, nachodził mnie i wówczas, i teraz. Stary Hesse dopytuje się z niepokojem, czy zdoła zjawić się tym razem na umówione spotkanie, czy jego zmęczone serce raz jeszcze uderzy w takt wyznań Tamina, czy ukażą mu się cudowni chłopcy, czy melodia fletu, dźwięk dzwonków obudzą te same co tylekroć echa, czy zostanie dopuszczony

do Świątyni Mądrości, czy bilet na *Czarodziejski flet* będzie znów biletem do czarodziejskiego świata. Był. Wierzę, że będzie.

Co oznacza ta lekkość w owej epoce, ta ironia trwająca — gdzie? — od dwóch już prawie stuleci? Jak niedźwiedziowaci czuć się muszą dzisiejsi artyści wobec mozartowskiego złączenia żartu i powagi. Przypominają Papagena, który udawałby Tamina. Współczesny Sarastro już nie pyka z fajeczki na Kremlu, już go wyrzucili z M-2, pozostał tylko drugi lokator, a widziałem przed laty obu, dwie woskowe lalki wśród kwiatów. A może był Królową Nocy? Słyszę jego długie, wzruszające trele, porwano mu córkę. Nie, nie ma dla nich miejsca. Mozart wyklina złe duchy. Jego królestwo to królestwo indywidualnej swobody. Co chce mi powiedzieć, gdy wzywa do odwagi, cierpliwości, milczenia? Książka, którą chciałbym przeczytać, to współczesny *Czarodziejski flet*, dotyka spraw poważnych, rozśmiesza, pozwala przyjrzeć się Świątyni Mądrości, opisuje Królestwo Nocy i inne wyprawy stylem szybkim, zdradliwym, rozbawionym. Czy są taką książką fragmenty *Daru*, wezwanie do dzielności, śmiałości ducha, czy jest nią *Czarodziejska góra*, złączenie tego, co ziemskie i tego, co wzniosłe, żartu, szaleństwa, trzeźwości, powagi?

STERLING LIBRARY

10 listopada 1981, New Haven

Znów buszuję w puszczy książek. Miliony tomów otaczają i osaczają. Czasem wyciągają przyjaźnie rękę, budzą zaciekawienie i radość, kiedy indziej uczucie bliskie mdłości. Ile tego, ile jeszcze, jaki cel? Po co złe polskie książki tutaj, w yale'owskiej bibliotece, po co zaśmiecanie półek i mózgów? Na szczęście nikt nie czyta tych tomów. Nie wiedziałem nawet o ich istnieniu. Musiałem przelecieć Atlantyk, odbyć podróż po Stanach, przyjechać do New Haven, zatrzymać się w żółtawym Palazzo Grosso dumnie stojącym nad torami — aby w Sterling Library natknąć się na antologię poezji przeciw panom i kułakom; na dziewięciotomowe *Utwory zebrane* literata, którego pamiętam, jak w rozedrgany od upału i wrzasku głośników dzień czerwcowy 1976 roku przemawiał do spędzonych na warszawski stadion stu tysięcy urzędników i funkcjonariuszy, wzywając robotników do pokory i potulnej pracy; na wydawane w masowych nakładach opowiadania tego, kto ostrzegał przed podpisywaniem jakichkolwiek

protestów, przed wyrażaniem jakichkolwiek niezależnych opinii, bo książki w ogóle przestaną być przez państwo wydawane, a może i czołgi wjadą.

Czasem wydaje mi się, że trzeba obserwować i rozgłaszać akty duchowego poddaństwa, niech służą jako ostrzeżenie, czasem znów uważam, że zapamiętywanie tych wyczynów to już podleganie ich wpływom, istnieją przecież po to, aby zaśmiecać umysły. Na półkach amerykańskiej biblioteki zobaczyłem jedną z przyczyn kryzysu papieru w Polsce. Obecny brak książek zagraża zdrowiu kultury narodowej. Papier zeżarła pasożytnicza produkcja dzieł działaczy kultury, zaangażowanych literatów, aktywistów politycznych. Te książki zanieczyszczają środowisko, zatrują atmosferę. Były kiedyś nie mniej groźne niż węglowe pyły wiszące nad Śląskiem, bo za papierowymi stronami stała policja, urzędnicy od kultury, ideolodzy broniący dla siebie i tego śmiecia wyłączości w prasie, w środkach masowego przekazu, w wydawnictwach. Monopol został przełamany. Jeszcze chwiejnie, w nikłym stopniu. Rakowaty twór może się odrodzić, gdyby ustał wysiłek jego ograniczania. Jak inne powietrze wdychamy, odkąd działają niezależne wydawnictwa! Ciągłe jeszcze istnieją potężne siły, które chciałyby powrotu do dawnej sytuacji, producenci „masy ideologicznej”, profitariusze upaństwowionego słowa, planiści i realizatorzy polityki kulturalnej. Ci, którzy nadal zastanawiają się, czy wydrukowanie nieortodoksyjnych poglądów to nie anarchia. I skąd bierze się papier na wiersze Miłosza, na broszury o polskiej martyrologii w katyńskim lesie, czy przypadkiem publikacje ich, ich kolegów, ich szefów nie zostaną ograniczone?

W Sterling Library książki istnieją mocniej niż w europejskich bibliotekach. Czytelnicy mają swobodny dostęp do zbiorów. Często chodziłem wśród półek interesującego mnie działu i wyciągałem tomy na chybił trafił. Trafiłem na dział polski, po którym buszowałem trzy lata temu. Nie odnalazłem dzieł Gombrowicza, pamiętam, że były. Pod odpowiednią literą jedynie obcojęzyczne opracowania. Splecione razem tomy wydane w Warszawie i na wygnaniu. Marek Nowakowski stoi obok Tadeusza Nowakowskiego. Stanisław obok Józefa Mackiewicza. Wyobrażam sobie, jak ci dwaj bracia się kłócą, gdy gaśnie światło i autorzy mogą sobie swobodnie porozmawiać.

Nowa biblioteka, choćby kiedyś znana, jest jak nowe miasto, też kiedyś znane. Jak nowe miasto amerykańskie, gdzie ulice są numerowane wedle tego samego klucza. Po obejrzeniu kilku bibliotek wiem już, gdzie czego szukać. A jednak w pierwszych

dniach ciągle drażni nieumiejętność natychmiastowej orientacji. Muszę uczyć się sposobu poruszania. Buduję własną bibliotekę. Podobnie jak za pierwszym pobytem udało mi się dzięki pomocy Jasia zdobyć *carrell*, zagłębienie w murze, a w tej niszy moje biurko, krzesło, półki na ustawianie wybranych książek. Wypełniam tylko odpowiednią fiškę, aby w razie potrzeby można było tom zlokalizować. Na pierwszy ogień wzięłem książki dla czystej przyjemności, jutro poszukam potrzebnych mi americanów. Nie znalazłem antologii poezji polskiej, wydanej przez Grydzewskiego w Londynie bodajże w 1946 roku. Jest tam wiersz Stanisława Balińskiego *O kraju mój*. Chodził mi po głowie jego rytm, kilka fragmentów, słów nie mogłem nigdzie odnaleźć.

W Cross Campus, liczącej kilkaset tysięcy tomów bibliotece podręcznej, zatrzymałem się przed działem o sztuce. I od razu poleciało. Najpierw usprawiedliwiając się obowiązkiem sięgnąłem po Starobinskiego. Chciałem przypomnieć sobie jego wywody o Mozarcie, Goyi, Piranesim. We wspomnieniach wydawały mi się ciekawsze. Szkic o Piranesim zginął, zapewne przeniosłem go z innej książki. Z sąsiedniej półki zawołał mnie Sacheverell Sitwell dużym, wyraźnym liternictwem tytułu. Odbyłem z nim podróż jesienno-zimową na barokowe południe. Huxley opowiedział raz jeszcze, jaki jest najpiękniejszy obraz na świecie (*Zmartwychwstanie Piera della Francesca w Borgo San Sepolcro*). Friedlaender przypomniął, że dawno miałem go przeczytać (*Art and Connaissanceurship*), lecz także tym razem wzięłem z półki i tylko przejrzałem. Następnym razem, następnym razem.

W czytelnicy czasopism zatrzymał mnie za rękę ostatni numer londyńskich *Wiadomości*. Naprawdę ostatni. Po przeszło półwieczu burzliwej egzystencji postanowiono przestać je wydawać. Zabrakło czytelników. Nie byłem entuzjastą tego pisma. Wyrzucił mi Antoni Borman, że wolałem „konkurencję”. Oczywiście, wolałem. Trudno pomylić wagę *Wiadomości* i *Kultury*, zwłaszcza komuś z kraju. W *Wiadomościach* uderzało zamknięcie, nie tylko czy nie tyle w czasie. Nie było tam krytycznej analizy sytuacji krajowej, nie było interpretacji przemian zachodzących w kulturze zachodniej. Nawet przeszłość polska, wciąż obecna, była wspominana, nie dyskutowana. Bano się kogokolwiek urazić.

Pogląd Miłozsa o przyrodzonej Polakom skazie towarzyskości odnosi się do *Wiadomości*, nie do *Kultury*. Dlatego *Wiadomości* nie pomieściły ani Miłozsa, ani Gombrowicza, ani Czapskiego, ani naprawdę istotnych tekstów Herlinga-Grudzińskiego, Wata, tego wszystkiego, co nazywam metafizyczną szkołą literatury polskiej: ukazanie jednostki nagiej, odartej z masek, bądź zmagającej się

z maskami, ukazanie wyraźnej osobowości pisarskiej, stylu wykraczającego poza gramatyczny banał i literackie fioritury. Nie chodzi tu o wybór jakkolwiek rozumianej awangardy. Także „klasycy” emigracyjni, jeżeli byli osobowościami wybitnymi, jak Stempowski czy Wittlin, zbliżali się do *Kultury*. Tworzyli styl twardy, sprawdzony w czasie, w historii, jakby wykuty w antycznych kamieniach. Trzeba mistrza do sporządzenia takich napisów, trzeba osobowości upartej, więc żywej, osobowości, która może nie lubić publicznych awantur, karczemnych sporów z duchem czasu, ze złymi duchami, ale potrafi oprzeć się modom, złudom, stagnacji.

Dostrzegam braki *Wiadomości*, mogę więc bezstronnie powiedzieć, że szkoda pisma. Sytuacja monopolisty jest niezdrowa. Redaktor *Kultury* żałuje zapewne, że stała się ona jedynym literackim pismem na wygnaniu. Bywały w *Wiadomościach* teksty interesujące. Mam nadzieję, że wejdą teraz do polskiego obiegu umysłowego. Szkice Stanisława Mackiewicza wydano w kraju po październiku. *Dziennik Tyrmanda*, drukowany odcinkami w *Wiadomościach*, opublikowano w Londynie, a teraz szykuje się do tego Nowa. Pamiętam świetny zbiór Pragiera z jego *Puszki Pandory*. Niektóre szkice Kajetana Morawskiego, o lekko wyniosłej, klasycyzującej polszczyźnie, drukowane były najpierw przez Grydzewskiego. Te tytuły i nazwiska przychodzą mi na myśl. Były inne. Choć zasadniczą rolę odgrywał w *Wiadomościach* Zygmunt Nowakowski (z Krakowa), Stanisław Cat-Mackiewicz (z Wilna), Hemar (ze Lwowa), były one pismem przedwojennej inteligencji warszawskiej na londyńskim wygnaniu. Były nieoficjalnym organem polskiego Londynu. Dziś to już w przemożnej mierze historia, do historii przeniosły się *Wiadomości*, powinniśmy o niej pamiętać, bo inaczej rozumienie współczesności będzie zafałszowane.

STRATEGIE

11 listopada 1981, New Haven

Tkwimy w historii mocniej niż inne społeczności. Nie bez przyczyny. Historia ostro się z nami obchodziła. Kiedy terazniejszość tylko w nikłym stopniu od nas zależała, refleksja nad przeszłością była formą walki o suwerenną przyszłość. Po dwudziestoletnim oddechu niepodległości atak z dwóch stron i roz-

biór połączony z energicznym wysiłkiem eksterminacji. Początkiem drugiej wojny był serdeczny uścisk dłoni dwóch totalnych Imperiów nad trupem Polski. Końcem wojny był upadek jednego z totalizmów i zdominowanie przez drugi połowy Europy, także Polski. Społeczeństwo poddane zostało przymusowej reedukacji. Totalna władza starała się podporządkować sobie wszystkie objawy życia, również społeczną pamięć. Upaństwowiono wiedzę o historii i poddano ją ideologicznej obróbce. Warunkiem uczestnictwa w oficjalnym życiu było publiczne zaakceptowanie kłamstwa. Nie wszyscy chcieli występować w pierwszych szeregach. Inteligencja polska znalazła się pod szczególną presją. Jedni w milczeniu godzili się pozostawać na uboczu, inni płacili wygnaniem bądź więzieniem, inni decydowali się na kompromisy, jeszcze inni kolaborowali z neofickim entuzjazmem.

Wybierano różne strategie. Jak najskuteczniej można było bronić duchowej suwerenności? Jak bronić jej dzisiaj? Długo zapewne toczyć się będą spory o wybór właściwej strategii. Do połowy lat siedemdziesiątych można było wątpić, czy inteligencja polska (jakkolwiek trudno ją zdefiniować) nie utraciła historycznego mandatu, czy nie pograżyła się w letargu małej stabilizacji. Nachodziły mnie momenty zwątpienia, zdarzyło mi się dać im stanowczy wyraz. Dziś sytuacja rysuje się inaczej w moich oczach. Widzę dziś całe niepodległe duchowo pokolenie. Kiedy w ostatnich miesiącach byłem zapraszany przez studentów różnych ośrodków, kiedy mówiłem im o polskiej literaturze emigracyjnej, widziałem głód informacji i głód wiedzy. A przede wszystkim umysłową swobodę, zdobycie suwerennego głosu. Jaki dystans z latami sześćdziesiątymi, gdy na tematy publiczne — społeczne, polityczne, kulturalne głębiej rozumiane — nie mogłem otwarcie rozmawiać.

Do końca lat sześćdziesiątych nie czytałem z zasady książek historycznych wydawanych w kraju. Wiedziałem, że będą bądź fałszywe, bądź marginalne. Nie czytałem eseistyki bądź odczytywałem ją w duchu krytycznym. Nie dotyczyła moich spraw. Ze smutkiem śledziłem dyskusje na tematy historyczne. W szyderstwie czy ironii widziałem skryty wyraz poniżenia. Do roku 1968 w dyskusjach towarzyskich słyszałem odbicie dwu postaw w sprawach społecznych: bądź lekceważenie problematyki politycznej (nic się nie da zrobić) u tych, którzy rozumieli polskie położenie i dostrzegali zniewalającą rolę ideologii, bądź pasje polityczne wyrażane w języku i z perspektywy marksistowskiej ideologii, wprowadzie interpretowanej samodzielnie, cóż, kiedy nawet tak ujęta, uniemożliwiała mówienie o istotnych sprawach,

narzucała fałszywy język. Sprawa suwerenności głosu nie bez przyczyny była dla mnie od bardzo wczesnych lat sprawą zasadniczej wagi. W rozmowach często milkłem. Wiedziałem, że porozumienie jest niemożliwe. Byłem przekonany o słuszności swojej postawy, jej wyjawienie musiałoby się jednak skończyć aktem zbrodni myśli, otwartym odrzuceniem dogmatów i byłby to *un acte gratuit*: nie przekonałbym nikogo, kto ślepy jest na oczywistość (byli ślepi), a naraziłbym życiową strategię.

Jaka to była strategia? I jest dalej, sytuacja nie uległa fundamentalnej zmianie, tylko nie boję się — czyżby? — o niej pisać. Myślałem chyba tak: żyję w sytuacji narzuconej, godzącej w cennie przez mnie wartości. Ta sytuacja potrwa długie lata. Moim obowiązkiem jest jak najskuteczniej działać w obronie duchowej suwerenności. Jak? Otóż kto zdobył wewnętrzną wolność, powinien ją umacniać i znajdować kanały oddziaływania na innych. Te kanały są ogólnie kontrolowane, to pierwsza zasada totalitarnej doktryny i praktyki: zawładnąć słowem od razu i władzy nie oddać. A jednak narzucają się uściślenia. Władza nad słowem w latach siedemdziesiątych wyglądała inaczej niż w latach sześćdziesiątych, obydwie te okresy różniły się od pierwszej połowy lat pięćdziesiątych. Wówczas ideologiczne opętanie przyjmowało najbardziej przerażające formy: partyjnie dekretowane malarstwo, muzyka, genetyka, fizyka jądrowa.

Nie wszystkie kanały społecznego porozumienia kontrolowano z równą czujnością. To stwarzało nadzieję. Nie wolno było zawierać kompromisów — nie tylko dlatego, że to przykre, dlatego, że plami, zostawia piętno na życiu duchowym. A jednocześnie komuś, kto od dawna wiedział, gdzie stoi i dlaczego nie może stać gdzie indziej, nie wolno było zbyt wcześnie zdradzić się z poglądami na pewne zasadnicze sprawy społeczno-polityczne. Nie mogłem wypowiadać się, choćby ogólnie, w narzuconym języku, bo to język fałszywy, fałszujący rzeczywistość, stawiający w fałszywej sytuacji. Odrzucić głośno fałsz to odebrać sobie możliwość publicznego istnienia. Ponieważ nie miałem złudzeń, musiałoby to być odrzucenie zasadnicze, samych duchowych podstaw fałszu. To zaś, po pierwsze, przekreślało szansę choćby minimalnego oddziaływania — w narzuconych ramach, lecz w upragnionym kierunku.

Po drugie (ten motyw jest ciągle aktualny), dyskusja z ideologicznymi hasłami wymaga szczególnych cech umysłu i temperamentu. Polemika z siłą bezkształtną, z myślą zaprzeczną, z nicością absorbuje wiele energii. Narzuca język jałowy i problema-

tykę jałową. A potem by się okazało, że przeciwnicy sami w to nie wierzyli, że ich do tego zmuszono, że „sam Pan rozumie, w naszych warunkach geograficznych...” że gdyby nie on, ktoś inny głosiłby tezy jeszcze głębsze, dokonywałby szalbierstw bardziej topornych, bądź bardziej wysublimowanych. A ja po całym wysiłku zostałbym z wywodami, że czarne nie jest całkowicie białe, raczej bliskie szarości. Zostałbym jako ontologiczny dowód na istnienie przeciwnika, który był się właśnie rozwiął (aby przybrać nowe kształty).

W tym sensie sierpień postawił mnie w trudnej sytuacji. Wyśilać wiedzę i inteligencję, aby przemyścić aluzję, że państwa despotyczne nie są wewnętrznie stabilne, że Sparta jednak upadła, a więc dzisiaj... że Rosja carska była imperium o rozrośniętej władzy wykonawczej i o stłamszonym społeczeństwie, a dzisiaj... że Polska sto lat temu była krajem pozbawionym suwerenności, pod panowaniem obcych sił, dzisiaj... Aluzje już nie wystarczają. Bywają ponadto mylące. Stanowią cenny materiał do refleksji i zadumy, trzeba jednak pamiętać, że to tylko analogia, tylko część prawdy — więc fałsz, jeśli zapomni się o pozostałej części, o wyjątkowości każdej sytuacji historycznej. Mówić pełnym głosem? Sądziłem, że to nieosiągalne dla mojego pokolenia. Głos zamierał, ulegał wynaturzeniu. Ileż takich przypadków oglądałem wokół! Łudziłem się, że wybrana strategia obroni mnie od niebezpieczeństw.

W nowej sytuacji przychodzi zastanowić się nad skutecznością obranej drogi. Słyszę coraz częściej rozbrzmiewający publicznie swobodny głos. Czy naprawdę? I czy na długo? Ciągłe pozostają strefy zakazane. A przede wszystkim trwa dziedzictwo minionych lat. Przejście od milczenia do rozmowy jest zabiegiem trudnym. Konieczna jest nowa taktyka, przemyślenie strategii. Rezultatem dawnej taktyki było milczenie o wielu sprawach, uciekanie się do masek historycznych. Niektóre problemy zyskiwały jednak na atrakcyjności. Aluzja budziła zaciekawienie, a prawdy oczywiste był prawdami żywymi, poszukiwanymi. Działalność edukacyjna miała specjalne uzasadnienie. Nie utraciła go, musi być inaczej ukierunkowana.

Mówić pełnym głosem? Nawet jeżeli uwarunkowania zewnętrzne uległy istotnej i trwałej zmianie, pozostają oczywiste uwarunkowania wewnętrzne, psychologiczne. Całkowita przejrzystość słowa jest nieosiągalna z powodów, nazwijmy je tak, egzystencjalnych: indywidualnych ograniczeń i zaślepień. A także z powodów metafizycznych: taki jest świat, taka natura człowie-

ka. Co innego jednak nie mówić z upragnioną platońską przejrzystością (czy nadal upragnioną?), zmagać się z własnymi ograniczeniami, a co innego mówić poniżej swojej wiedzy, pod przymusem zatając część dostępnej prawdy. Taka sytuacja niszczy tkankę kultury. Demoralizuje społeczeństwo. Została odrzucona przez elitę młodego pokolenia od kilku lat, przez robotników i przyniatającą większość społeczeństwa latem 1980 roku. Żyć w prawdzie, odrzucić kłamstwo, to jest istota Polskiego Odrodzenia, to jest źródło siły rewolucji polskiej, tajemna formuła jej sukcesu. Tajemna w tym sensie, że ciągle nie wiemy, jakie będą konsekwencje próby jawnego życia, konsekwencje narodowe (jak potoczy się los Polski i nie tylko Polski), konsekwencje społeczne (jaki model polityczny i ekonomiczny zrodzi się z eksperymentu), konsekwencje duchowe (jaka zostanie wytworzona wizja kultury), konsekwencje indywidualne (jakie wnioski z punktu widzenia mojej strategii życiowej powinienem wyciągnąć z ostatnich wydarzeń). Jedno jest pewne: sierpień stanowi wyzwanie dla każdego z nas.

NAPAD ŻÓŁCI

12 listopada 1981, New Haven

Zapodziałem się na parę godzin w czytelni czasopism. Pochłonął mnie dział polski. Odmawiam sobie tej problematycznej rozrywki. Przyjechałem do New Haven, aby czytać książki niedostępne w Polsce, amerykańskie, francuskie, włoskie, polskie. Nie gazety krajowe. Ich lektura wciąga, a potem zostawia z nagłym przyływem czarnego humoru, bądź z dręczącą potrzebą wzięcia prysznic, a nawet, w wypadkach poważniejszych, pójścia do sauny. Te brudy duszne trzeba z siebie wypocić. Przeczytałem kilka zdań z artykułu wstępnego w krakowskim tygodniku literackim. Redaktor przez 30 lat nie nauczył się elementarnej polszczyzny. Nadal jest redaktorem, zajmuje się polityką kulturalną, czyli zanieczyszcza nasze umysły. Osiągnął styl tak kuriozalny, że aż interesujący. Dla patologów polszczyzny. Dla badaczy rakopodobnej tkanki nowomowy. Nie dla mnie. Nie chcę. Nie życzę sobie. Jakim prawem wchodzi mi do głowy tu, po drugiej stronie oceanu, w jednej z najwspanialszych bibliotek świata?

Mogę przecież wybierać dowolne lektury. Jestem tu jak basza.

Wczoraj kuśiło mnie w Cross Campus znakomite dwujęzyczne wydanie dzieł wszystkich Paula Valéry. Od dawna chcę na dłużej zanurzyć się w jego eseje, dotknąć myśli precyzyjnej i poetyckiej zarazem. W dziale angielskim znalazłem antologię poezji metafizycznej. Przyjrząc się z fascynacją i niepokojem ich wyobraźni, zobaczę, jak splatają drżenia metafizyczne i zmysłowości słodkie drżenia. Sięgnę po oprawne w zielone płótno roczniki *Kultury*, po numery z lata 1963, z lata mojego pierwszego pobytu w Paryżu, gdy na spotkanie wyszli mi duchem Gombrowicz z *Dziennikiem transatlantyckim*, Miłosz z *Guciem zaczarowanym* w dłoni. Wat, leżąc na łóżku w starym mieszkaniu przy rue Bonaparte, daje mi *Ewokację* i *Klucz i hak*. Mogę sięgnąć po inne numery, zapisane w mojej wrażliwości i w rocznikach polskiej kultury, choćby ten z maja 1951 roku, gdy spotkał się pierwszy na tych stronach tekst Gombrowicza z pierwszym tekstem Miłosza, spotkała się żywa polska literatura. Mogę skierować się gdzie indziej, ku światowym plotkom, ku swawolnym powieściom, ku zapisom wielorakich dziwactw. Mogę sięgnąć po odnalezioną wreszcie antologię Grydzewskiego i przemyć sobie oczy *Zachwyceciem* Słowackiego:

*Bo mój Stworzyciel znalazł mnie na ziemi
I napadł w nocy ogniami złotemi...
Bo Pan, mówiący w objawieniu: „Jestem”,
Napadł mnie w ogniach z trzaskiem i szelestem.*

Przecież tu jest moja ojczyzna, nie w literackich i umysłowych aktach poddaństwa. A jednak brałem do ręki numery pism. Zgoda, obecnie lepszych niż dawniej. Czy nowa recepta — ćwierć prawdy, ćwierć kłamstwa, reszta pakuły — jest mniej szkodliwa? Trzeba by przeprowadzić wielce subtelne rozróżnienia. Wiem tyle, że poczułem jakąś lepką nieprzyzwoitość *Polityki* i warszawskiej *Kultury* (czy wszystkie tytuły muszą kraść Giedroyciowi?). Umieszczona z boku pochwała Słonimskiego. Ani słowa o roli pisma, które ten tekst zamieszcza, w marcowym pogromie kultury polskiej. Trudno mi o tym zapomnieć. Trudno zapomnieć o donosach na Gombrowicza, Wata, o paszkwilach na Wierzyńskiego. Przypadek kliniczny niezmienności w służbie zmiennemu kłamstwu to teksty Krzysztofa Toeplitza o Gombrowiczu. Będą kiedyś przerabiane na seminariach. Może powinno się o nich zapomnieć. Cóż, kiedy znów pamiętam.

Na Boże Narodzenie 1963 roku pogardliwy felieton-donos o twórczości tego, który ośmielił się przyjąć amerykańskie sty-

pendium do Berlina. Odtąd nie wolno było wymieniać nazwiska Gombrowicza, chyba że w krytycznym kontekście. Dokładnie dziesięć lat później, gdy nie można już było przemilczeć światowej sławy, ta sama osoba w tym samym miejscu napisała nowy felieton: Gombrowicz, owszem, wybitny, wydawać, jak najbardziej wydawać jego dzieła czysto literackie. Nie chce wpuścić pisarza do kraju jego wdowa i manewrujący nią Jerzy Giedroyc. Domagają się bowiem opublikowania, jak chciał autor w testamencie, najpierw *Dzienników*. To przecież dzieło antypaństwowe. W Polsce wydawcą jest państwo. Żaden wydawca nigdzie na świecie nie wydaje książek przeciw sobie. Nie wydawać. Minęły lata. Przyszedł sierpień i fala niezależnych publikacji. Znowu felieton tej samej osoby. Jako umysł wyższy załamuje ręce. Po październiku tyle było książek ciekawych, dotąd zakazanych. A teraz, po sierpniu, niezależne wydawnictwa mało mają rzeczy wartościowych do zaoferowania. Może jeszcze *Dzienniki* Gombrowicza wzbudziłyby zainteresowanie, ale trzeba było je wydać lata temu. Teraz już właściwie nie ma po co, zwietrzały.

Jedna i ta sama osoba. Osoba? Nie rozwodziłbym się nad indywidualną patologią. To nie osoba mówi, lecz pozycja w propagandzie ideologicznej. Słowa wypowiedziane z takiej pozycji mają za sobą władzę wykonawczą, unicestwiają pisarza. Dziwić się mojej obsesji suwerennego głosu, jeżeli dominującym głosem miały być takie popisy duchowego rabstwa. Stoi za nimi monopolistyczna władza partii, cenzura, celnicy, państwowe wydawnictwa. Obecnie także w sferze kultury monopol został, od niedawna i częściowo, przełamany. Istnieją niezależne wydawnictwa. Będą się rozwijać. Czy znaczy to, że wypowiedzi takie jak powyższe są tylko curiosami życia kulturalnego? Nie. Ciągłe jeszcze czynniki decydujące są decydujące. Ich niszczyielska rola jeszcze się nie skończyła. W przypiływie posierpniowego optymizmu zapominamy nieraz o tej roli.

Ledwie wczoraj słuchałem znakomitego odczytu Staszka Barańczaka o poezji Miłosza, podziwiałem jasność wyводу dotyczącego tak delikatnej materii. Zarazem przyglądałem się sytuacji: o wygnańcu, poecie skazanym na nieistnienie, mówi poeta z kraju, też przez władze skazany na nieistnienie, a już na pewno na fizyczne niezaisnienie na amerykańskim uniwersytecie. Gotyckie okna yale'owskiego drapacza przyglądały się wraz ze mną, jak ponad barierami pokoleń żywy nurt polskiej kultury odnajdował łożysko. Zamulające tomy makulatury szły w zapomnienie. Syzyfowe prace, znowu powracają te dwa słowa, od sierpnia pow-

tarzam je ze szczególnym natężeniem, choć już wcześniej natchodziły na mnie jako jedyne określenie toczących się przemian.

Wizyta papieża. I lata ateizacji, instytuty, profesorowie, tygodniki, miesięczniki, instruktorzy, urzędy, wydziały KC walczące z religią — nadaremnie. Miliony na krakowskich Błoniach, krzyż na warszawskim placu Zwycięstwa, tłumy idące kilometrami całą noc ku ołtarzowi na nowotarskim lotnisku. Syzyfowe prace. Sierpień. I lata indoktrynacji, tomy klasyków, przewrotna socjotechnika Lenina, propaganda lejąca się zewsząd, cenzura, policja uniemożliwiająca społeczną samoobronę — nadaremnie. Powstaje Solidarność, 10 milionów członków, z rodzinami, z Solidarnością Wiejską całe prawie społeczeństwo walczące przeciw rozbiciu międzyludzkiej tkanki, organizujące się w różnorodne, niezależne, samorządne instytucje. Syzyfowe prace. Nagroda Nobla dla Miłosza — najwyższe odznaczenie dostaje ten, którego nazywano zdrajcą; jego dzieła łapano na granicy, aresztowano po domach; ukazywały się artykuły, broszury o ideologicznej dywersji, o współpracy z ośrodkami obcych wywiadów; odbywały się procesy przeciw *Kulturträger*'om, nosicielom wolnego słowa, zapadały aż nazbyt realne wyroki. I kolejki stojące godzinami po tomik wierszy nieznanego dotąd poety. Snobizm? Co za głupie, zaślepione widzenie sprawy! Chęć przeczytania innej, prawdziwej, uczciwej polskiej książki. Wiara, że gdzieś takie książki istnieją.

A przecież nie całkiem syzyfowe prace. Wyroki były realne, niszczenie ludzi było realne. Prawdziwy głos nie mógł się wydobyć. Suwerenna kultura polska odnajduje swoje łożysko? Zapewne, ale jak wielkie były straty! Myślałem o tym po przeczytaniu wywiadu z Leopoldem Tyrmandem w *Tygodniku Powszechnym*. Nie jest to twórca mi najbliższy. Napisał jednak *Złego*, gdzie utrwalił zapach warszawskich ulic, brzmienie cwanickiej mowy warszawskiej. Napisał *Dziennik*, kolorowy i prawdziwy fragment życia z okresu zamierania kultury polskiej, z lat najbardziej ponurej sowietyzacji. Co mógłby jeszcze napisać?

„Nie wierzyłem i nie wierzę w pisanie do szuflady — mówi Tyrmand. — W Polsce nie mogłem pisać. Uniemożliwili mi to działacze kultury i zaangażowani literaci. Musiałem wyjechać, aby ratować się psychicznie. Czułem się zatrzęsnięty w klatce. Chciałem zaczerpnąć świeżego powietrza. Ale powieści mogę pisać tylko po polsku. I tylko w Polsce, bo interesuje mnie mowa ulicy. Nadal jestem polskim pisarzem. Żadnej powieści nigdy już nie napiszę. Wiem, sprzeczność. Tak potoczyły się moje losy”.

Warto pamiętać o dziełach nienapisanych, o zniszczonych twórcach, o słowach i myślach niewypowiedzianych, o sparalizowanym życiu duchowym. Ci, którzy w wydziałach, komitetach, redakcjach, wydawnictwach współtworząc „politykę kulturalną” niszczyli kulturę polską (myśląc nieraz, że ratują, że gdyby nie oni... a nieraz dbając jeno skromnie o trochę grosza), nie pracowali bez rezultatu. I o nich warto pamiętać. Tylko niewielu z nich wyraziło skruchę (im to się zazwyczaj wypomina przeszłość, zapominając o gorszych, o tych, którzy nie zmienili zdania). W Sterling Library natrafiłem na nieznanne mi dotąd popisy duchowego niewolnictwa, wyprodukowane przez osoby cieszące się opinią względnie przyzwoitych. Druk potrafi płamić. Zadrukowane stronicie trwają w najdziwniejszych miejscach. Nagle można je odnaleźć w dwudziestowiecznej amerykańskiej bibliotece o formie gotyckiej świątyni. Prowokują wówczas złe soki, ataki żółci.

DYSKUSJA O SOLIDARNOŚCI

13 listopada 1981, New Haven

Wczoraj przysłuchiwałem się w Business School dyskusji o sytuacji w Polsce. Sala pełna studentów. Przedstawiciele trzech dyscyplin — Robert Dahl, profesor nauk politycznych, David Montgomery, profesor historii i Janek Gross, profesor socjologii — przyjęli za punkt wyjścia swoich rozważań pięć podstawowych pytań. Tak czy inaczej postawione, w tej czy innej ilości i kolejności, powracają stale. Wciąż się na nie natykam. Teraz, w czasie amerykańskiej podróży, i w Polsce. Stawiam je sam sobie w nagłych chwilach zachwycenia: spełniło się. I w chwilach zamroczenia potokiem kłamstw w prasie i w telewizji, groźbami wewnętrznymi i zewnętrznymi: nie zmieniają się nigdy. Po pierwsze, dzięki czemu Solidarność mogła się w ogóle pojawić? Po drugie, czym jest Solidarność, wiadomo przecież, że nie jest normalnym związkiem zawodowym — podobnej instytucji nie ma oczywiście na Wschodzie, nie ma też na Zachodzie. Po trzecie, jakie jest miejsce Solidarności w strukturze instytucji państwowych — miejsce postulowane przez nią, przez władzę i przez sytuację? Po czwarte, gdzie tkwi największe zagrożenie Solidarności? Po piąte, jakie jest znaczenie polskich wydarzeń dla świata — dla innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej, dla

Związku Sowieckiego, dla krajów Zachodu, dla państw Trzeciego Świata?

Stawiamy sobie te pytania od sierpnia. Co się właściwie stało? Dzięki czemu się stało? — Może również dzięki temu, że nikt nie wie, co stanie się dalej. Odpowiedzi w Business School padały mgliste, bo i wydarzenia polskie są czymś bez precedensu, nowym etapem historycznym, pojawieniem się historii na obszarze, gdzie, jak się wydawało, historia zamarła. Coś się tam działo na szczytach niedosiężnej, obcej władzy, lecz społeczeństwo było ubezwłasnowolnione, skute skorupą lodową: nic się nie zmieni. Działał precyzyjny mechanizm niszczenia międzyludzkich więzi. Niezawisłe siły społeczne nie mogły się wykrystalizować. I nagle zmieniło się wiele. Czy rzeczywiście? Czy na trwałe?

Czasem szepcze do mnie mroczny sufler (jakbym już gdzieś widział te oczy, słyszał głos): „Skąd wiesz właściwie, że powrót starego despotyzmu jest niemożliwy? Zgoda, nadwerężono filary totalnej władzy: monopol informacji, organizacji. Czy jednak władza wykonawcza (jak oni to mówią? — w ostatecznej instancji) nie tkwi całkowicie w rękach tego samego ośrodka, który w Polsce nawet w najczarniejszych czasach nie był wszechwładny, ale jest dzisiaj i pozostanie jutro wystarczająco silny, aby narzucić własną wolę, sparaliżować swobodne życie społeczne? Niemożliwe jest utrwalenie wolności bez odbudowy zniszczonych fundamentów: rynku, pieniądza, kanałów informacji i produkcji, wartości. Jesteśmy gdzieś między Azją sprzed trzech tysięcy lat a upiorną Euroazją, Trzecim Rzymem trzeciego tysiąclecia. Oderwaliśmy się od Europy — szepcze dalej mój mroczny sufler. — Należymy już do innej cywilizacji. Owszem, pozostały więzi religijne, duchowe, ale to jest umysłowe bogactwo materialnych nędzarzy. Czytałeś Kisiela, którego o sympatię do Lewiatana posądzać nie można. Powtarza nawet on: żyjemy w innym świecie. Demokracja i dobrobyt materialny były zawsze zjawiskiem wyjątkowym. Demokracja wolnościowa, oparta na podziale i równowadze władz, na rządach prawa, wymaga długiego przygotowania. Wolności uczyć się można skutecznie w cieniu wolnych instytucji. Swobody polityczne są wynikiem złożonego kompromisu, zakładają rozbudzoną i utrwaloną kulturę polityczną. Łatwo je zniszczyć. Ich odbudowa, jeśli w ogóle nastąpi, wymaga wielu, wielu lat. I sprzyjających warunków. W Polsce postępowanie władz od sierpnia 1980 nie stworzyło takich warunków. A zresztą rewolucje pożerają swoje dzieci, bunty niszczą się same, gdy nie mogą być zniszczone z zewnątrz”.

„— Nie mogą? Skąd ta pewność? — Wtrąca się we własne wywody mroczny sufler, twarz mu się przemienia, wąs gruziński nie wałęsowski stroszy, pierś osetyńską wydyma, pyka sobie z fajeczki, jak to z dzieciństwa pamiętam. — Sparafrazujemy — mówi — lorda Actona: żadna władza nie chce się ograniczać, władza totalna nie chce tego totalnie. Nie po to ścisiałem prawicę Ribbentropa na Kremlu, nie po to uśmiechałem się do Churchilla i Roosevelta w Jałcie, nie po to rozlewałem krew moich żołnierzy, nie po to miliony marły z głodu, maszerowały do obozów, aby nagle w jednym małym kraju, przecież połkniętym już dawno, rozgrywał się poniżający dla naszych ambicji spektakl. Zachowywaliśmy pozory, pozory były nam potrzebne, ale teraz koniec, im dalej hardzi Polacy się posuną, tym epilog będzie brutalniejszy. Połkniemy, strawimy, zmienimy się sami, wrócimy do starych, sprawdzonych metod i u nas, byle przyszłość Imperium uratować”. Znów pyknięcie z fajeczki. Twarz jakby zatarta. Może przyjąć rysy obecnego przywódcy, a jeżeli okaże się on, jak jego poprzednik, chwiejny, pojawi się nowa twarz, to obojętne. Tylko intensywność spojrzenia i siła woli zostaną niezmienione.

Strachy na Lachy. Przychodzą. Szepczą. Szepczemy. Nasłuchujemy nocą, czy zbliża się warkot czołgów. Budzimy się przeżeniami konkretnością snów. Nie wierzę im. Są przecież. Jak mroczny cień towarzyszą naszym nocom i dniom od kilkunastu miesięcy. Chciałem ten cień zgubić w Ameryce. Niech mi nie przeszkadza w oglądaniu nowego świata. Tylu Polakom przesłaniał jasność widzenia. W Stanach mam co innego do roboty. Niech mi nie psuje podróży. To niemożliwe. Nachodzi mnie także tu, pod obcym niebem. Może nawet łatwiej niż w Polsce. Odległość, niepewność, brak informacji, przerażony ton prasy. W Bozeman, małej miejscinie, widzę po raz pierwszy wielkie niebo Montany. Szarobrązowe wzgórza przynoszą radość i uspokojenie. I nagle wiadomość w telewizji: nowe groźby z Kremla. Żłota Zatoka nad Pacyfikiem okazuje się szafirowa w zielonej oprawie, przecina ją delikatna nitka mostu. Łagodna arabeska wybrzeża, strome uliczki San Francisco. I nagle w kupionej na lotnisku gazecie wiadomość o rozwiązaniu KOR-u. Bezradny jestem także w Polsce, choć w oku cyklonu panuje dziwny spokój. Jedyna zresztą słuszna postawa. Byłe pamiętać jednocześnie o zagrożeniach. Wówczas można stworzyć najwięcej faktów dokonanych. One przede wszystkim zaważą na dalszym rozwoju wypadków.

BOSTON W DESZCZU

14 listopada 1981, Boston

Nadarzyła się okazja, wyjazd na trzy dni. Jechałem teraz szosą, którą miesiąc temu oglądałem z samolotu. Parada klonów. Wówczas konkurs wrażliwości plastycznej: które drzewo wykona bardziej efektowną wariację na temat złota i czerwieni. Teraz bezlistne gałęzie układają się w delikatne pajęczyny szarych patyków. Krajobraz nie do poznania. Boston także odmieniony. Dzień stał się szary. Hancock Tower leniwa. Ukazała się przez chwilę z odległości jako zwykła budowla. Nie chciała zwalić nieba na swe ściany, odbić go i naśladować dla mnie Słowackiego z *Rozłączenia*. Nie to nie. Jeszcze da się namówić.

Błądziliśmy trochę i wreszcie znaleźliśmy drogę do Steward Gardner Museum. Obrazy przynajmniej nie uległy zmianie. Były te same. Te same z gromady anonimów zgłaszały się do mnie. A jednak nie całkiem te same. Na schodach zaskoczyła mnie młoda kobieta. Ona spod pędzla Tintoretta? Odesłałbym jej dworską wyniosłość do Van Dycka. Tylko krajobraz za oknem sugerował wenecką wrażliwość. *Autoportret* Rembrandta znów przyciągnął uwagę. Wyszukana gra złota i zieleni. Chłód młodzieńczego spojrzenia. Delikatna zmysłowość puszystoaksamitnej materii. Widziałem obraz i całą salę trochę inaczej. *Krajobraz z obeliskiem* Rembrandta nie chciał się ułożyć w całość, szukałem w nim Samarytanina, szukałem, nadaremnie, odbłasków krakowskiego dzieła. Vermeer uderzył przede wszystkim intensywną bielą kartek leżących na stole i spokojną tonacją obrazów w obrazie.

Jeżeli chciałbym dokładnie opisać, czym są dla mnie te dzieła, jaką spełniają rolę, musiałbym konfrontować rozrzucone w czasie reakcje, śledzić różnice i wyciągać — skąd? jak? — wnioski. Przecież nie pamiętam szczegółowych reakcji sprzed miesiąca. I nie za wszystko biorę odpowiedzialność. Jesteśmy — różni rozrzućeni w czasie, przez przestrzeń rozmaicie formowani — spółką z ograniczoną odpowiedzialnością. Czasem tylko i z drżeniem w sercu: *yes, sir*. Prawie zawsze: *up to a point*. Czy dlatego malarstwo sprawia mi wciąż nową satysfakcję, że poprzednie wrażenia pamiętam niewyraźnie? Podobnie z poezją. Czytam ją codziennie. Niektóre wiersze chyba setki razy. A przecież żadnego nie znam na pamięć. Czyżbym odczytywał w nich cudowne przybliżenia niedosiężnej esencji? Czy tym tłumaczy się marzenie o podróżach i obawa przed podróżami, imaginacyjne

wędrówki po obcych widokach, twarzach, sytuacjach, dziełach? Mój platonizm? Czy raczej próba wyrwania się z platońskiej jaskini, zobaczenia, choćby przez chwilę, wysokiego nieba i trzających się przy wiosłach robotników? Nie, *Kobietę bez cienia* już oglądałem, nie chcę jej odgrywać, lecz towarzyszyła mi na nowoangielskiej autostradzie, na ulicach pochmurnego Bostonu.

W Chicago nie udało mi się zawrzeć znajomości z Aleksandrem Wielkim. Spóźniłem się dosłownie o dzień. Zamknięto już szeroko reklamowaną wystawę. Jej organizatorzy mieli nadzieję, że powtórzą sukces Tutenkhamona. Przez sale przewinęły się wówczas dziesiątki milionów widzów, setki milionów wpłynęły do kas. Zawczasu toczyły się boje o to, do jakich miast zawita ekspozycja i związane z nią wielkie pieniądze. Wśród wybranych znalazł się Boston. Chciałem i ja się znaleźć. Nie było to łatwe. Metro w niedzielę nie dojeżdża do muzeum. Trzeba się przesiąść w autobus. Czekaliśmy z Basią na przystanku w nasilającym się deszczu. Ulicą przebiegali coraz to nowi uczestnicy maratonu. Jakaś tutejsza impreza. W związku z nią policja wstrzymała ruch. Wreszcie autobus nadjechał.

Na wystawie tłok obojętnych twarzy i eksponatów. Przechodziłem z sali do sali w daremnym poszukiwaniu Aleksandra. Kilka razy zdołałem go dostrzec. W chwilę potem rozplywał się w muzealnej szarości. Twarz z lekko obfłuczonym nosem i uszkodzonym podbródkiem. Włosy krótko obcięte. Duże, blisko osadzone oczy. Intensywne spojrzenie. Piękny. To chyba też jego widziałem (moje o nim marzenie) na brązowym kraterze z Derveni. Rytmiczny pochód roztańczonych postaci, szalona scena ujęta w klasycznie doskonałą kompozycję, jakby Ghiberti rzeźbił bachanalie. Dionizos, nagi, opiera nogę na udzie półrozebranej Ariadny. Nad nimi piękne postaci, przypominające efebów z Sykstyń, towarzyszą ze zrozumieniem swawolom mitologii. Zdążyliśmy tylko przebiec przez stałą ekspozycję Museum of Fine Arts. Pokazałem Basi niezwykły portret El Greca, *Starca pogrążonego w modlitwie* Rembrandta, kilku impresjonistów i vermeerowsko intensywnego Hoppera. Spieszyliśmy się do Staszków. Miłosz miał przyjść o czwartej.

Następnego dnia nadal potoki deszczu. Trudno się było poruszać. Nie zobaczyliśmy ani wspaniałego widoku z Hancock Tower, ani campusu harvardzkiego, ani patriarchalnych siedzib na Beacon Hill. Przeszliśmy, wśród strumieni wody, kawałkiem Ścieżki Wolności. W środku Bostonu zachowały się budynki związane z rewolucją amerykańską. W tym kościele wzywano

do buntu przeciw angielskiej tyranii, o kilkanaście metrów dalej zebrano się, aby uchwalić swobodne prawa. Przeszłość żyje. Wymiar historyczny często wydaje się w Stanach niedosiężny. Miasta zbudowano jakby wczoraj, dziś się rozrastają, jutro zostaną całkowicie przebudowane. Młodzież ma trudności z wyobrażeniem sobie odmiennych czasów. Mało kto uczy się z dawniejszych doświadczeń. Taka postawa ma również dobre strony. Historia nie ciąży na współczesnych. Działają z większą swobodą. W Stanach brak łatyńskiego rozleniwienia. Nie tylko w klimacie należy szukać przyczyn. Zmiany są możliwe, więc warto je podejmować. Teraźniejszość nie jest wieczna. Przyszłość może okazać się lepsza.

W Stanach istnieją oazy intensywnej świadomości historycznej. Należy do nich Ścieżka Wolności wpisana w nowoczesną architekturę śródmieścia. Nie tylko nowoczesną. Zachowały się różne warstwy miasta, zapisy zmiennych gustów, pragnień, możliwości technicznych. W kościele o wysmukłej wieży rzucono w drugiej połowie XVIII wieku fundamentalne hasło demokracji wolnościowej: odmówimy płacenia podatków, jeżeli nie uzyskamy przedstawicielstwa w parlamencie. Naprzeciw księgarnia, intelektualne centrum Ameryki w połowie zeszłego wieku. Z tyłu dwie kurtyny budynków. Jeden pyszniący się technicznymi możliwościami sprzed sześćdziesięciu lat, rytmiczną, złożoną kompozycją balkonów, karniszów. Drugi wznosi się nad niegdyśszym olbrzymem, przerasta go wysokością, ascetyczną prostotą. Mierzy w dwudziesty pierwszy wiek.

POLSKIE ROZMYŚLANIA W AMERYKAŃSKIEJ BIBLIOTECE

17 listopada 1981, New Haven

Czytałem dzisiaj w Sterling Library piąty tom *Armii Krajowej w dokumentach* wydany w 1981 roku przez Studium Polski Podziemnej w Londynie. Obejmuje okres od października 1944 do lipca 1945, od upadku powstania warszawskiego do cofnięcia uznania Rządowi RP przez mocarstwa zachodnie. Obiecywałem sobie wiele razy, że nie będę wracał do tego czasu klęsk i beznadziejności. Co można było zrobić? Czy cokolwiek? Decydowano o nas bez nas i przeciw nam. Historia aż monotonna. Po każdym kroku czynionym przez Stalina i aprobowanym mniej lub

bardziej chętnie przez Zachód wydawało się Polakom, że gorzej być nie może. Stalin wkrótce rozwiewał niepewność. Może być gorzej. Czyń! następny krok.

Pasmo polskich klęsk jako nagroda za opór, za jedność, za wierność. W pierwszej wojnie Polacy byli śmiertelnie skłóceni. Konflikt orientacji trwał później przez długie lata. Wyszliśmy z walk z odzyskaną niepodległością. W czasie drugiej wojny stworzyliśmy Państwo Podziemne. Armia Krajowa cieszyła się czynnym poparciem większości społeczeństwa. Epilogiem były ruiny Warszawy, proces przywódców Polski Podziemnej w Moskwie, wywózki akowców do Rosji, więzienia, oficjalna anatema trwająca dziesiątki lat, zniesiona dopiero obecnie, w ostatnich miesiącach, pod presją społeczną.

Rozmowy Mikołajczyka z Churchilllem i Stalinem w październiku 1944 roku. Powstanie Warszawskie już upadło. Pochłonęło setki tysięcy ofiar. Armia Czerwona czekała na wypalenie się miasta po drugiej stronie Wisły. Stalin gra Mikołajczykiem jak pionkiem, gorzej, jak służącym. Żąda prawie połowy terytorium. Domaga się zmiany ustroju. Jeszcze nie na komunistyczny (tego nie mamy w planie, zapewnia Stalin), lecz na rodzaj protektoratu. O składzie polskich władz najwyższych zamierza decydować władca Rosji. Epilogiem wojny, rozpoczętej w imię obrony Polski, było cofnięcie przez zachodnich aliantów uznania rządowi polskiemu w sojuszniczym Londynie i porwanie szesnastu przywódców polskiego podziemia do Moskwy. Zdjęcia z ich procesu są końcowym zapisem losów Armii Krajowej, największej organizacji podziemnej w czasie drugiej wojny. Kiedyś te zdjęcia będą w szkolnych podręcznikach naszej historii. Kiedy?

Trafiłem do półek poświęconych polskim dziejom najnowszym, bo szukałem londyńskiego wydania *Na nieludzkiej ziemi* Czapkiego. Spędziłem kilka godzin szperając wśród książek. Towarzyszyły mi dwie myśli, nachodzą mnie od dawna, ucieleśniły się na półkach amerykańskiej biblioteki. Uprzytomniłem sobie, po pierwsze, że najnowsza historia Polski nie została dotąd odkłamana i w najbliższym czasie nie będzie. Jej fałszowaniu poświęcono lata wysiłku, tony papieru. Wpadły mi w ręce jakieś żałosne broszury propagandowe, o których istnieniu nie wiedziałem. Jakieś prace naukowe ćwierć, pół bądź trzy czwarte prawdziwe — czyli zafałszowane. Nie tylko narzucono społeczeństwu fałszywy obraz przeszłości. Uniemożliwiono pojawienie się dokumentacji całych jej obszarów. Świadkowie zostali zastraszeni, otumanieni, umarli milcząc bądź zostawiając zapis półprawd.

Orwellowskie Ministerstwa działały i nadal działają, choć na zwolnionych obrotach. Państwowe wydawnictwa wciąż stanowią barierę dla książek nieortodoksyjnych. Gdybyśmy mieli zdać się na obietnice odnowy oficjalnych instytucji, moglibyśmy czekać lata. Jak czekamy na *Historię Polski* Stanisława Cata-Mackiewicza, na Pobóg-Malinowskiego, na pamiętniki Andersa, Bora-Komorowskiego, na podstawowe książki o dziejach najnowszych. Przecież wydawnictwami kierują ci sami co dawniej ludzie. Decyzje podejmowane teraz będą realizowane za dwa lata. Nikt nie chce brać ryzyka. Dlatego niezbędne są niezależne wydawnictwa. Z radością usłyszałem o planach rozbudowy Nowej. Z radością przeczytałem w ostatnim numerze *Kultury* o umowie między Instytutem Literackim a Nową. Dwie instytucje zasłużone w obronie polskiej kultury. Bez nich byłibyśmy całkowicie w rękach twórców polityki kulturalnej. Ministerstwo Prawdy bez przeszkód zmieniałoby oblicze przeszłości i teraźniejszości.

Niezależne wydawnictwa wskazały właściwą drogę. Wzięcie przez społeczeństwo we własne ręce życia kraju, choćby jakiejś jego części. Samodzielne ratowanie zagrożonej kultury. Samodzielna odbudowa zniszczonej gospodarki. Tworzenie autonomicznych zrzeszeń. Postulaty elementarne i zarazem niezwykle trudne. Wciąż działa oficjalny mechanizm niszczenia wszystkiego, co wymyka się kontroli. Wciąż wysokie miejsca w publicznej hierarchii zajmują ludzie, których podstawową kwalifikacją jest wierne wykonywanie politycznej, ekonomicznej, duchowej *urawniłowki*. Ci ludzie będą bronić uprzywilejowanych pozycji. Bronić ich będzie także skomplikowany mechanizm zagłuszania kultury i życia, działający od wielu lat, trudny do zatrzymania.

Zafałszowane książki wyśmiewały się ze mnie na długich półkach yale'owskiej biblioteki: „Widzisz, dotarliśmy tu przed tobą. Zostaniemy po twoim wyjeździe z tego kontynentu i z tego świata. Byliśmy, jesteście, będziemy. Zostaniemy tutaj, gdzie tak ci się podoba. Nie świadectwo zakłamania, lecz naszej prawdy. Uparcie będziemy czekać, aż ktoś weźmie nas w ręce. Nie przekonamy go całkowicie? Wystarczy, że wejdziemy do jego umysłu, zajmiemy mu czas. To nasz triumf. Jesteśmy. Nie denerwuj się, nic nie pomoże. Będziemy. Banalna prawda? Wiesz, że zło bywa banalne. Będziemy”. Na szczęście triumf obecnie zachwiany. Czy godzina prawdy potrwa długo?

Historia, przemieniona i zafałszowana, zostaje przywrócona społecznej świadomości. Odżywa na kartach niezależnych czasopism, w książkach wydrukowanych przez niezależne wydawnic-

twa. Dawki prawdy są jeszcze małe, śmiesznie małe w stosunku do potrzeb. Zauważyłem jednak, że publikacje nieoficjalne czytane są ze szczególną intensywnością. To im się wierzy. Wydawnictwa cenzurowane traktowane są sceptycznie. Istnienie niezależnego obiegu powoduje, że prasa kontrolowana staje się mniej kontrolowana, zamieszcza rewelacje z przeszłości, ciągle jeszcze pisane ezopowym językiem, ale jednak... Nawet w oficjalne dekoracje wdziera się historyczna prawda. W *Trybunie Ludu* (leży tu spokojnie obok *Le Monde*, *Times*, *Corriere della Sera*) przeczytałem wiadomość o obchodach przez władze 11 listopada, rocznicy niepodległości. Krótka wiadomość, bez szerszych komentarzy, jakby takie uroczystości odbywały się co roku. To sierpień zmusił do uznania tej daty. Nie można było inaczej. Wpływy Ministerstwa Prawdy trochę się zmniejszyły. Oby na stałe.

Wśród półek Sterling Library uświadomiłem sobie, po drugie, że w Polsce nie mam dostępu do potrzebnych mi polskich książek. Niektóre z nich mogę swobodnie czytać tylko na Zachodzie. A przecież należę do uprzywilejowanych w tym względzie. Zawsze interesowałem się wydawnictwami emigracyjnymi. Zdobywałem je od przyjaciół. Zbierałem podczas podróży. Czytałem wszystko, czego zdołałem dopaść. Były to często lektury pośpieszne, bez możliwości powrotu. A inni? Nie mieli żadnego dostępu. Nie wiedzieli o istnieniu książek, bądź nie czuli potrzeby interesowania się nimi. Całe pokolenie, kilka pokoleń bez znajomości ojczystej literatury i historii. Kiedy Miłosz otrzymał nagrodę Nobla, przygniatająca większość ludzi wykształconych dowiedziała się po raz pierwszy o istnieniu takiego pisarza.

Teraz odrabia się zaległości. Powoli. Z jakimi oporami. Ciągle jeszcze, od ilu lat, oficjalne wydawnictwa nie mogą się zdecydować na wydanie *Dzienników* Gombrowicza. Lęk budzi kilka zdań nie tyle nawet wrogich wobec oficjalnej propagandy, co swobodnie, po pańsku traktujących jej duchową miałkość, witających dziejowe determinizmy odważnym śmiechem. Kto ma wątpliwości co do potrzeby istnienia niezależnych wydawnictw, powinien pamiętać o przypadku Gombrowicza. Dopóki oficjalni wydawcy nie dostaną wyraźnych instrukcji z Wydziału, nie odważą się zrobić oczywistego i niezbędnego kroku. A Wydział też się boi. Tylko zdrowa konkurencja może pomóc. Jeżeli będziesz zatajał prawdę, inni ją odślonią. Znowu wyjdiesz na kłamcę, a tak chciałeś, aby zapomniano o twojej przeszłości. Jeżeli nie wydasz tej książki, inni ją wydadzą. Spotka się z większym zainteresowaniem.

Korzystam ze swobody. Grasuję po półkach. Znoszę łupy do swojej dziupli. Obok esejów Montherlanta stoją *Drogi cichociemnych*, obok przewodnika po amerykańskich parkach narodowych *Bez ostatniego rozdziału* generała Andersa, *Widzenia nad Zatoką San Francisco* i *Book of Mormon*, *Dziennik* hrabiego Kesslera, *Biała księga* Sukiennickiego, angielskie studia o Nabokowie, francuska i włoska monografia Gombrowicza. Nikt mnie nie poucza, co jest odpowiednią lekturą. Nie muszę się usprawiedliwiać, po co potrzebne mi są książki wydawane w Paryżu bądź gdzie indziej. Nie muszę owijać książek w gazetę. Gdyby tak mogło być w Warszawie! Gdyby młodzież na polskich uczelniach miała dostęp choćby tylko do zgromadzonych tu polskich publikacji!

Po sierpniu wiele się zmieniło. Wolno wymieniać zakazane nazwiska, wolno dotykać niektórych nietykalnych przedtem tematów. Cenzura jednak nie zniknęła. Nadal istnieje księga zapisów, *Kultura* ogłosiła niedawno listę nowych zakazów. Żle widziane nazwiska pojawiają się w pismach *Solidarności*, nawet w publikacjach naukowych czy w miesięcznikach, ale nie w popularnych dziennikach czy tygodnikach o wielkich nakładach, a już na pewno nie w telewizji. Wydawnictwa Instytutu Literackiego, bez których znajomość współczesnej kultury polskiej pozostaje kaleka, ulegają konfiskacie. Trzeba było politycznego trzęsienia ziemi i miesięcy nacisku, aby otworzył się dostęp do prohibitów w bibliotekach uniwersyteckich. Wiele bibliotek nie może niczego otworzyć, bo nie posiada ważnych polskich książek. Obecnie wszyscy poszukują wydań Miłosza. Do niedawna ulegały konfiskacie. Gdzie były trzymane? I są nadal. Jeden z moich Miłoszy miał posłużyć do niezależnego wydania. Padł ofiarą rewizji. Cudowne rozmnożenie nie udało się, nastąpiło wkrótce potem z innego egzemplarza. Ale mojego Miłosza wsadzono. U Jakuba w mieszkaniu aresztowano aż pięciu Miłoszów. Siedzą już trzy lata. Po nagrodzie Nobla pisałem o amnestii z tej okazji dla moich Miłoszów i nie tylko moich. Wysyłałem listy do prokuratury, do *Polityki*, do ministra Spraw Wewnętrznych. Bez odpowiedzi.

A przecież nie tylko Miłosz siedzi. I nie tylko w państwowych kazamatach. Sam nie jestem bez winy, choć prawdziwą winowajczynią jest jak zawsze ona, Historia. Przez lata przechowywałem wielu wybitnych polskich pisarzy w zaprzyjaźnionym tapczanie. Dzięki temu ocaleli w 1968 roku. Teraz ukrywam ich przed natrętnymi wielbicielami. Pożyczają i znów jestem bez potrzebnych mi książek.

GALERIA SZTUKI

19 listopada 1981, New Haven

Chciałem raz jeszcze zanurzyć się w świat kapryśków Goyi. Niektóre wystawy dojrzewają długo. Wracam na nie wyobraźnią. Nagle pojawiają się przed oczyma. Przemienione na mój użytek, stają się częścią mojego świata, mojego języka. Okazało się, że Goyę już zamknięto (a ten za co znowu siedzi?). Teraz jestem w jego mocy. Jakim ulegnie przemianom? Mógłbym skonfrontować wspomnienia z reprodukcjami, ale nie chcę być pedantem. Obejrzałem stałą ekspozycję Yale University Art Gallery. Zapomniałem, że jest tak ciekawa. Nie ma tu słynnych arcydzieł, którymi pyszną się wielkie muzea, Luwr, National Gallery, Drezno, Wiedeń. Można zobaczyć dzieła wybitne, można zorientować się w historii sztuki włoskiej, flamandzkiej, francuskiej. Zwłaszcza wczesne malarstwo włoskie jest znakomicie reprezentowane. Galeria zdobyła te dzieła właściwie przypadkiem. Jądro zbiorów to kolekcja Jamesa Jacksona Jarvesa. Postać barwna. Podróżnik, awanturnik. Jako jeden z pierwszych zwiedzał Hawaje i zajmował się ich historią. Spędził dziesięć lat we Włoszech, głównie we Florencji. Zainteresował się malarstwem „prymitywów”, wczesną sztuką renesansową, zupełnie wówczas pogardzaną. Kosztowały go te zbiory 60 tysięcy dolarów. Chciał je później za jedną trzecią tej sumy sprzedać bostońskiemu Ateneum, muzeum odmówiło. Również Nowy Jork nie przyjął propozycji. Jarves pożyczyl pod zastaw swojej kolekcji pieniądze od Yale. Obrazy poszły na licytację. Nikt nie chciał ich kupić. Uniwersytet wszedł w ich posiadanie za nominalną cenę. Zrobił, nie wiedząc wówczas o tym, jeden z najlepszych interesów w dziejach handlu sztuką.

Ozdobą zbiorów jest *Herkules i Dejanira* Antonia Polaiuolo, *Święty Antoni* Sassetty, obrazy Botticellego, Narda di Cione, Paula Veneziano. Młodzieńcze, zatarte przez czas, lecz wciąż uderzające świetnością kolorytu dzieło Tycjana *Obrzezanie*, całe jeszcze skąpane w atmosferze Giorgiona. *Ukrzyżowanie* Cranacha: wszystko, co w nim najlepsze, świetność, śmiałość rysunku, precyzja koloru, i co mnie odpycha od każdego prawie Cranacha z wyjątkiem muśniętych przezroczystym woalem Wenus, przykry, pokręcony, nachalny germański realizm, brak dystansu i uśmiechu, przy całej maestrii toporność. *Kupiec* Holbeina uderza metaliczną czystością i precyzją linii. Zawsze jednak coś oddziela — we mnie? — jego portrety, technicznie olśniewające, od

moich arcydzieł, od sztuki niderlandzkiej o poetyckim realizmie, nadrealizmie, od Rogiera van der Weydena czy Vermeera, i od sztuki włoskiej o poetyckiej zmysłowości, nadzmysłowości, od Duccia czy Tintoretta.

Mater Dolorosa Joosa van Cleve mieści się na przecięciu północnej precyzji i południowej miękkości. Włoski wykrój ust i flamandzko rzeźbione oczy, twarda biel chusty na głowie jak z kobiecych portretów Rogiera van der Weyden i błękit sukni jak ze *Zwiastowania* Antonella da Messina. Mała przypowieść Boscha *Alegoria nieumiarkowania*. Dopóki nie widziałem jego obrazów, podziwiałem wyobraźnię, nie miałem pojęcia o subtelności kolorów, o wyrafinowaniu plastycznym. Jakie miał sny autor takich wizji? I dlaczego dzieło tak trudne, tak wyszukane, różne od wszystkiego co było wcześniej i później, zmysłowe i szalone, zamknięte w kręgu własnych fantasmagorii, spotkało się z entuzjazmem współczesnych? Był przecież ulubionym malarzem arcykatolickiego króla, który bał się własnego ciała, lecz nie bał się *Ogrodu rozkoszy* i *Kuszenia Świętego Antoniego*.

Dwa portrety Halsa. Śmiałe pociągnięcia pędzlem zapowiadająomalże impresjonistyczną fakturę jego ostatnich dzieł, starczych, a przecież młodzieńczo swobodnych obrazów z Haarlemu. Już w tych portretach można rozpoznać w Halsie poprzednika Maneta. Jak u impresjonistów sprawność techniki i pewność chwytu, zawsze działającego, ale bliskiego monotonii. Brak mi tej nieuchwytniej w słowa perspektywy, tego dystansu i współczującego rozumienia, które wyczuwam w portretach, zwłaszcza autoportretach, Rembrandta.

Naprzeciw siebie dwa Rubensy. *Portret mężczyzny* doskonale sprawny, wyrazisty, z nieomylnie rubensowskim rozświetleniem oczu i mięsistą jaskrawością ust. Po drugiej stronie sali *Hero i Leander*, dziwnie mroczny, bliski cieniom i nagłym błyskom Tintoretta. Kłębowisko nagich ciał, dramatyczność zawiła, lecz podporządkowana wizji.

Współczesna wrażliwość oddaliła się od Rubensa. Uczuła na jego banał. Utrudnia zrozumienie jego sztuki. Musiałem przebyć daleką drogę, aby zobaczyć wielkość tego artysty. Na początku tylko wyjątkowym jego dziełom przyglądałem się z podziwem. W wiedeńskim Kunsthistorisches Museum zapamiętałem kontrastową cielistość *Kobiety w futrze* i rubinowe krople krwi *Głowy Meduzy*. Od słoniowatych scen ołtarzowych i dworskich bił chłód. Dopiero podczas jednej z podróży muzea ułożyły się tak, aby stopniowo otworzyć mi oczy. Stopniowo dostrzegałem

mistrza. W Monachium *Sąd Ostateczny* przygniatał ogromem, lecz *Porwanie córek Leucippusa* uderzało harmonią kompozycji i barw. Wirowanie tysięcy linii i płam oślepia. Czasem, już to rozumiałem, olśniewa. Śmiałość kolorów, bogactwo form, gwałtowność życia wylewającego się poza nakreślone ramy, widzenie odmienne od mojego, potężne, zmuszające do wysiłku, do przyjęcia tego, czego dotąd przyjąć nie chciałem czy nie potrafiłem. Zrozumiałem to w Brukseli patrząc na *Kalwarię* i wspaniałe szkice do ogromnych dzieł, nieraz śmielsze i lepsze od ostatecznych wersji.

Zrozumiałem to przede wszystkim w Antwerpii, stolicy Rubensa. Już się nie sprzeciwiałem. Nie mogłem. Zostałem podbity. *Pokłon trzech króli* — nagły najazd egzotycznych barw, wyzywająca sprawność młodzieńczej ręki, odkrywczosc kompozycji, śmiały rytm wielbłądzych głów i czerwona plama wdzierająca się w środek obrazu. Wielkość płócien, ich barokowa ekspresja już nie odpychały. *Przebiecie włócznie* każe zapomnieć o krzyku. Zamarły gest trafia w widza. Teatralne sceny ołtarzowe zwycięskiej kontrreformacji przedstawiają prawdziwą grę odczuć i pragnień. Najpełniejszego, najbujniejszego, najpiękniejszego Rubensa znaleźć można w antwerpskiej katedrze. Ukośna linia *Wznoszenia krzyża*, blask ciała i ciemna intensywność form, oraz wspaniała spirala *Zdjęcia z krzyża*, omdlałość ciała, kontrast barw, mnogość postaci, a każda potrubna, wszystko to kazało mi ostatecznie uznać, że w sztuce Rubensa tkwi wielkość trudno mi dostępna, choć fascynująca.

YALE CENTER FOR BRITISH ART

20 listopada 1981, New Haven

Budynek doskonale nowoczesny, współgranie drewna i betonu. Świetnie dopasowany do funkcji muzeum. Sam gmach stanowi pomnik współczesnej architektury amerykańskiej. Odkrywczy układ sześcianów, walców, wielkie, prześwietlone sale i używane dzięki zastosowaniu przenośnych ścian zindywidualizowane intymne przestronie. Z trzech elementów architektury — konstrukcja, funkcja, estetyka — obecnie zwycięża konstrukcja kosztem estetyki. Oschłość i monotonia współczesnego budownictwa zaczyna nużyć. Można chyba mówić o początkach nowego okresu w architekturze. Dzisiejsze projekty wieżowców

świadczą o przemianach. Bez ryzyka zabawię się w proroka: epoka monottonnych sześcianów na ulicach Nowego Jorku i Chicago należy do przeszłości. Przychodzi czas bardziej zróżnicowanego i fantazyjnego traktowania przestrzeni. Yale Center for British Art może zostanie uznany za pomnik przesilenia. Jeszcze całkowicie w konwencji konstruktywistycznej, stanowi jedno z ciekawszych jej osiągnięć, bo funkcja narzuciła konieczność nowych rozwiązań

A same zbiory, świetnie tkwiące w zindywidualizowanej geometrii? Tylko w Stanach możliwy był taki dar. Mellonowie szczególnie zasłużyli się amerykańskiemu muzealnictwu. Ofiarowali budynek National Gallery w Waszyngtonie i kolekcję arcydzieł europejskiego malarstwa. Ponadto kilka lat temu ufundowali nowe skrzydło National Gallery, frapujący architektoniczną dziwnością układ trójkątów i trapezów. Paul Mellon studiował na Yale literaturę angielską. Wcześniej zaczął zbierać angielskie malarstwo. Nie tylko osiemnastowieczne portrety czy pejzaże Constable'a i Turnera, które zawsze miały wielbicieli. Ofiarował kolekcję i budynek swemu uniwersytetowi.

Dzięki temu Yale może się pochłubić najobszerniejszym i najbardziej reprezentatywnym zbiorem sztuki angielskiej poza Anglią. Wydaje mi się, że nawet Tate Gallery nie przewyższa zwięzłością tutejszej ekspozycji. Nie wszystko wisi na salach. Byłoby to niemożliwe. Zbiory liczą dwa tysiące obrazów, siedem tysięcy rysunków. Sto dwadzieścia prac Constable'a, czterdzieści dwie Hogartha, siedemdziesiąt Turnera. Zbiór starodruków. Podręczna biblioteka dotycząca sztuki angielskiej. Wstęp bezpłatny. Tutaj odbywają się wykłady o sztuce, kompletuje się dokumentację fotograficzną.

Tutaj urządzone są wystawy współczesnych artystów brytyjskich. Przed trzema laty zobaczyłem Hockneya. Zachwyił mnie wybuch jego radości, celność widzenia Ameryki. Teraz trafiłem na ośmiu malarzy figuratywnych: Michael Andrews, Frank Auerbach, Francis Bacon, William Coldstream, Lucian Freud, Patrick George, Leon Kossoff, Euan Uglow. Zwiedzałem w dobrej kolejności, to znaczy do Bacona dotarłem na końcu. Uderzające, jak ci wprawni przecież artyści zmagają się z konwencjami. Muszą je sobie stwarzać i poza nie wychodzić. Na wystawie dużo aktów i portretów. Oddanie wyrazu twarzy i koloru ciała stanowi najtrudniejszy egzamin. Beżowe, kredowe ciała, niby naturalistyczne, wydają się z gipsu. Zobaczyłem pułapki naturalizmu. Fotografia niczego nie zastąpi, a już na pewno nie

zastąpi wizji, syntetycznego a zarazem konkretnego ujęcia świata, konwencji i rewelacji. Nie zamierzam układać teoretycznego traktatu. Wiem, że w epoce pokory i rzemiosła teoria może pełnić najwyższą funkcję pomocniczą. W epoce natchnienia i ambicji (czyli od stu lat) traktaty zabijają sztukę.

Bacon przesłania wszystkich. To zapewne współczesny malarz, o którym z najgłębszym przekonaniem powiedziałbym: wielki. Wielkością nie Velasqueza, który tak go fascynuje, objawiciela silnego życia ludzi i przedmiotów, lecz Goyi z ciemnego okresu zamazania i zbrutalizowania form. Czarna procesja w Casa del Muto, Saturn pożerający swoje dzieci, to zapowiedź Bacona. Na *Trzech studiach do portretu Luciana Freuda* twarz ulega wynaturzeniu. Oko wyolbrzymione, usta przesunięte, deformacja nie picassowska, bez porównania bardziej realistyczna i okrutna. Wychodzi skryta zmaza każdego człowieka, coś, co budzi strach: tak być może, tak jest. Twarze zniekształcone, pogruchothane kości. Ukrzyżowanie bez odkupiającej mocy. Stałym motywem obrazów Bacona jest może nie tyle grzech pierworodny, co pierworodna skaza, obecna na twarzy i w osobowości współczesnego człowieka. To są portrety dwudziestego wieku. Ludzie zatrzaśnięci w szklanych klatkach, schwytni w grę luster. A do tego wirtuozeria plastyczna taka, jaka dzisiaj jest potrzeba, po szoku fotografii i abstrakcji, gdy plama barwna musi nie tylko odtwarzać, ale i stwarzać świat. Tak było zawsze, lecz dzisiaj dylematy stojące przed artystami są wyraźniej widoczne.

ZŁE OKO BACONA

21 listopada 1981, Nowy Jork

Wczoraj wieczorem wyjechałem dość raptownie z New Haven. Nie potrafiłem znaleźć sobie miejsca. To zapewne złe oko Francisza Bacona rzuciło na mnie urok. Między salą wystawową z jego obrazami a biblioteką podręczną, gdzie chciałem przeczytać jego rozmowy o sztuce z Davidem Silvester, ściągnął mi długopis. On, na pewno on, nikogo innego nie było. Nie chciałem, abym notował dalej wrażenia z wystawy? Wyszedłem z betonowo-drewnianego laboratorium sztuki brytyjskiej. Czekał na mnie z deszczem. Automatyczny parasol najpierw nie dał się otworzyć do końca, potem zamknąć. Musiałem trzymać w ręku niewy-

godny przedmiot i moknąć. Byłem głodny. W mojej restauracji o dziwo wszystkie miejsca zajęte. Dalej w deszcz. We włoskim barze wtoczyłem w siebie niedobrą pizzę. Postanowiłem schronić się do Sterling Library. Przy wejściu mocowałem się jeszcze trochę z zaczarowanym parasolem. Nadaremnie. Teraz go pamiętam, tkwi przecież na pierwszym chyba płótnie z serii rozmazanych, uwięzionych za szkłem bądź za kratami, historycznie śmiejących się papieskich twarzy. Tam był przynajmniej otwarty.

Chciałem pójść do mojej dziupli, kontynuować rozmowę z Baconem. Nie tylko za pośrednictwem Davida Silvestera, również bezpośrednio z dziełami, które zapadły w wyobraźnię. Bacon odsłania nasze złe sny. Majaczenia na jawie. Portrety strachu. Wizerunki obawy, cienistej, płynnej, czającej się w rzeczywistości, tuż za nią, o krok, o dystans wielkiego talentu, ciemnej wyobraźni. Nic z tego. W hallu biblioteki usłyszałem głos, nie zdziwiłbym się, gdyby Bacon: *the library will close in fifteen minutes*. A to co znowu? Była dopiero piąta. Zamierzałem posiedzieć do jedenastej. Wczoraj znalazłem potrzebne przewodniki po Stanach. Włoska książka o Gombrowiczu otworzyła się na nieznanym wywiadzie. Nic z tego. Czytam: z powodu świąt *Thanksgiving* biblioteka dzisiaj otwarta do piątej, jutro i pojutrze zamknięta, przez cały przyszły tydzień działać będzie wedle specjalnego rozkładu. Musiałem znów wyjść na deszcz z półotwartym parasolem, który komicznie podtrzymywałem nad sobą głową. Wróciłem do Palazzo Grosso przemoknięty. Deszcz zanosił się na dłużej. Bacon nie zamierzał dać mi spokoju. Postanowiłem wyrwać się spod jego władzy do Nowego Jorku.

MOJE TYPY

22 listopada 1981, Nowy Jork

Moje dzisiejsze typy? Proszę bardzo. Balthus (oleje): *André Derain*, 1936; *Juan Miro z córką Dolores*, 1937-38; *Dziewczynka w czerwonozielonym żakiecie*, 1939; (rysunki): *Szkic do aktu*, 1964; *Szkic do obrazu „La Chambre turque”*, 1963. Bacon: *Portret pawiana*, 1953. Seurat: *Wieczór w Honfleur*, 1886; *Port-en-Bessin*, 1888.

W Museum of Modern Art obejrzałem małą wystawę Balthusa. Normalnie tkwi w magazynach. Rysunki znakomite, sil-

nie erotyczne. Brak powojennych płócien, dużo piękniejszych. Balthusa dłuży czas znałem tylko z reprodukcji. Był dla mnie bratem Pierre Klossowskiego, autora ciekawych esejów o markizie de Sade i o Nietzschem. Także erotycznych powieści uderzających stylistycznym wyszukaniem (*Bain de Diane* dał mi do czytania Aleksander Wat w Paryżu w 1965 roku). Pierre Klossowski również rysuje — strasznie. Oglądane w albumach obrazy Balthusa uderzały kompozycją zarazem hieratyczną i pełną napięcia. Niedojrzałe dziewczynki, nagie, zamarłe w gwałtownym ruchu, wyciągnięte na ukos przez krzesło, języki ognia tańczące w kominku, złoto zgiętych pleców mężczyzny.

Doceniłem Balthusa dopiero podczas pierwszego pobytu w Stanach. Chodziłem do Metropolitan przez pewien czas prawie codziennie. Oglądałem tylko sale malarstwa na pierwszym piętrze. I tak nie mogłem za jednym razem zobaczyć wszystkiego, co chciałem. Nowe obrazy wymagają wysiłku. Muszę je oswoić. Nie wiadomo, czy inwestycja się opłaci. Lepiej więc jeszcze raz przyrzeć się ulubionym dziełom niż szukać nowych. Na tym zazwyczaj się kończy. Dlatego późno dotarłem do Lehmann Collection. Trzeba przejść przez hiszpańskie patio, sale średniowiecznej zbroi. Za nimi skrywa się nowe skrzydło muzeum, ośmiograniasty budynek. Odtworzono nowojorską siedzibę Lehmana. Ciemne pokoje, czerwone obicia, na ścianach skarby europejskiego malarstwa (Sassetta, Rembrandt, El Greco). Wokół nowocześnie prześwietlone wnętrza. Kilka obrazów zwróciło moją uwagę. Portret kobiety Ingres'a o cudownych liniach i błękitach. Dwie dziewczynki przy fortepianie Renoira. Która to już wersja? Wydaje mi się, że widziałem ten obraz w Stanach kilkakrotnie. Naprzeciw doskonała wariacja na temat bieli: biel ściany, biel lustra, biel kominka, biel dziewczęcego ciała. Kolorystyczna wrażliwość jak u najlepszego Seurata. Zaskoczyło mnie łagodne wyszukanie, stonowana dekadencja Balthusa. Znako-mity obraz.

Czy dałem się uwieść nastrojowi? Nie, kilkakrotnie wracałem do tego płótna, kontrolowałem wrażenie, umieszczałem obraz Balthusa na mojej mapie malarstwa. Zawsze odnajdywał wysokie miejsce między białościami Corota a powolnym, przemyślanym i trafnym komponowaniem się barw na niektórych dziełach Seurata. Dzisiaj w Museum of Modern Art zobaczyłem odmiennego Balthusa. Dwóch. Trzech. Pierwszy spowinowacony jest z Celnikiem Rousseau. Nie wywodzi się od niego, bo niby naiwna sztuka Celnika Rousseau w najlepszych osiągnięciach

wymyka się naśladownictwu. Balthus podobnie do Celnika stwarza mityczną scenerię, narzucającą się wyobraźni, a będącą transpozycją codziennego świata. Drugiego Balthusa zobaczyłem na portrecie *Dziewczynki w czerwonozielonym żakiecie*. Wspaniała równowaga brył. Na freskach Piero della Francesca linie narzucają doskonałą cielesność i realność postaci. Balthus zbliżył się do tego ideału. Jeszcze inne są rysunki. Bardziej złożone. Błyskawiczne notatki zarazem delikatne i śmiałe.

Patrząc na Balthusa, spacerując później po stałej ekspozycji Museum of Modern Art, uprzytomniłem sobie po raz któryś, jak daleko moja wizja współczesnego malarstwa odbiega od muzealnej. Zawsze mamy jakieś preferencje. Różnica w widzeniu dwudziestowiecznego malarstwa sięga jednak głębiej. Na salach poświęconych sztuce współczesnej mało dostrzegam sztuki. Zieją nudą. Akademickie ćwiczenia i spory. Sprowadzają się do pytania o metrykę: kto pierwszy zastosował jakiś chwyt. Czasem miganie wdzięczna arabeska abstrakcji lirycznej i jej sióstr. Czasem pojawi się rozdęty komiks czy fotografia. Bardziej jednak niż obecność dużej ilości dzieł martwych zaskakuje nieobecność twórców żywych. Prace Balthusa wyszły na światło dzienne z okazji wystawy, zazwyczaj tkwią schowane w magazynach.

Trochę mnie niepokoi dziwność moich protegowanych. Niby szukam na płótnie ciężaru postaci, odkrywczego spojrzenia, kolorystycznej precyzji, śmiałości i prostoty kompozycji. A wybrani przeze mnie artyści? Odillon Redon, młody Rouault, Schiele, Bacon, Balthus, Fautrier, Wols, Steinberg. Dom wariatów. Choćby jednego normalnego. Tak, Hockney, ale pogodna dekoracyjność lub łagodne żarty perspektywy to pułapki jego sztuki. Musi odnawiać precyzję widzenia. Jak w ilustracjach do baśni Grimma, jak w odkrywczym realistycznym martwych naturach. Neorealizm jako formuła nie tylko nie wystarcza. Wprowadza w błąd. Powiększone fotografie, choćby efektowne, nie stanowią jeszcze obrazu. Coś musi ożywiać płótno: napięcie, skryte w pejzażu, w martwej naturze, w ludzkiej twarzy, nie redukujące się do przedstawianej treści bądź do chwytu formalnego. Szukam tego napięcia. Znajduję je na niektórych obrazach Edwarda Hoppera. Mityczny znak krajobrazu, rozgrzanego powietrza, jałowych górskich stoków, olbrzymich pustych połaci ziemi odnajduję na płótnach Georgii O'Keeffe. Żywotność jej dzieła dostrzegłem dopiero po pobycie w jej wybranych stronach, w wypalonych słońcem krajobrazach Nowego Meksyku, w brązowym Santa Fe, w brunatnordzawym Taos.

METRO

23 listopada 1981, Nowy Jork

Powrót do Nowego Jorku jest szokiem. Jedni lubią to miasto, inni nienawidzą. Trudno być obojętnym. Wciąga od razu. Pokazuje muzea. Kusi operą, tysiącem rozrywek, wspaniałością sklepów (nie mniej, co mi się podoba, jest i tu nie do dostania, wymaga męczących poszukiwań, kosztuje zbyt drogo, okazuje się zupełnie inne niż myślałem). Ale jeszcze przedtem potrafi uderzyć. Z uniwersyteckiego New Haven, gdzie czas spędzałem wśród amerykańskiego gotyku i po amerykańsku urodziwej młodzieży, dostałem się do nowojorskiego metra. Twarze o natarczywej, obrażającej, złej brzydocie. Jedni podkreślają własną odrębność od norm cywilizacyjnych krzykliwym zachowaniem, ubraniem, mową, inni starają się nie zauważać tej odrębności, nie istnieć, roztopić się w szarości, nudzie, strachu, przeciętności. Za maską obojętności kryje się poczucie zagrożenia.

Wagony wszędzie wysmarowane napisami. To stosowane liternictwo jest ulubionym sportem raczej mało literackiej młodzieży. Gangi wdzierają się nocą do zajezdni i pokrywają farbą w aerozolu nowe wagony. Uderza wyszukana stylizacja napisów. Można wyśledzić kilka wzorów, powtarzające się mody. Trzeba jednak pewnego dystansu i wysiłku, aby przyglądać się fragmentom i badać ich estetykę. Te dekoracje działają jako całość. Atakują pasażera. Narzucają własne reguły. Krzyczą kolorami — jesteśmy wszędzie. Tusz i farba wdzierają się na ławki, na okna, na numery linii i plany metra. To jest odmienny, autonomiczny świat. Nocą pasażerowie zbijają się w grupy, aby czuć się pewniej. Istnieją specjalnie oznaczone miejsca oczekiwania, chronione okiem kamery telewizyjnej.

Po wagonach niespokojnie krążą zamroczeni narkotykami młodzieńcy. Czasem nie potrzeba narkotyków. Oddalili się już od zewnętrznego świata. „Wobec kłamliwych jawnie snów...”. O czym śnią na jawie? Kiedy przyśni im się makabryczny sen i przekroczą granicę (cudzego) bezpieczeństwa? Na ziemi zdeптane, brudne gazety i turlające się z hałasem puszki po Coca-Coli. W powietrzu mdły zapach agresywnej biedy. Niedaleko mnie kobieta o pomarszczonej, ciemnej twarzy. Dawno przestała dbać o wygląd. Naprzeciw błądy młodzieniec nakrył się czymś między kołdrą a śpiworem. Pod głowę podłożył tłumok. Śpi. Mijająca go obsługa metra stara się nie zwracać na niego uwagi.

Po chwili pojawia się dwóch Murzynów, raczej młodych, w wełnianych czapkach na głowie. Ubrani jednak poważnie. Jeden z nich wyrzuca z siebie wyuczoną na pamięć przemowę. Nie wszystko rozumiem. Mówi z namaszczeniem, mieszając fragmenty reklam telewizyjnych i kaznodziejskie chwytły. „Przepraszam, że naruszam Państwa prywatność. Zechcicie mi jednak powierzyć kilka minut waszego cennego czasu. Niczego nie usiłuję sprzedać ani zachwalać”. Przedstawiciel jakiejś sekty. Opowiada o konieczności niesienia religijnej pomocy. Pasażerowie z mieszaniną skrępowania i obojętności patrzą obok. Mówca ogłasza zbiórkę na jakieś szlachetne cele, raz jeszcze przeprosza za naruszenie prywatności i podkreśla gotowość odpowiedzi na wszelkie pytania. Milczenie. Jego towarzysz wyrusza z metalową puszką. Każdy patrzy w przestrzeń, nikt nie daje. W odległym końcu wagonu jeden z pasażerów stawia — przez ciekawość? przez litość? — jakieś pytanie. Otrzymuje długą, namaszczonej odpowiedzi (sądzę z gestów, słów nie słyszę). Mówca i jego towarzysz znikają w następnym wagonie.

Przejeżdżamy pod Harlemem. Publiczność ciemniejsza. W głowy mężczyzn wetknięte grzebienie-widelki z długimi trzonkami. Na głowach kobiet splot pracowicie zaprasowanych warkoczyków z różnobarwnymi koralikami. Młodzieńcy mają na uszach słuchawki, przy pasku magnetofony. Kołyszą się w takt bezdźwięcznej (dla mnie) muzyki. Błogosławieństwo, bo inni, mniej modni, poruszają się z nastawionymi na cały regulator tranzystorami.

BIBLIOTEKA HISTORII SZTUKI

24 listopada 1981, Nowy Jork

We wspaniałej bibliotece poświęconej sztuce, Avery Library na Columbii, komponowałem prywatne aneksy do nowojorskich wystaw. Dziewczynki delikatne i zmysłowe, szkicowane węglem przez Balthusa, obok ascetycznie wydłużonych starców Giacomettiego. Zaznaczeni jedną linią tajlandzcy chłopcy na rysunkach Hockneya z Bangkoku. Twarz Schielego, zbiedniała, układająca się we wciąż nowy grymas. Potężny tom autoportretów Rembrandta, w nim mój bostoński, zagubiony, wepchnięty między resztę, opatrzony obojętnym komentarzem, jakby był zwyczajnym dziełem. Zbyt dobrze pamiętam złotozieloną wyniosłość,

puszystość włosów, uporczywą nieobecność spojrzenia, bym mógł się z tym sądem zgodzić.

Trafiłem na całe półki poświęcone zbieraczom i zbiorom. Ten temat spleta w jedno wielkie pieniądze, wielką sztukę i wielką przygodę, czasem również politykę. Odtwarzanie dawnych zbiorów to specjalna wiedza, uczy o przemijających gustach, o dziejach sztuki, o sposobach ratowania przeszłości. Rzuciłem się w prawie że kryminalne historie, gdzie dramatycznie krzyżują się utytułowane rody i znakomite dzieła. Kolekcje amerykańskie są imponujące. Nie pierwszy przykład polowania na pomniki przeszłości kosztem mniej zasobnych w pieniądze, lecz bogatszych w sztukę. Specjalizowali się w tym Anglicy. Hamilton i Elgin to tylko dwa najbardziej znane przykłady. Z wyjątkową bezczelnością łupił zabytki Napoleon. Zamierzał zgromadzić w Paryżu, w Luwrze przemienionym w Musée Napoléon, najbardziej liczące się wówczas dzieła. Ściągnął kwadrygę z bazyliki św. Marka w Wenecji, Mantegnę z Werony, płótna Rafaela, Correggia, Veronese'a. Na kongresie wiedeńskim postanowiono, że dzieła wrócą. Nie wszystkie wróciły.

Amerykanie poszli w ślady Anglików. Korzystali z praw wolnego rynku. Byli najbogatsi. W zniszczonej pierwszą wojną Europie, przeoranej rewolucjami, gdy tyle historycznych rodów straciło majątki, znawcy mogli kupićomalże wszystko. Kościoły włoskie od połowy XIX wieku wyprzedawały na szeroką skalę stare, ciemne, pokryte sadzą i brudem obrazy prymitywów. Za uzyskane pieniądze można było odnowić świątynię i zakupić nowe, lśniące, pełne ekspresji malowidła religijne. Wszystko, co różniło się od narzuconych przez Rafaela i Correggia pięknych twarzy, uchodziło za gotycką niezgrabność. Docenienie prerafaelitów było rewolucją smaku. Trwała długo. Pozwoliła odkrywać i z początku łatwo, za tanie pieniądze kupować znakomite dzieła. Crivelli, Piero della Francesca, Tura, Cossa wędrowali najpierw przede wszystkim do Londynu, później do Stanów.

Bernard Berenson był na przełomie wieku wybitnym badaczem, ekspertem i kolekcjonerem w jednej osobie. Także doradcą zamożniejszych zbieraczy. To on był współtwórcą muzeum Izabeli Steward Gardner. Opowiem przy okazji, gdy lepiej tę historię zbadam, dzieje kolekcji Mellona pochodzącej w istotnej części z Ermitażu. Dwa obrazy Van Eycka, chluba Metropolitan, również zostały kupione po rewolucji od nowych władców Rosji. Małe księstwka niemieckie dłuższy czas były rajem zbieraczy. Karta się czasem odwracała. Niektóre spośród arcydzieł, wysta-

wianych obecnie w Nowym Jorku przez barona Thyssena, zostały kupione od Amerykanów. Niezwykły *Portret rycerza Carpaccia* przepłynął dwa razy Atlantyk, podobnie bezcenny fragment *Maestà* Duccia. Teraz pojawiły się po raz trzeci, z krótką kurtuazyjną wizytą, złożyć uszanowanie byłym właścicielom.

WPATRYWAĆ SIĘ W OCZY

25 listopada 1981, Nowy Jork

Oglądam dzieła sztuki, jednorazowe spełnienia indywidualnego geniuszu, śledzę ich historię, daję się z jakąś wewnętrzną satysfakcją wciągać w krąg oczarowania śmiałością linii, która ma odtworzyć tajemnicę widzialnego świata. Tylko tak mogę odpowiedzieć na kolejną falę niepokoju. Poszedłem do czytelnicy czasopism. Dużo artykułów o Polsce. Opisy katastrofy gospodarczej działają na mnie mocniej, bo potrafię sobie dopowiedzieć resztę. Wiem, do jakich szaleństw zdolna jest ekonomia poddana odgórnym ideologicznym dyrektywom. Widzę niekończące się kolejki, puste sklepy.

Jak wydostać się z fatalnego eksperymentu? (Na zwierzętach trzeba było najpierw wypróbować, na zwierzętach, ale liga ochrony zwierząt by się nie zgodziła). Częściowe zmiany nie wystarczają, bo siła ciężenia systemu jest zbyt duża i reforma wraca na punkt startu, kończy się „odnowa”. Konieczna jest reforma systemowa, reforma systemu. Bez złamania monopolu i stojących na jego straży mechanizmów hamowania i niszczenia indywidualnej inicjatywy nic się nie da zrobić. Jak tego dokonać? Destrukcyjność tkanki społecznej trwała ponad trzydzieści lat.

W *Tygodniku Powszechnym* zobaczyłem rysunek lepiej oddający sytuację niż wywody wciąż mylących się ekonomistów. Pusty sklep. Pajęczyny na półkach. Ekspedientka siedzi z miną wyrażającą znudzenie i poniżenie. Przed ladą dwóch urzędników z teczkami. „Widzicie, towarzyszu, wygraliśmy całkowicie bitwę o handel”. Prawda, bitwa o upaństwowienie handlu została wygrana. Pacjent zmarł w trakcie zabiegu. Nie wystarczy „oddanie w agencję” (coż to znaczy?) szczególnie nieopłacalnych sklepów. Nie wystarczy — nic nie zmieni — wypuszczenie spod całkowitej kontroli części handlu. Bywa to tylko chwilowym nadaniem praw obywatelskich, do czasu, gdy agent trochę się

wz bogaci. Wówczas można go wykończyć dowolnym podatkiem. Tak postępowano z Żydami w średniowieczu. Nic dziwnego, że nie budzą zaufania któryś tam raz powtarzane deklaracje o „zielonym świetle” dla rzemiosła i handlu.

Żadne zielone światło nie jest potrzebne w Stanach, a jakoś sobie radzą. Trzeba po prostu znieść bariery hamujące ludzką inicjatywę, swobodny rozwój jednostki. Postęp kultury europejskiej odbywał się przez stopniowe likwidowanie tych barier. Na Wschodzie stworzono nowe zapory, uniemożliwiające spontaniczny rozwój handlu, przemysłu, nauki. Całą energię skupiono na udoskonalaniu tych zapor. Dlatego nie wystarczy wyzwolenie handlu. Doświadczenie z rolnictwem dowodzi, że w gospodarce odgórznej reglamentacji fikcją jest niezależność jakiegoś fragmentu, choćby uroczyście deklarowana. Konieczne jest złamanie barier, odrzucenie knebla.

Czy się dokona? Czy jest możliwe w jednym kraju, otoczone przez inne, tkwiące w centralizmie? Czy nie ruszą mechanizmy obronne, w wyższym interesie upaństwowionej jedności niszczące ciała niezależne, pozostałości i załączki społeczeństwa obywatelskiego? Taką szaloną decyzję łatwo podjąć, bo zapory przeciw niej nie istnieją. Nie jest zaporą opinia publiczna, nie jest interes społeczny rozumiany jako gwarancja godziwego życia dla możliwie wielu jednostek. Czy nie ruszą motory czołgów? Czy nie powtórzy się tragedia minionych zrywów ku wolności? Czy zlikwidowane zostaną hamulce centralizmu, nomenklatury, ideologicznego dogmatu? Nie wiem.

Ufam, że katastrofa nie nastąpi. To jedyna zdrowa postawa: działać tak, jakby przyszłość istniała. Istnieje przecież. Wiem, jakiej bym sobie życzył. To mi wystarczy. Co robić? Bacznie przyglądać się teraźniejszości i wymarzonej przyszłości. Nie dać się wciągnąć we wysysający lej. Nie ulegać stadnym instynktom. Nie dać się podzielić. W zespolonym sprzeciwie suwerennych jednostek tkwi źródło ratunku. Sierpień był lekcją zbiorowego działania i lekcją indywidualizmu. Właściwą strategię, choć wydać się może w chwilach zwątpienia beznadziejna bądź absurdalna, odczytałem na rysunku zamieszczonym bodajże w *Spectatorze*: przy szosie, którą pędzą samochody z zapalonymi światłami, stoją dwa zajęczki. Jeden mówi do drugiego: „Jeżeli się intensywnie wpatrywać w ich oczy, podobno się zatrzymują”. Jeżeli intensywnie trwać przy swoim, nie ulegać presji, wpatrywać się w oczy młodego Rembrandta, w puste domy Hoppera, w zagmatwane linie Schielego, jeśli wsłuchiwać się uważnie w

dźwięk czarodziejskiego fletu, można zatrzymać, choćby w sobie, niebezpieczeństwo. Milknie huk propagandy. Trudniej uruchomić motory czołgów. Wierzę w to.

THANKSGIVING Z POLAKAMI

26 listopada 1981, Nowy Jork

Dzisiaj jest *Thanksgiving*, amerykańskie święto dziękczynienia za pierwsze plony zebrane przez pielgrzymów w Nowym Świecie. Święto rodzinne. Dzień spędza się wśród najbliższych na pałaszowaniu indyka. Myśmy też to uczynili, ale że towarzystwo było polskie, zaczęliśmy od śledzia marynowanego, znakomitego. Potoczyły się polskie rozmowy. O personalnych konfliktach, mało mnie interesujących, w środowisku emigracyjnym. O nowym prymasie, o trudnościach w sprostaniu wielkiemu dziedzictwu. Wreszcie o rządzie londyńskim. Kiedyś zabawiałem redakcję *Kultury* przepytując ich ze składu rządu: kto jest moim ministrem (spraw krajowych), kto ma wojsko, kto sądownictwo, kto sprawy zagraniczne. Czerpałem wiadomości z ostatniego numeru *Rzeczpospolitej*. Starłem się zapamiętać nazwiska choćby przez kilkanaście minut, co nie zawsze było łatwe. Egzamin wypadł raczej mizernie. Premiera wszyscy jakoś pamiętali (nazywał się Pajak). Ówczesnego prezydenta też potrafiono wymienić (Ostrowski), choć trudno było się czegoś bliżej o nim dowiedzieć.

Dzisiaj jeden z obecnych zapytał obcesowo, co sądzę o idei rządu na wygnaniu. Nie wiem. Kiedyś, gdy nie było niezależnych inicjatyw w kraju, a w rządzie zasiadały mało znane i mało szkodliwe osoby, uważałem, że kto chce brać w tym udział, niech bierze. Pieniądze idące na Skarb Narodowy w Londynie i tak zapewne nie zostałyby ofiarowane na inne cele. Rząd w Londynie był w czasie wojny rzeczywistym rządem Polski, uznanym nie tylko na zewnątrz, lecz przede wszystkim w kraju. Potem spełnił rolę oprostowując układy jałtańskie, protestując przeciw odebraniu suwerenności i łamaniu swobód obywatelskich w Polsce. Prezydent Rzeczypospolitej mógł złożyć swój urząd tylko na rzecz swobodnie wybranych władz. Inaczej byłoby to dobrowolne zrzeczenie się niepodległości.

Sytuacja uległa teraz jakby wyostreniu. Zbliżyła się perspektywa wolności. Prezydentem na wygnaniu jest Edward Raczyński,

osoba o dużym autorytecie, znana w Polsce i za granicą. To już jednak prawie ostatni wybitny polski działacz państwowy z okresu niepodległości. Kto po nim? Różnica kalibru będzie oczywista. Więc skończyć zabawę? Kontynuowanie gabinetów i tek ministerialnych jest śmieszne, ale co zrobić z urzędem prezydenta? Testament Polski Walczącej nie pozwala na zwinięcie tego urzędu. Gdzie znaleźć następcę i jak określić sens i zasięg jego roli? Ktoś z kraju? Takie snuto przy indyku rozważania wśród polonijnych działaczy. Niby mnie to nie obchodzi, lecz jaki byłby mój pogląd?

Powinna istnieć niezależna reprezentacja interesów narodowych na emigracji, dopóki w kraju niemożliwe jest mówienie i działanie z całą swobodą. Jaką formę powinna przyjąć taka reprezentacja, z czyjego mandatu? Punkt widzenia polonii jest ważny, nie jest jednak tożsamy z interesem kraju bądź, szerzej, z polskim niezawisłym interesem narodowym. A kontynuowanie historycznych stronnictw, bądź instytucji? Kiedyś uważałem, że wiedza o historycznych kierunkach myślenia politycznego, oficjalnie fałszowana bądź zatajana, jest niezbędnym składnikiem samoświadomości elit. Nadal uważam, że znajomość przeszłości może pomóc w odzyskiwaniu i utrwalaniu niezawisłości. Nie chciałbym jednak, aby ożyły dawne waśnie, aby powróciły ideologiczne bądź raczej towarzysko-genealogiczne resentymenty. Nie chciałbym ani mechanicznej kontynuacji sanacji, ani endecji, ani PPS, wszystko to stanowiłoby dziś niewiarygodny anachronizm.

Przekleństwem ostatnich lat Polski niepodległej było tkwienie we władzy historycznych schematów. Animoszje osobisto-partyjne były ważniejsze niż treść programów. Uniemożliwiało to widzenie społecznych realiów, prawdziwych niebezpieczeństw. Teraz, po prawie pół wieku, ówczesny anachronizm uległ spotęgowaniu. Żałosne byłoby odnawianie dawnych waśni. Pewne sylwetki polityczne zamieniły się w mit. Mity mają w naszych warunkach dziwną moc. Dotychczas działały wyzwajająco: były sugestią innego, autentycznego świata. Trzeba uważać, aby nie zaczęły działać paraliżująco: niebezpieczne byłoby przenoszenie świata niegdysiejszych idei w nasz świat i wyznaczanie za pomocą tamtych narzędzi dróg ku przyszłości. Sytuacja społeczna w Polsce po sierpniu, wcielona w Solidarność, jest zjawiskiem tak twórczym i tak nowym, że wymaga nowych rozwiązań politycznych. Zgadzam się z Marcinem, który twierdził w *Res Publice*, że w obecnych warunkach więcej się możemy nauczyć z doświadczeń europejskiej demokracji niż z tradycji polskiej myśli politycznej przełomu wieku.

27 listopada 1981, Nowy Jork

Dzień męczący i słoczony, jakby parę dni obejmował. Może dlatego, że byłem niewyspany. Wczoraj nie mogłem zmużyć oka. Za szybą widać było wielką, złotą kulę księżyca. Nie pozwalało o sobie zapomnieć. W końcu tyknąłem proszek. Wstałem o dziewiątej. Mieliśmy z Ireną odwieźć walizkę pełną jedzenia. Ktoś zgodził się zabrać ją do Polski. Najpierw zastawiono nam samochód. Trąbiliśmy bez przerwy dwadzieścia minut. W końcu zjawił się zaspany osobnik i nas odblokował. W banku długa kolejka po odbiór pieniędzy. Korek na szosie. Udało się jednak dojechać na czas.

Na pierwszą miałem być u pani Haliny Wittlinowej. Jazda trwała dwa razy dłużej niż powinna. Znowu korki. Oglądałem zdjęcia i pamiątki. Lechoń upozowany. Wierzyński gdzieś na wsi, swobodny, młodzieńczy, tak różny od tonacji wierszy, jakie wówczas pisał, najpiękniejszych jego wierszy, tragicznych, zapatrzonych w czas i w przestrzeń, w magiczną moc słowa. Pucłowaty Wańkowicz na jakimś przyjęciu. Wittlin w hiszpańskim przebraniu i Wittlin przed mikrofonem Wolnej Europy. Słyszę jego głos, cichy, bezgłosny prawie, pamiętam go w rzymskim hotelu, gdzie kiedyś zatrzymywał się Sienkiewicz (jak głosi tablica). Mały, zasuszony, zagubiony w świecie, jakby byle podmuch miał go porwać.

Wróciłem tylko na chwilę do domu. Za piętnaście ósma byłem umówiony przed teatrem. Wyszedłem z prawie godzinnym zapasem. Na szczęście. Metro miało też jakieś przestoje. Dotąd widziałem na Broadwayu tylko *music-halle*. Żadne z przedstawień nie mogło się równać z techniczną doskonałością i niebotyczną kiczowatością rewii w Las Vegas. Teraz pierwszy raz oglądałem przedstawienie teatralne. Z miejsca zaskoczenie. Prawie z ulicy wchodzi się prosto na salę o secesyjnym splątaniu ozdób. Sztuka interesująca. *The Dresser (Charakteryzator)* zbudowany jest na spięciach między kabotyńskim starzejącym się aktorem, niegdyś znakomitym, a jego charakteryzatorem. Świetne operowanie teatrem w teatrze i sztuką w sztuce: uczestniczymy w przygotowaniach do przedstawienia podczas niemieckich nalotów bombowych na Londyn, kabotyński gwiazdor zamiast powtarzać *Hamleta* recytuje nagle fragment *Otella*. Gra aktorów niezwykła. Zwłaszcza Tom Courtenay, którego znałem z filmów.

Po teatrze Basia z Agnieszką wyciągnęły mnie do Greenwich Village. Poszliśmy do Le Figaro na Bleeker. Tu też się nie układało. Czekaliśmy dwadzieścia minut na kelnera, drugie tyle na kawę. Jak w Polsce (tyle że tu kawiarnia była otwarta i była w niej kawa). Wracaliśmy o trzeciej nad ranem jedną z gorszych linii metra. Parada typów nie zawiodła. Najdziwniejszy był Murzyn o zagubionym wzroku. Koraliki wprasowane we włosy. Zielona suknia. Chodził po wagonie w tę i z powrotem wybijając rytm nogami. Zatrzymywał się. Toczył wzrokiem. Wykrzykiwał jakieś niezrozumiałe groźby. Pasażerowie starali się nie dostrzegać jego manewrów. Przeniósł się do sąsiedniego wagonu. Odczuliśmy ulgę. Po kilkunastu minutach znów wrócił. Jakby jeszcze bardziej oderwany od świata. Wysłuchany tylko w rytm swoich kroków i krzyków. Znikł znowu.

Tym razem jego zniknięcie nie przyniosło ulgi. Myśleliśmy, że zielona postać za chwilę znów się pojawi. Jak się zachowa? Czuliśmy się zagrożeni. To poczucie wspólnego zagrożenia poniżało. Coraz mniej pasażerów. Czy zielona postać o wykrzywionej twarzy wróci? Jeżeli wróci, czy powtórzy rytm gestów i słów, czy też posunie się dalej? Czułem jego nieobecność jako denerwującą zapowiedź zbliżającej się obecności. Nadaremnie starałem się o nim nie myśleć. Towarzyszył mi do końca podróży. Nie wrócił jednak. Wsiadł na którejś stacji? Nie zauważyłem. Wypełnił inne wagony swoją obecnością? Zasnął odurzony narkotykami? A może wcale nie był zamroczony? Może tylko dziwny, zamknięty w sobie, przemawiający do własnych wyobrażeń, idący za własnymi marzeniami? Może to tylko dziesiątki opowiadań, przestroóg, historii zasłyszanych i przeczytanych (aż nazbyt realnych), ułożyły mi się w głowie w groźny, wymaginowany obraz? Jakoś tam jednak realny, bo wynikający z atmosfery miasta.

O B A W Y

29 listopada 1981, Nowy Jork

Kłopoty ze skupieniem, rosną zaległości, termin powrotu do Warszawy coraz bliżej, a rezultat: puste ręce i głowa. U Haliny Rodzińskiej i Felicji Krancowej oglądałem zdjęcia, obrazy. Wracając postanowiłem wsiąść w centrum, aby kupić kilogramowy niedzielną *New York Times*, jeszcze grubszy niż zazwyczaj, bo

zbliża się gwiazdkowy szaf zakupów i domy towarowe dołączają reklamowe katalogi. Bizuteria od Fortunoffa, futra nie wiem od kogo, wszystko pomaszzerowało do kosza, a ja lżejszy po zrzuceniu balastu pomaszzerowałem w miasto.

Wciągnęło mnie do późna w nocy. W domu i tak nic bym nie robił. Nie mogłem. Znów mnie chwyciło. Przeczytałem dłuższy tekst o Polsce. Nieoficjalne, lecz dobrze poinformowane źródła podają, że ma zostać wniesiona do Sejmu (czyli uchwalona) ustawa o zakazie strajków, o ograniczeniu i tak ograniczonej swobody prasy. Oznacza to przekreślenie zdobyczy sierpnia. Złe funkcjonują, bo są cząstkowe. Strajki stanowią jedyną formę wyrazu społecznych aspiracji. Nie ich zakaz przyczyni się do złagodzenia kryzysu, lecz zezwolenie na inne formy skutecznego działania. Uznanie politycznej roli Solidarności, wynikających stąd praw, praw społeczeństwa.

Po sierpniu zmieniała się mentalność społeczna. Pojawiły się niezależne instytucje, ciągle jeszcze wątpliwe, chwiejne. Nie tyle poza prawem, co poza duszącym gorsetem ideologii, nomenklatury, gospodarki nakazowej, centralizmu. Jeżeli pozostawi się gorset, to społeczne działanie ulegnie wyjąłowieniu. Nie dlatego oczywiście, iżby swobodna inicjatywa jednostek była szkodliwym „anarchizmem”, lecz dlatego, że nie ma dla niej warunków w reglamentowanym świecie. Powtarza się, na większą skalę, błąd z rolnictwem: zło leży nie w niezależnieniu od centralnej kurateli, lecz w niedostatecznym wyzwoleniu, w braku instytucjonalnych i prawnych gwarancji dla jednostkowego wysiłku. Jednostki, mniejsze i większe niezależne grupy muszą być wzięte pod ochronę prawa i instytucji. Inaczej wyginą. Wyginiemy.

Jak potoczy się rozwój sytuacji? Jestem w rękach ludzi, na których nie mam wpływu. Solidarność ma na nich wpływ niewielki — i nie wiadomo jaki: może pobudzić choćby wątplą chęć współdziałania ze społeczeństwem, może jednak pobudzić odruchową agresję obronną, próbę rozpaczliwego zniszczenia niezależnych ciał społecznych, uznanych za konkurencję, czyli za groźbę. Co dalej? Stałem na Times Square z numerem gazety. Otaczało mnie krzykliwe rojowisko. Byłem sam z wiadomościami z Polski. Sugerowały wybór drugiej drogi, ataku przeciw społeczeństwu. Słowa gazety atakowały mnie, odsłaniały bezradność, kruchość mojego świata. Tak łatwo kaleczyć moje sny! Jak mogę się bronić przed atakiem? Wejść do baru, do kina, dać się zaatakować agresywnej muzyce? Zapomnieć o sobie ogłuszając oczy? Jaki jest równoważnik w Nowym Jorku tego uczucia fascynacji

i zawieszenia świadomości, gdy wpatrywałem się w miarowe uderzenia morskich fal, rytmiczne formowanie się spienionych grzyw, ich rozpad i znów wznoszenie się i rozpad?

SPOTKANIE Z INTELEKTUALISTAMI

30 listopada 1981, Nowy Jork

Norman Podhoretz i jego żona Midge Decter zorganizowali spotkanie z kilkudziesięcioma intelektualistami nowojorskimi, głównie z kręgu *New York Times'a* i *Commentary*, skupionymi wokół *Committee for the Free World*. Ponad godzinę odpowiadałem na pytania dotyczące Polski. Czy rzeczywiście odpowiadałem? Szybko spostrzegłem życzliwość dla Polski, ale też trudność wczucia się w naszą sytuację dla osób z innej cywilizacji. Czyżby więc Kisiel miał rację, że oddaliliśmy się od Europy, że materialnie pozeğlowaliśmy ku stepom Wschodu i takie są realia codzienności, choć nasza duchowa ojczyzna jest na Zachodzie? Tak się straszymy. Usiłujemy wyzywając los odwrócić los. Dokonał tych egzorcyzmów przejmująco Kisielewski-Staliński w *Cieniach w pieczarze*, powieści szczególnie mi bliskiej.

Czy rzeczywiście znam odpowiedź choćby na elementarne pytania? Czy wiem, jak Stany Zjednoczone mogą pomóc Polsce? Tym interesowano się najbardziej. A także społecznymi i politycznymi ideałami Solidarności. Jaki jest jej stosunek do idei socjalizmu? Jak wpisuje się w mapę dzisiejszych konfliktów międzynarodowych? Jakie będą konsekwencje ewentualnego przyjęcia Polski do Międzynarodowego Funduszu Walutowego? Czy nie grozi narzucenie przez władze rządów silnej ręki, wbrew społeczeństwu, a zgodnie z sugestią zachodnich bankierów? Na wiele pytań nie znałem odpowiedzi, na inne widziałem kilka. Stale zastrzegałem się, że brak nam języka do opisu niezwykłych przemian w Polsce, że wiemy (wiem) jeszcze mało o nowoformującej się rzeczywistości, że wydarzenia od sierpnia i dla nas są zaskakujące, że rozumowanie *per analogiam*, gdy trudno ustalić stopień podobieństwa, jest zawodne.

Później toczyły się bardziej prywatne rozmowy. Starłem się wywiedzieć u źródła czegoś więcej o dzisiejszym życiu intelektualnym w Stanach. Gdy zostałem przedstawiony Gertrudzie Himmelfarb, wspomniałem, że mamy wspólnych przyjaciół, prze-

de wszystkim lorda Actona (jest autorką poświęconej mu monografii oraz interesującego wyboru pism angielskiego historyka). Odpowiedziała, że to bardzo wąski krąg. Acton pozostaje w Stanach nieznanym, nawet na uniwersytetach. Hiltona Kramera, najbardziej chyba cenionego amerykańskiego krytyka sztuki współczesnej, zapytałem o jego faworytów. Z radością usłyszałem nazwisko Steinberga. Bardzo go interesuje abstrakcja: Motherwell, Pollock. W rzeźbie Nevelson (to już zupełnie poza moją wrażliwością). Hoppera ceni, Georgię O'Keeffe również. O sztuce Andrew Wyetha wyrażał się z nieukrywaniem lekceważeniem: pretensjonalny ilustrator. Kiedy podobną opinię wyraził w artykule, do *New York Times'a* napłynęła rekordowa ilość listów, jaką kiedykolwiek dostali na tematy artystyczne. Głosy oburzenia: jak można pisać w ten sposób o najbardziej amerykańskim artyście?

Pisać oczywiście wolno. Wyeth wyprodukował dużo słabych obrazów. Drażnią realizmem i jakimś zatrzaśnięciem wizji. Stworzył też dzieła znakomite. O dramatycznym napięciu. Czy to ja wpisuję napięcie w martwe płótno? Nie sądzę. Obrazy Wyetha są sugestywnym i znaczącym wyborem jakiegoś skrawka rzeczywistości. Otwarte okno, przeciąg wchłaniania prawie przezroczystą firankę. Precyzja szczegółu, gdy trzeba. W innych miejscach tylko rozświetlenie. Gra barw i linii. Nadmorska scena, ujęcie zaskakujące skrótowością i prostotą. Czego więcej trzeba? Tu naprawdę mistrzostwo leży w ograniczeniu. Każdy dodatek byłby gadatliwością, nudną pedanterią.

WHITNEY, METROPOLITAN

1 grudnia 1981, Nowy Jork

Przez International Visitors Center poprosiłem o pokazanie magazynów Whitney Museum specjalizującego się we współczesnej sztuce amerykańskiej. Miałem nadzieję zobaczyć nowe dzieła moich ulubieńców. Chciałem też skorzystać z okazji, aby dotrzeć do obrazów uwiecznionych, odciętych od publiczności. Pokazywane specjalnie dla mnie, domagały się specjalnej uwagi. Zyskiwały w moich oczach na wartości.

Przyszedłem, gdy muzeum było jeszcze zamknięte dla publicz-

ności. Byłem umówiony z kustoszem. Nim do niego dotarłem, długo wypisywano mi przepustkę, nalepiono mi specjalny znaczek plastikowy z godziną przybycia i celem wizyty. Poprosiłem przede wszystkim o Hoppera. Whitney ma jego najbogatszą kolekcję (co nie znaczy najlepszą). Hopper mało sprzedawał. Najpierw nie bardzo się nim interesowano, później on nie chciał sprzedawać, gdy nie był do tego zmuszony. Z rysunkami właściwie się nie rozstawał. Cały dorobek zapisał muzeum. Nie pokazano mi niczego. Wielka wystawa Hoppera objeżdża właśnie Stany. Teraz jest w Chicago, na zimę zawita do San Francisco. Nie udało mi się jej zobaczyć. Wszystkie Hoppery z magazynu są podobno na wystawie. Nie bardzo chce mi się wierzyć, bo legat ogromny i do niedawna nieskatalogowany.

Pokazano mi obraz Georgii O'Keeffe z 1928 roku. Biała lilia wyrrywająca się z czerwonego tła. Splot linii otwierających sekretne wnętrza, jakby żywy organizm, intymny, delikatny, aksamitny, niedosiężny. Na białoczarnym rysunku zobaczyłem rzekę z wąskimi dopływami. Dla mnie to Rio Grande latem, gdy zamiera w złaknionych wody ulubionych stronach Georgii O'Keeffe, między Taos a Santa Fe, wśród wąwozów, wypalonych słońcem pastwisk i rdzawych wzgórz.

Akwarela Andrew Wyetha, chyba wczesna, mogłaby stanowić odpowiedź na zarzuty Hiltona Kramera. Nie ilustrator ją namalował, lecz wizjoner. Pokój w czerwieni, błękicie, brązie. Dynamika plam i linii. Kontury płynne, tańczące. Nic z pedanterii. Transpozycja rzeczywistości pokrewna młodemu Hockneyowi.

Jak określić dzieło Saula Steinberga? Nazywa się *Self-Portrait Table (Stół autoportret)*. Na drewnianej desce nalepione dwa rysunki-autoportrety, podobne, lecz nie identyczne. Wokół steinbergowskie przedmioty. Ołówek wycięty w drzewie i pomalowany. Drewniana książka, na niej wymalowany niby drewniany ołówek. Lustrzane odbicia rzeczywistości i złudy. Pieczęcie o nieczytelnych, biurokratycznych napisach. Zawijasy egzotycznej tytulatury. W krajobrazie samotne postaci na tle łagodnego błękitu. Czymkolwiek jest to dzieło, tworzy całość, wizerunek autora, jeden z jego wizerunków, grę linii, poezji, barw, inteligencji.

Z Whitney do Metropolitan Museum, tym razem do egzotycznych dla mnie skrzydeł. Sztuka egipska, Daleki Wschód. Otwarto nową ekspozycję sztuki chińskiej. Zrobiona znakomicie.

Odtworzono dom i ogród uczonego z Seczuanu. Skały i delikatne rośliny, to co niezmiennie i to co rozkwita na chwilę. Wokół wystawa malarstwa w porządku chronologicznym. Inaczej nie potrafiłbym określić epok nawet w największym przybliżeniu. Często w muzeach ze sztuką Wschodu egzaminuję sam siebie: ten bogaty w szczegóły krajobraz to chyba wiek dziewiętnasty? Nie, trzynasty. Te ascetyczne skały i surowo naszkicowana gałąź zapewne wcześniejsze, może dwunasty? Nie, osiemnasty. Mylę się często o wiele stuleci. Wobec dzieł europejskich też mogę się pomylić, ale nie w ten sposób. Nie wezmę Van Eycka za Fragonarda, nie pomieszam Vermeera z Van Goghkiem. Moje wahania, gdy oglądam sztukę chińską, są tego rzędu. Wskazują na brak wiedzy i, co ważniejsze, na brak uwrażliwienia. Egzotywna, obca cywilizacja.

Z czasem jednak ta obcość olśniewa. Delikatny krzew na pierwszym planie, jeszcze drgający od wiatru, przysłania spowity parą strumień i piętrzące się tarasy skał. Namalował to artysta, który pragnął uchwycić przemijającą chwilę, gdy kwiaty śliw mają najdelikatniejsze płatki. Namalował przed Giottem i Ducciem. Obok dzieło innego artysty z tamtej epoki. Smukła gałązka zawieszona między dwoma wzgórzami naszkicowanymi w tle. Na niej ptaki odtworzone z precyzją Audubona i poezją Pisanella. Komentarz malarza chińską kaligrafią, stanowiący część obrazu: „Tak widział naturę książę Tan Tsi. Nieistotne ptaki, szczęśliwe, że uwiecznił je spojrzeniem mędrzec”.

Od chińskiego wydelikacenia przeskok do przeszklonego, olbrzymiego pawilonu. Na ukośną ścianę padał deszcz. Za szybami bezlistne już drzewa Central Parku i ściana wieżowców Piątej Avenue, mieszkania najzamożniejszych ludzi w Ameryce. Wewnątrz pawilonu masywne kamienie świątyni Dendur. Zachowała złocistą ociężałość, odbłask egipskiego słońca. Wzniesiono ją dwa tysiące lat temu nad brzegami Nilu na pamiątkę pochłoniętych przez rzekę młodzieńców. Samą świątynię też pochłonięłyby rzeka. Stała na terenach zalanych przez tamę assuańską. Rząd amerykański pomógł ratować zabytki. Na znak wdzięczności Egipt ofiarował jedną z ocalonych budowli społeczeństwu amerykańskiemu. Komisja prezydencka przyznała świątynię Metropolitan Museum, prywatnej przecież instytucji, bo ma ono najlepsze warunki ekspozycji. Zmarli w hieratycznym geście królowie, prezentujący bogom dary na ścianach świątyni, prezentują teraz swe idealne profile publiczności amerykańskiego muzeum.

ROSYJSKIE ZBIORY I AMERYKAŃSKIE PIENIĄDZE

2 grudnia 1981, Nowy Jork

Jedną z atrakcji Stanów są dla mnie wspaniałe kolekcje europejskiego malarstwa. Skąd się wzięły? Pojawiły się wcześniej, ale osiągnęły najwyższy poziom dopiero w dwudziestym wieku. Nie łatwo zdobyć obecnie arcydzieła dawnych mistrzów, pieniądze nie wystarczą. Ilość towaru na rynku jest przecież ograniczona. Głównym źródłem były arystokratyczne rodziny europejskie będące w kłopotach finansowych. Angielscy lordowie, książęta Rzeszy wyprzedawali na aukcjach rodowe skarby. Wiedzieli, że za oceanem dostaną najwyższą cenę. Potok dzieł trwał nieprzerwanie. Przybywały także z Polski. Rodzina Tarnowskich sprzedała *Lisowczyka*, jedno z niewielu arcydzieł będących w polskich rękach. Obecnie jeździec Rembrandta stanowi ozdobę Frick Collection w Nowym Jorku. *Tryptyk de Mérode* Mistrza de Flémalle, perła średniowiecznych zbiorów w Cloisters, należał do książąt de Mérode od niepamiętnych czasów. Sprzedany został potajemnie za milion dolarów. Waszyngtońska National Gallery szczeni się delikatną i chłodną *Ginevrą de' Benci*, jedynym obrazem Leonarda poza Europą. Został kupiony od księcia Lichtensteinu. Cenę za obopólną zgodą zatajono. Wiadomo, że była astronomiczna.

Ważnym źródłem waszyngtońskiej National Gallery były kolekcje rosyjskie. Po rewolucji przybyła na Zachód fala emigrantów. Niektórzy przywieźli ze sobą ocalone resztki zbiorów. Stanowiły dla nich źródło utrzymania. Książę Feliks Jusupow, zabójca Rasputina, zachował przy sobie *Portret damy z wachlarzem ze strusich piór*, jeden z najpiękniejszych portretów Rembrandta. Sprzedał go w 1921 roku do filadelfijskich zbiorów Widenera z klauzulą, że jest do tego kroku zmuszony okolicznościami, lecz zastrzega sobie prawo odkupienia dzieła, gdy sytuacja w jego ojczyźnie ulegnie zmianie... do 1924 roku. Głównym dostawcą amerykańskich zbieraczy nie byli jednak zbiedniaли emigranci, lecz nowi władcy porewolucyjnej Rosji. Odwróciła się karta. Obrazy, niegdyś namiętne kupowane przez carów, teraz wyprzedawali nowi carowie, aby zdobyć fundusze na międzynarodową działalność rewolucyjną.

Katarzyna rozpoczęła gromadzenie zachodnich kolekcji. Jej wysłannicy przy europejskich dworach mieli za zadanie śledzić ważniejsze aukcje. Kupowała obrazy od Fryderyka Pruskiego

(m.in. Rembrandta *Szlachcic polski, Józef oskarżany przez żonę Putyfara, Turek*). Z kolekcji Crozat, zdobytej przy pomocy Diderota, zawędrowały Rembrandta *Dziewczyna z miotłą* i *Kobieta trzymająca goździk* oraz *Święty Jerzy ze smokiem* Rafaela. Ze zbiorów Walpole'a caryca nabyła wielkie portrety Van Dycka, *Innocentego X* Velasqueza, *Portret młodego mężczyzny* Halsa. Po jej śmierci fala zakupów trwała. Aleksander I uzyskał *Pokłon Trzech Króli* Botticellego. Mikołaj zdobył *Madonnę Alba* Rafaela, *Wenus z lustrem* Tycjana, *Zwiastowanie* Van Eycka. Wszystkie te dzieła powędrowały na przełomie lat dwudziestych do Stanów, do kolekcji Mellona. Obecnie są ozdobą waszyngtońskiej National Gallery.

Decyzja o wyprzedazy skarbow sztuki zapadła potajemnie. Wiadomo, że sprzeciwiali się jej kuratorzy muzeów. Podjął ją Mikołaj, zapewne z polecenia samego Stalina. Jeden z pracowników Ermitażu opisuje, jak kazano mu wiosną 1930 roku zostać wieczorem w muzeum, zdjęć z galerii *Zwiastowanie* Van Eycka, przekazać je wysokiemu dygnitarzowi, a na pustym miejscu powiesić inny obraz. Wkrótce Van Eyck znalazł się za oceanem. Od tych czasów nie publikowano katalogu rosyjskich zbiorów. Nie wolno było zamieszczać reprodukcji takich dzieł jak *Madonna Alba* Rafaela, *Portret Innocentego X* Velasqueza, *Wenus z lustrem* Tycjana. Przedostawały się cichaczem, lecz z oficjalnym błogosławieństwem na Zachód, głównie do kolekcji Mellona. W początkowym okresie rząd sowiecki sprzedawał na licytacjach, przeważnie w Wiedniu i Berlinie, skonfiskowane mienie, srebra, biżuterię, meble. Wyniki były mizerne. Otrzymywano skromne ceny. Bano się także procesów, wytaczanych przez emigrantów, którzy odnajdywali swoje dobra w zachodnich antykwariatach. Zaczęto więc wyprzedawać arcydzieła Ermitażu.

Wysyłano je po kryjomu. Transakcje odbywały się w dziwnej atmosferze. Jeden z wystanników spędził kilkanaście dni zamknięty w leningradzkim hotelu, gdzie objadał się kawiozem. Nie pozwolono mu z nikim rozmawiać. Wreszcie nadeszła oczekiwana decyzja. Na sprzedaż były — wiemy to obecnie z powoli odsłanianych amerykańskich źródeł, w Rosji wciąż panuje milczenie na ten temat — prawie wszystkie skarby w narodowych zbiorach. Kupno zależało tylko od zgody na proponowaną cenę. Ogółem wpływy władz sowieckich ocenia się na około piętnastu milionów dolarów. Mellon, główny nabywca, wydał około siedmiu milionów. Władze żądały zawrotnych cen. Inna rzecz, że dzisiaj nie są to kwoty olbrzymie. Chwila skąpstwa spowodowała, że dwa spośród największych arcydzieł malarstwa światowego, dwa

dosłownie bezcenne dzieła z Ermitażu, *Judyta* Giorgiona i *Madonna Benois* Leonarda, nie znajdują się w Ameryce.

To Caloust Gulbenkian, anglo-ormiański magnat naftowy, namówił władców sowieckich do wyprzedazy narodowych kolekcji. Później, uniesiony ambicją przy jakimś niepowodzeniu, przestał interesować się obrazami z Ermitażu. Żałował tego całe życie, a Andrew Mellon zdobył wspaniały łup. Gulbenkian zdołał jednak zrealizować swoje marzenie, kupić jeden z najpiękniejszych portretów Rubensa, *Helene Fourment*. Pakowano to dzieło w Ermitażu nocą. Skrzynie zbijano przy blasku świec. Rubens wyjeżdżał na Zachód.

STRAWIŃSKI HOCKNEYA

3 grudnia 1981, Nowy Jork

Na premierę składanki trzech utworów Strawińskiego czekałem z niecierpliwością. Ciekawy byłem przede wszystkim dekoracji Hockneya. Chciałem się także przyjrzeć premierowemu nastrojowi. Metropolitan Opera wytwarza elektryzującą atmosferę. Napięcie przed podniesieniem kurtyny, zwłaszcza gdy następuje to po raz pierwszy, brawa po jej opadnięciu, a podczas spektaklu przymierzanie oczekiwań do wrażeń, wszystko to stanowi ważny element teatralnej magii.

Rok temu w tym samym gmachu odbyła się premiera innej składanki, *Parady*, również w dekoracjach Hockneya i w reżyserii Johna Dextera, trzech krótkich utworów francuskich z początku wieku: balet Erica Satie oraz opery Poulenca i Ravela. Składanki — i to różnych autorów, różnych rodzajów — rzadko odnoszą sukces. *Parada* spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem. Czytałem wiele recenzji, oglądałem reprodukcje dekoracji Hockneya, rzeczywiście znakomitych. Była to parada lekkości, swobody. Czy muzyka Strawińskiego, mierząca wyżej, potężniejsza, nie przytłoczy sceny, dekoracji, śpiewaków, baletu?

Na wieczór Strawińskiego, uczczenie setnej rocznicy urodzin, wybrano balet *Święto wiosny*, krótką operę *Le Rossignol* (śpiewaną po rosyjsku) i operę-oratorium *Oedipus Rex* (śpiewaną po łacinie). Kto wystawia te utwory, przywołuje cień Diagilewa, całą rewolucję w teatrze, w sztuce po prostu, związaną z jego imieniem. Skład i kolejność nowojorskiego wieczoru nie są przypadkowe. Ostre zmiany widzenia: gwałtowny pogański mit

inicjacyjny, delikatna przypowieść chińska, grecko-współczesna parabola. Jaką wyznaczyć linię od maksymalnej energii *Święta wiosny* przez wyszukanie *Słowika* do podniosłej tragedii *Króla Edypa*? Sukces wieczoru zależał od znalezienia wspólnego mianownika, który nie zniszczyłby oryginalności trzech elementów. Zrobił to Hockney.

Nie naśladował ani symbolicznego bogactwa Roericha, ani chińskiej ornamentyki Aleksandra Benois. Znalazł również własne rozwiązanie dla plastycznej ascetyczności i braku dekoracji w *Edypie*. Wszystkie trzy sztuki dotyczą mitu, więc rozgrywają się w maskach. W *Święcie wiosny* twarze są pomalowane, w chińskiej bajce wycięte z tektury i unoszone nad głowami, w *Edypie* protagoniści nakładają stylizowane maski, gdy mają wypowiedzieć swoje kwestie. *Święto wiosny* jako wizja ruchu, koła zacieśniającego się, kuszącego zmiennymi barwami, rozerwanego. Drastyczna przypowieść dionizyjska o głosie natury, o krwi, pragnieniu, inicjacji, śmierci, znalazła w kolorach Hockneya świetne dopełnienie. Ani ilustrację, ani komentarz, właśnie dopełnienie. Choreografia mniej mi się podobała niż zmienna gra światła. Zawrotnie trudne zadanie. Grozi pokusa symbolizmu bądź (daremnego) weryzmu. Programowy, można by powiedzieć ideologiczny erotyzm *Święta wiosny* paradoksalnie utrudnia wydobycie erotycznego klimatu. Brakowało dystansu, niedopowiedzenia, gry napięć. Przed laty widziałem w Operze Paryskiej *Święto wiosny* bodajże w choreografii Bėjarta. Bardziej wydobyła ekstacyjny charakter wiosenno-zmysłowego tańca. W obecnym przedstawieniu dekoracje i cała plastyczna strona silnie narzuciła się wyobraźni.

Słowik oparty jest na baśni Andersena o cesarzu, mieszkającym w pałacu tak cennym i kunsztownym, jakby był z błękitnej chińskiej porcelany. Takie są dekoracje Hockneya: białobłękitne. Tylko mechaniczny japoński słowik, mający w drugiej odśłonie zastąpić śpiew prawdziwego, razi złotem piór, czerwienią dziobu i rubinowymi błyskami szklanych oczu. W wywiadzie dla *New York Times* Hockney opowiadał, że przez dwa tygodnie chodził do zbiorów porcelany w Victoria and Albert Museum szukając kolorystycznej inspiracji. Natalia Makarowa tańcząca partię *Słowika* i Anthony Dowell jako Rybak, po raz pierwszy występujący w Metropolitan, byli znakomici.

Najbardziej podobała mi się inscenizacja *Króla Edypa*. Widziałem go kiedyś w Warszawie. Łaciński tekst, nowoczesny patos znudziły mnie śmiertelnie. Dotąd pamiętam uczucie pod-

niosłej, zakurzonej, pretensjonalnej pustki. Może przez kontrast teraz miłe zaskoczenie. Libretto w oparciu o sztukę Sofoklesa napisali Jean Cocteau i Strawiański, na łacinę przetłumaczył je Jean Daniélou, przysły kardynał. Tragedia rozgrywa się na nagiej scenie. Narrator, ubrany w wieczorowy strój, komentuje akcję w języku zrozumiałym dla widza. Hockney dochował wierności tym sugestion, ale je wspaniale przetworzył. Na scenie namalował krwawoczerwony krąg i postawił czerwoną ścianę. Przez dwa trójkątne wgłębienia, dwie bramy, przechodzą z głębi postaci biorące udział w danym momencie akcji. Światło modeluje różne odcienie czerwieni. W końcowej scenie Edyp nakłada odmienną maskę. Reflektor powoli wydobywa ją z ciemności. Z oczu spływają jaskrawo czerwone ogniste języki. Muzyka towarzyszy oczyszczeniu. Intensywna, trzymająca w napięciu, uderzająca w finale dramatyczną prostotą.

Kurtyna opadła. Na niej niebieskie, zielone i czerwone koło, takż perspektywicznie ukazany prostokąt i napis „Igor Stravinsky. 1882”. Kiedy wśród braw ukazał się olbrzymi zespół wykonawców wszystkich trzech sztuk, ułożył się w skomplikowany, lecz harmonijny ornament jakby z wczesnych płócien Hockneya: zielone tuniki ze *Święta wiosny*, błękitni mandaryni, greccy władcy w smokingach, dyrygent we fraku oraz Hockney i reżyser w czarnych, wyszukanie spokojnych garniturach.

GUGGENHEIM MUSEUM

4 grudnia 1981, Nowy Jork

Na ślimacznicy Guggenheima przespacerowałem się raz jeszcze po wystawie rosyjskiej awangardy z legendarnych już zbiorów Costakisa. Bardziej niż obrazy interesuje mnie kolekcjoner. Dziwna postać. Grecki przemysłowiec przebywał od lat czterdziestych w Moskwie (?), prowadził tam interesy (?), miał obszerne mieszkanie (?), kupował zakazanych wówczas awangardzistów (?). Nabywał dzieła Tatlina czy Malewicza za śmieszne pieniądze. W to chętnie wierzę. Ich właściciele z radością pozbywali się obciążającego materiału. Kolekcja rosła. Przedstawiała — na Zachodzie — milionową wartość. Władze sowieckie nie chciały jej wypuścić. Wreszcie Costakis dokonał podziału. Zostawił znaczną część zbiorów w Moskwie. Co wywiózł, stanowi nadal fortunę. Strona artystyczna tych dzieł mało do mnie

przemawia. Nie mam zapewne obiektywnego spojrzenia. Wiem jednak, jakie to pieniądze. Wiem, że pokazano obrazy znaczące dla historii awangardy. Widziałem je już raz, to by mi wystarczyło.

Wróciłem do Guggenheima, bo właśnie otworzono wystawę Morandiego. Dla Morandiego, lecz ze szczególną myślą o Józefie Czapskim, który wielbi to malarstwo. W artykułach i rozmowach Józefa Czapskiego martwe natury Morandiego powracają jako przykład sztuki czystej. Kilka butelek na białym tle, kolory tylko lekko zaznaczone, ale jak precyzyjnie zestawione. W tych zestawieniach, w ciągłych wariacjach na jeden temat zamyka się świat Morandiego. Pokora wobec natury i wobec rzemiosła, nieskończone możliwości wydobyte z ascetycznego powtarzania pozornie wciąż tych samych przedmiotów.

Wystawa ułożona w porządku odwrotnym do chronologicznego. Najpierw znane mi martwe natury i kilka pejzaży, cichych, delikatnych, brzmiących czystym tonem, zmuszających spojrzenie do wykrywania minimalnych odcieni form i barwy. Potem wcześniejsze dzieła, im bliżej początków, tym bardziej nowoczesne — w sensie związku z awangardową modą. Najwcześniejsze martwe natury, zaskakujące, z czasów, gdy Morandi był obok Carrà i Giorgio de Chirico czołowym przedstawicielem szkoły metafizycznej. Na płótna wdzierają się literatura. Czytałem rozprawę o malarstwie zamiast oglądać obrazy.

Na dole muzeum przebyłem w wyobraźni drogę odwrotną. Zawróciłem od punktu startu ku dokonaniom późniejszym. Śledziłem oczyszczanie się z programowości. Ograniczanie pola malarstwa. Kolory cofały się przed krzykliwością w cień, wyblakłe, stonowane, doskonałe. Myślałem o dziełach młodego Corota, o jego rzymskich pejzażach, o zestawieniach kilku barw znakomicie współbrzmiących, tworzących martwe natury miasta, widoki o delikatnej intensywności snu. Czasem w rozpalony od słońca dzień powietrze we Włoszech drga pod powiekami. Porażonym oczom kolory ukazują się jakby wyblakłe, pokryte wybielającą warstwą. Jak na martwych naturach Morandiego.

To nie koniec pobytu u Guggenheima. Przy wyjściu afisz: Wieczór poezji Jamesa Merrilla. Dzisiaj. Właśnie teraz. Zaczął się dwie minuty temu. Kupiłem bilet i poszedłem. Z Jamesem Merrillem spotkałem się przed kilkunastu dniami. Nic mi nie powiedział o swoim wieczorze. Może nie chciał, bym się czuł zobowiązany do pójścia? Poszedłbym na pewno. Cenię poezję Merrilla. Interesuje mnie jego postać, bo przecież łączy się

w mojej wyobraźni z pierwszym pobylem w Stanach. Otrzymałem wówczas, traktuję to jako dar od Miriam i kilku przyjaciół, stypendium Ingram Merrill Foundation. Nic nie wiedziałem o tej Fundacji. Została założona przez Jamesa Merrilla, poetę, spadkobiercę wielkiej firmy maklerskiej Merrill Lynch. Nic nie wiedziałem o tym poecie. Autor formalnie wyszukanych, hermetycznych wierszy, laureat wielu nagród. Przebywa pół roku w Connecticut, a pół w Grecji.

Nie spotkałem go podczas pierwszego pobytu w Stanach. Nie udało mi się spotkać nikogo z fundacji. Rozmawiałem tylko przez telefon. „Jeżeli pan będzie miał jakieś kłopoty, proszę zadzwonić. Życzę miłego pobytu”. Zrozumiałem, że najbardziej boją się, abym im przypadkiem nie zwracał głowy. Od powrotu ze Stanów śledziłem ze szczególnym zainteresowaniem twórczość Jamesa Merrilla. Były to jego lata rozkwitu. Opublikował trzy obszerne poematy, o misternej, skomplikowanej kompozycji. Właściwie jeden poemat w trzech częściach. Utwór niezwykły. Dzisiaj się takich dzieł nie pisze. Z czym je porównać? Z *Don Juanem* Byrona? Z listami poetyckimi Audena? Z fragmentami *Ziemi jałowej*? To nie to. W poemacie Merrill i jego przyjaciel, David Jackson, rozmawiają z żywymi i umarłymi, przywołują duchy Audena, greckiej chłopki pomagającej im w gospodarstwie, Ephraima, który zmarł w Egipcie przed kilku tysiącami lat, a teraz czeka na nowe wcielenie. Rozmawiają z duchami poetów, z duchem poezji. O sztuce, o życiu, o plotkach, o miłości, o śmierci i podróżach. O wszystkim. Gdyby połączyć *Beniowskiego* i *Genesis z ducha*, przełożyć na artystyczny i krytyczny język dwudziestego wieku... Zresztą porównania nie mają sensu. Merrill stworzył dzieło nowe.

W czasie spotkania wydał mi się sympatyczny, choć trudno uchwytny. Mówił o poezji. Czuje się bardziej związany z tradycją niż ze współczesnością. Nie chciałby umieszczać się na linii rozwojowej gatunków literackich. Nie wierzy w wykresy. Bliski mu jest Donne i metafizycy, Pope, Byron jako autor *Don Juana*, oczywiście Auden. Z innych literatur Mallarmé i Rilke. Chciałby zastosować wobec angielskiego podobne zabiegi składniowe do tych, jakie Mallarmé narzucił francuzczyźnie. Ze współczesnych podziwia Elisabeth Bishop, lubi Philipa Larkina. A plany pisarskie? Ma umówione spotkanie z bohaterami swego poematu w Bombaju w 1991 roku, jeśli dożyje. Ich duchy zjawiają się na pewno. Gdy będzie trzeba, i on zleci duchem.

U Guggenheima recytował znakomicie fragment ostatniego

poematu. W jego poezji słyhać wiele głosów. Szybki rytm, kontrapunkt melodii, fala unosi słuchacza, narzuca tempo rozmowy, tempo stylu. Odbiegałem od Merrilla, dawałem się unosić jego słowom i nagle spostrzegałem się daleko, wśród słów polskich, doskonale mi posłusznych. Wśród słów? Wśród melodii raczej. W melodii. Przez głowę przebiegały obrazy i znajdowały właściwą formę. Nigdy takiej nie utrwałę na papierze. Zanikały koślawe przymyki. Nie byłem więźniem małostkowych zaimków dzierzawczych. Nie ciągnąłem za sobą balastu potrójnych przymiotników. Słowa nie dziwiły się sobie, nie zawadzały. Ponad więzami gramatyki odważnie podawały sobie ręce odległe obrazy. Kiedy chciałem się im przyjrzeć, zatrzymać w zdanie, znikały.

FRICK COLLECTION

5 grudnia 1981, Nowy Jork

Jaki jest najpiękniejszy obraz? Trzech największych polskich poetów? Takie sportowe punktowania nie mają sensu. Czasem mają. Kogo wolisz: Balzaca czy Stendhala, Dostojewskiego czy Tołstoja? Niekiedy nie chce mi się odpowiadać i dzielenie ludzi na zwolenników Pascala bądź Montaigne'a wydaje mi się z gruntu fałszywe. Niekiedy jednak chciałbym znać odpowiedź. Porządkujemy jakoś świat i mamy jakieś preferencje. Wyścigi: rozpedzony biskup Krasicki mija na zakręcie Trembeckiego. Preferencje ulegają zmianie: Franciszek Karpiński na moment zajmuje czoło stanisławowskiego peletonu (przeczytałem *Pieśń o Narodzeniu Pańskim* i *Mazurek*). Po chwili biegacze nikną w mroku.

Jakie jest najpiękniejsze muzeum? Nie wiem. Raczej zestawiałbym sale bądź obrazy. Wiem jednak, jakie jest najpiękniejsze małe muzeum. Nazywa się Frick Collection. Mieści się w Nowym Jorku na Piątej Avenue przy Siedemdziesiątej ulicy. Kto przeciw? Nie widzę. Kto się wstrzymuje? Nie widzę. Kto za? Entuzjazm. Dziękuję. Małe muzeum, nie przygniata ciężarem. Kilka sal można szybko obejść i odnaleźć faworytów. Obrazy zestawione nie wedle chronologii i szkół, lecz zgodnie z duchem kolekcji. Zarazem jest tu dość arcydzieł, aby nikt się nie nudził. Kto zaś nie chce oglądać malarstwa, może odpocząć w ogrodzie zimowym, wśród storczyków. Sale wydają się

żywe, jakby właściciel jeszcze tu mieszkał. Zbiory Fricka, nie encyklopedia historii sztuki. Zbiory wspaniałe.

Kim był? Pochodził z farmerskiej rodziny. Majątek zrobił w Pittsburgu (jak Mellonowie, inni wielcy kolekcjonerzy). Stworzył kompanię koksowniczą. Był współtwórcą United States Steel Corporation. Miliony, ale nic nie zapowiadało pasji artystycznych. Musiała się jednak zrodzić wcześniej. Kiedy jako młodzienc zamierzał pożyczyć większą sumę od banku Mellonów, Thomas Mellon ocenił wiarygodność dłużnika: „Dobrze zbudowane piece koksownicze, właściciel codziennie w fabryce, wieczory spędza na prowadzeniu ksiąg, może zbyt entuzjastycznie się obrazami, nie na tyle jednak, aby szkodziło to interesom. Pięniądze pożyczyć”.

W wieku trzydziestu lat dorobił się pierwszego miliona. Wyruszył w kilkumiesięczną podróż po Europie. Towarzyszył mu dwudziestosiedmioletni Andrew Mellon. Co oglądali i o czym rozmawiali przyszli założyciele dwóch najwspanialszych muzeów amerykańskich? Frick zaczął kolekcjonować modnych artystów, dziś zapomnianych, Bouguereau, Alma Tadema, ale też szkołę barbizońską. W 1901 nabył pierwszego ze swych Turnerów, pierwszego Vermeera, pierwszego Moneta. Wkrótce później *Świętego Hieronima* El Greca, Tycjana, Velasqueza. W 1910 kupił od Tarnowskich z Dzikowa *Lisowczyka*. Zawsze interesował się osiemnastowiecznym malarstwem angielskim, potem przyszła kolej na Francuzów, na rzeźbę renesansową (w muzeum obejrzeć można niewiarygodną kolekcję florenckich małych brązów).

Ostatnim jego zakupem była *Pani i Służąca* Vermeera. Ten obraz dołączył do grupy jego ulubionych dzieł, do *Autoportretu* Rembrandta, *Sir Thomasa More* Holbeina, *Filipa IV* Velasqueza i *Ekstazy św. Franciszka* Belliniego. To wówczas, w 1919 roku, gdy pokazywał Vermeera przyjacielowi, Frick wyraził pragnienie, aby jego kolekcja została otwarta dla publiczności. Zostawił w testamencie legat, dzięki któremu zbiory nadal są uzupełniane. Takie arcydzieła jak fragment *Maestà* Duccia, monochromatyczny Breughel, ołtarz Van Eycka zakupiono już po śmierci założyciela, lecz tak świetnie dopasowane są do charakteru zbiorów, że nie czujemy różnicy. Może najlepszym dopełnieniem kolekcji jest portret hrabiny d'Haussonville przyglądającej się w korytarzu gościom. Bez wątpienia młoda dama czuje się u siebie w domu.

Zwiedzający także czuje się w domu. Nic z muzealnej sztywności. Kwiaty w wazonach, fotografie na stołach, swobodny

dostęp do obrazów. Zostaliśmy dopuszczeni do wspaniałej siedziby. To dla nas zgromadzono szczególnie udane dokonania artystyczne. Możemy kontynuować dzieło Fricka, wybierać wśród artystów wybranych. Większość zwiedzających kieruje się od razu ku dwóm salom francuskim. W jednym pokoju na ścianach dekoracje Bouchera dla Madame de Pompadour, kokieteryjnie poważne, w drugim Fragonard wymalował dla Madame du Barry swawolnie wzniosłe sceny miłosne. Wolę przystanąć najpierw w małym korytarzu. Tam, przedzielone światowo słodkimi panieczami François Huberta Drouais, dwa arcydzieła Vermeera. Które wybrać? Nie potrafię się zdecydować. *Oficer i śmiejąca się dziewczyna*: wybiegająca skosem ku widzowi czerwona plama oficerskiego kubraka; światło padające na kobietę, na delikatne kontury mapy; twarz dziewczyny, uśmiechnięta, bezosobowa, zmysłowa; jedna ręka trzyma szklankę z winem, druga zachęcająco wyciągnięta ku mężczyźnie. *Lekcja muzyki*: vermeerowskie wnętrze, oparcia krzesel wybite połyskliwymi guzami, zwieńczone głowami lwów, na stole błękitna karafka, na ścianie obraz, ledwie widoczny cień Amora, młoda kobieta w czerwonym kaftanie nie uśmiecha się, patrzy intensywnie ku widzowi.

W salonie z kominkiem tylko kilka obrazów, każdy najwyższej miary. To serce galerii. Mistyczno-toskański *Święty Franciszek* Belliniego otoczony dwoma Tycjanami: towarzysz weneckich orgii *Pietro Aretino*, w różnych odcieniach brązu wizerunek energii, i delikatnie giorgionowski *Młodzieniec w czerwonym berecie*. Nad kominkiem hieratyczny, ascetyczny, amarantowobiały *Święty Hieronim* El Greca wodzi palcem po Piśmie. Po jego bokach dwa jakże odmienne wcielenia stanowczości, politycznego działania i życia wewnętrznego, dwa Holbeiny jakby cięte w kamieniu: *Thomas Cromwell*, surowy, skupiony, przekonany o swojej misji, i jego ofiara, *Sir Thomas More*, równie zajęty, samotny.

Korpus zbiorów mieści się w największej sali. Nigdzie chyba nie można spotkać takiego zestawu nazwisk i dzieł. Wkrótce obrazy zaczynają wirować w oczach. Gwałtowna *Kuźnia* późnego Goyi. Wysoki portret El Greca: studium zieleni, srebra, bieli i brązu. Królewski wizerunek Velasqueza. Ostatni Vermeer o spokojnych tonach odcinających się od czarnego tła. Dojrzały Rembrandt w złocistej szacie patrzy z autoportretu. Przepych Veronese'a z włoskiego pałacu. Dworska wyniosłość Van Dycków. I jeszcze La Tour. I Turner. I wśród nich oprowadza mnie młodzieńczy jeździec Rembrandta, samotny, tajemniczy. Wszystkich obrazów i tak nie zapamiętam. Zawsze będę miał do czego

wrócić. Więc jeszcze ostatnie spojrzenie wymienione z młodziutką hrabiną Ingres'a. Zostawiam ją na straży zbiorów do mojej następnej wizyty.

CIENIE

6 grudnia 1981, Nowy Jork

Czasami wydaje mi się, że Nowy Jork to zwyczajne miasto, nowoczesne, nie piękne, lecz interesujące jako odbicie naszej i przyszłej epoki. Tocqueville'owskie miasto, mówię do siebie, drażniąc i siebie, i cień Francuza, ale coś w tym tkwi z prawdy: miasto równości wobec prawa i niewiarygodnej nierówności sytuacji, miasto frenetycznej aktywności, po której niewiele zostaje trwałe. Wspina się coraz wyżej, jeszcze wyżej, wzdłuż szklanych, monottonnych ścian.

Czasami wydaje mi się, że Nowy Jork świadomie wyrzeka się urody. Dostrzegam tę odmowę na stacjach metra, w szarości ulicznego tłumu, w otwartej szpetocie budynków, w przeciwpożarowych schodach nachalnie biegnących w dół po elewacjach. Jakie jutro rysuje się na ulicach, jeśli Nowy Jork to miasto jutra? Czy chcę takiej przyszłości? Śmieci tańczące z wiatrem w niedzielne popołudnie po Trzydziestej Czwartej ulicy przed największym ponoć domem towarowym świata? Zmęczony tłum pośpiesznie mijający mnie przy wejściu do jamy metra? Inwazja aparatów elektronowych, szybkiej muzyki, szybkiego jedzenia? Nie chcę.

Nie odrzucam przyszłości. Wbrew powszechnej opinii o ludziach ceniących historyczne dziedzictwo, w jednym nie mam nic z konserwatysty: nie chciałbym powrócić w przeszłość. Więcej: nie wydaje mi się, aby świat zmierzał ku gorszemu. Jeszcze więcej: sędzę, że cywilizacja zachodnia otwiera coraz szerszej grupie ludzi coraz większe możliwości. Umasowienie kultury łączy się z obniżeniem pewnych wartości i zagrożeniem innych, to jest ryzyko związane z wyborem demokracji wolnościowej. Czy Nowy Jork nie narzuca jednego munduru: przemijalności, samotności, czy nie godzi w istotę demokracji wolnościowej?

Nie bardziej chyba niż inne miasta, mówię do siebie, to przecież normalne, choć frapujące zbiorowisko ludzkie. „Czyż-

by?” — Odpowiada mi Nowy Jork. Tak było dzisiaj. Nie, nie potrafię traktować tego miasta obojętnie, nie zdołałem jeszcze przywyknąć. Wracalem z muzeum mroczną i pustą Madison Avenue. Czasem niebo z agresywnie granatową kotarą chmur bywa wieczorem ciemniejsze niż w nocy. Lodowaty wiatr zatykał dech. Chwiał kikutami bezlistnych drzewek, wzdłuż jednego bloku wyrwanych z ciemności pajęczyną małych lampek. Świąteczne dekoracje powodowały, że zmrok i wiatr, i pustka stawały się przez kontrast bardziej intensywne. Czekałem długo na autobus. Chłód przeniknął do kości. Pójść w miasto? Ogłuszyć się muzyką w jakimś barze? Przyjrzeć się zagubieniu, pragnieniom, otwarciu na możliwości — jakie?

Wybrałem bibliotekę. Szedłem sam po ciemnym dziedzińcu Columpii. Patrzyły na mnie wysokie gmachy wydziałów oczami światła i ciepła. Wiatr przewiewał pusty plac od Hudsonu po ulice Harlemu. Uderzyła mnie nagle dziwność tych świetlnych prostokątów w intensywności nocy, tych gmachów w tym mieście, mnie zagubionego w środku tego wszystkiego. Wrażenia osaczały, domagały się reakcji, wytrącały z równowagi, raniły. Nie, dobre czy złe, to nie jest zwyczajne miasto. Potrafi nagle dotknąć czułych miejsc. Czym? Przecież nie pięknem ani niezwykłym ruchem, ani zapisami tradycji, ani perspektywą przyszłości. Czym?

Wracalem do mieszkania pod górę Hillside Avenue. Wiatr ciał mocniej. Musiałem zatrzymać się w zagłębieniu jakiegoś domu. Przede mną na parkingu niedzielne gazety śmigały po dachach samochodów. Ze skarpy potężna, pozbawiona wdzięku sylwetka budynku napierała zwartą kolumną okien. Znam te długie korytarze i szeregi mieszkań, każde zamknięte w sobie. A jednak światła tego domu, ulica przecież znana, przedtem dziedziniec uniwersytecki zaatakowały mnie jako coś zewnętrznego, obcego. To chwile wrażliwości odsłoniętej. Miasto rzuca cień. Kieruje mnie ku sobie — czyli ku mnie i ku niemu. Nie pozwala zapomnieć o swej obecności, choćby banalnej. Czym działa? Dlaczego z taką siłą? Nie szukam już odpowiedzi. Nie wiem, czym jest dla mnie Ameryka, czym jest Nowy Jork. Za późno? W czasie poprzedniego pobytu zdawało mi się, że wiem. Za wcześniej? Nie przestaję reagować na ten kraj, na miasto. Przeciwnie, działa z wręcz bolesną wyrazistością. Szukam tu ważnych dla mnie cieni. Nie chcę zniszczyć dotykami ich cieniściego charakteru. Chciałbym tylko zapamiętać te cienie i te chwile, gdy mignęły mi przed oczami.

7 grudnia 1981, Nowy Jork

W *New York Times Magazine* artykuł Brzezińskiego atakujący politykę zagraniczną Reagana oraz sylwetka Irvinga Kristola, patrona nowej prawicy. W czasie podróży spotkałem ich obu. Brzeziński powinien mi być raczej obcy czysto politycznym temperamentem. Kristol, zainteresowany ruchem idei, zdawał mi się bliski. A jednak wypadło odwrotnie. Spotkanie z Kristolem sprawiło zawód. Mówiliśmy obok siebie — a raczej on mówił mijając się z moją wrażliwością i oczekiwaniami. Nie wzbudził zainteresowania. Może nie chciał? Może. Nie potrafiłem po tym spotkaniu niczego zanotować. Teraz, po przeczytaniu jego sylwetki, moja reakcja wydaje mi się jaśniejsza.

Mieliśmy się spotkać upalnego październikowego dnia w New York Athletic Club. Przyszedłem kilka minut wcześniej. Z uśmiechem myślałem: byle tylko nie zmuszał mnie do rzucania kęgli lub podnoszenia ciężarów, do czego z uporem chciał mnie namówić gościnny mormoński przemysłowiec w klubie sportowym w Salt Lake City. Okazało się, że New York Athletic Club jest elitarnym przybytkiem, ulubionym miejscem spotkań konserwatywnych polityków i ludzi biznesu. Wymagają tam marynarki i krawatu. W gorący dzień chodziłem tylko w koszuli. Poszliśmy obok do hotelowego baru.

Niewysoki, uładzony, mówi spokojnie. Odpowiadał na własne pytania. Słyszałem analizy wyćwiczone w licznych dyskusjach intelektualnych. Nie zdołałem wytrącić go z utartego szlaku nowojorskich sporów. Wyłożył swoje koncepcje. Kryzys amerykański jest przede wszystkim kryzysem duchowym, kryzysem tożsamości. Obecnie widać oznaki przezwyciężania tego kryzysu: powrót do religijności, zrozumienie roli rynku, podjęcie odpowiedzialności w polityce światowej. Istnieją nadal oazy zagubionych intelektualistów, zwłaszcza na uniwersytetach. Jednak prąd się odwrócił. Neokonserwatyzm nie jest tylko modą, jest zjawiskiem głębszym. Zamknął się pewien etap w dziejach Zachodu. Obserwujemy koniec modernizmu, kultu wybujałej osobowości, często poświęcającej się na rzecz ideologii społecznej (nawet gdy państwowej, zwłaszcza wówczas).

Kristol nie znał tekstu François Fureta o dokonującym się na naszych oczach końcu rewolucji francuskiej, zmierzchu jej wpływu na życie społeczne oraz ideologiczne Zachodu. Przed-

stawiał mniej subtelnie i błyskotliwie podobną tezę. Wyciągał z niej skrajnie konserwatywne wnioski: społeczeństwo opiekuńcze nie zdało egzaminu, nie usunęło przestępczości, podważyło instynkt współzawodnictwa, będący motorem postępu. Problem murzyński polega na rozbiciu rodzin. Zbrodnie popełniane są głównie przez młodych mężczyzn, wychowanych bez ojców. Banda jest ich rodziną, utożsamiają się z jej kodeksem wartości. Dotychczasowy system opieki społecznej sprzyjał porzucaniu dzieci przez ojca. Matka dostawała wówczas większy zasiłek. Wniosek: cofnąć zasiłki, zmusić do pracy.

W jego wywiadach można przeczytać dużo podobnych wypowiedzi. Występuje przeciw darmowym obiadom w szkołach. Niech młodzi nauczą się, że nie ma nic za darmo. Programy pomocy przeznaczone tylko dla biednych są błędem. Korzystają na nich przede wszystkim liberalni profesorowie, autorzy tych programów, cała nowa klasa społecznych inżynierów zarabiających na walce z nędzą. A nędza w państwie opiekuńczym nie znika. Zależność skłania do korupcji. Zależność absolutna powoduje korupcję absolutną. Lord Acton wysoko rozwiniętego społeczeństwa kapitalistycznego? Kristol jest mężem Gertrudy Himmelfarb, autorki, jak już o tym wspominałem, świetnej monografii angielskiego historyka. Nic jednak nie ma z obiektywnego spojrzenia Actona, z jego przenikliwej, wyważonej wizji procesów społecznych ponad ideologicznymi schematami. Przeciwnie, wybrał pewien schemat, do niedawna niepopularny wśród intelektualistów, i doprowadził, przynajmniej w niektórych wypowiedziach, do wyzywającej skrajności.

Nie, nie Acton, raczej de Maistre nowojorskiej inteligencji. Powiedział, że konserwatysta to liberał poturbowany przez rzeczywistość. Dobra formuła. Inne nie mają nieporównanej błyskotliwości francuskiego reakcjonisty. Nie można być umiarkowanym i rozsądnym de Maistrem. Nie można też być — to znaczy nie powinno się być z mojego punktu widzenia — de Maistrem-politycznym doradcą. W pierwszym wypadku ulega zagubieniu literacki czar, urok pamfletu, szaleństwo stylu. W drugim wypadku społeczne konsekwencje bywają aż nazbyt realne i dotkliwe.

Przykład Kristola pokazuje, jak trudno wyrwać się spod władzy zaślepiających schematów współczesnej ideologii. Kto je porzuca, musi uważać, aby nie popaść w przesadę zaprzeczenia, nie oślepnąć raz jeszcze. Kristola trzeba oglądać na tle jego cza-

sów i jego środowiska. Lubi podkreślać, że w przeciwieństwie do tolerancyjnych apologetów społeczeństwa opiekuńczego on wywodzi się z biednej rodziny. Wie, co to nędza. Jak wielu młodych nowojorskich studentów z niezamożnych żydowskich domów był w latach trzydziestych bliski komunizmu. Podział przebiegał wówczas nie między republikanami a demokratami (zwolennicy obu partii uznawani byli za psy łańcuchowe Wall Street), lecz między stalinowcami i antystalinowcami. Do lewicowych przeciwników Stalina — był to okres procesów moskiewskich, nagonki na Trockiego i jego zabójstwa w Meksyku — należeli przyszli filozofowie: Irving Howe, James Burnham, Seymour Martin Lipset, Daniel Bell, Nathan Glazer.

Kristol oddalił się od marksizmu w okresie wojny. Bliskie mu był analizy totalitaryzmu wypracowane przez Jamesa Burnhama i Sidneya Hooka. Pisywał do myślowo otwartych, niepodległych stalinowskiej indoktrynacji periodyków takich jak *Politics, The New Leader, Commentary*. Podobnie jak to ostatnie pismo przesuwał się z biegiem czasu na prawo. Był współzałożycielem *Encountera*. Redagował z Danielem Bellem *The Public Interest*. Jeszcze w 1968 opowiedział się za Hubertem Humphreym, liberalnym kandydatem na prezydenta. W 1972 poparł publicznie Richarda Nixona. Był już wówczas otwarcie głosicielem ideologii neokonserwatywnej, przywódcą ruchu, czy też jego szarą eminencją.

Atakuje liberałów (w amerykańskim sensie tego słowa). Uważają się za opiekunów ludu, w rzeczywistości mają elitarystyczne koncepcje rozwoju społeczeństwa i pogardzają gustami mas. Nazywają się liberałami, są w istocie socjalistami: twierdzą, że zadaniem i obowiązkiem rządu jest interwencja we wszystkie problemy, przez to popychają społeczeństwo ku ekonomicznej stagnacji oraz ideologicznej dyktaturze.

Zapewne program liberałów — ekonomiczny, społeczny, polityczny — zasługuje na krytykę. Skrajność postawy Kristola wydaje mi się jednak niebezpieczna. Negowanie nędzy zaślepia. Rząd musi wziąć na siebie część obowiązków i należy wypełnianie tych obowiązków egzekwować. W nowoczesnej demokracji konflikty powinny znajdować wyraz i powinno się szukać ich rozwiązania (na ile jest to możliwe). Negacja konfliktów, pochwała nierówności może być efektywna literacko i pobudzająca filozoficznie w błyskotliwie napisanej *Apologii kata*. Nie chciałbym, aby autor podobnego dzieła miał wpływ na polityków.

8 grudnia 1981, New Haven

Przyjechałem znowu do New Haven. Co mną miota w tych dniach? Bliskość wyjazdu do Warszawy? Intensywność wrażeń? Nie mogę dłużej wysiedzieć w Nowym Jorku. Staję się niespokojny, myślę o kampusie Yale, o bibliotece, o mojej dziupli, o tej jedynej w swoim rodzaju atmosferze, jaką spotkałem na kilku uniwersytetach amerykańskich. Marzę czasem, że gdybym pobyl dłużej w takich warunkach, wiedziałbym wszystko, albo mógłbym wszystko wiedzieć. Książki, do których w Warszawie muszę się z wielkim trudem przebijać, najczęściej bezskutecznie, tutaj znajdują się na wyciągnięcie dłoni. Muzea o pięć minut drogi, nie idealne, nie, takich nie ma, ale interesujące. I zawsze mogę je uzupełnić o wspaniałe muzeum wyobraźni w yale'owskiej bibliotece sztuki. Chciałbym tu kiedyś dłużej popracować w spokoju. Mam nawet pewne plany: w wieku emerytalnym przyjmę posadę *Polack in residence* z ciepłą pensją i gabinetem na czwartym piętrze Sterling Library koło Slavic Reading Room.

Po tygodniu w New Haven zaczynam nerwowo myśleć o innych muzeach, o nowojorskim ożywieniu, o ludziach, rozrywkach, możliwościach. Zapominam o hałasie metra, o brutalnej brzydocie niektórych fragmentów miasta, o patologicznych typach przebywających gdzieś daleko poza ładem społecznym. Tęsknię do przyśpieszonego pulsu, do otwartego ładu społecznego, do norm swobodnych, do wyrozumiałości, radości. Chcę korzystać z okazji, uczyć się nowego świata. Zaczepnąć życia możliwego chyba tylko w tym mieście, które, jakkolwiek odmienne od reszty Stanów, mogło się przecież zrodzić tylko w tym kraju. A potem znowu myślę o książkach niedostępnych w ojczyźnie, spaceruję po metropolii książek, zaczepiam interesujące, zapraszam do siebie na rozmowę, ale zaraz myślę o innych, szukam nowych znajomości. Wchodzę do jednego z muzeów. Przypominam się kilku dziełom. Wybieram takie, z którymi mam właśnie ochotę porozmawiać.

Dzisiaj zaszedłem do działu sztuki wschodniej. Zazwyczaj stronię od niej. Przebywa poza moją wyobraźnią. Często marzę o podróżach. Nigdy nie wybierałem się na Daleki Wschód. Nie bardzo wierzę w istnienie Chin. Nie szukam sekretu tej piękności, jeśli istnieje. Istnieje. Przekonałem się o tym w uniwersyteckiej Galerii. Może to doskonały rozkład nielicznych eksponatów sprawił, że z coraz większym zainteresowaniem patrzyłem

na krajobrazy o dziwnej delikatności, na spiętrzenia planów, nagle odsłonięcia szczegółu. Jakbym zobaczył filmy, jakich nie ma, o jakich marzę i czasem widzę w urywkowych rojeniach na jawie, filmy sprzed setek lat. Ilu? Nieważne. I tak nic mi nie powiedzą daty, odległe o świetlne lata wrażliwości.

Nagle zobaczyłem wschodnie dzieła tak, jak są malowane: krajobrazy dalekie, zamglone, nieuchwytnie, nagie. Największe wrażenie wywarły dwa wiszące obok siebie papierowe zwoje, kwitnące gałęzie śliw o proustowskiej subtelności, zapis wspomnień boleśnie intensywnych. Dzieli te dwa obrazy czterysta lat, jeden z wieku czternastego, drugi z osiemnastego, ale powstały wczoraj, są żywym dotąd portretem przemijającej chwili. Który jest piękniejszy? Nie wiem. Starszy przedstawia gałąź śliwy pochyloną ku dołowi, płatki rozwierają się delikatnie. Naokoło kaligraficzny napis-poemat, oddający nastrój obrazu, zarazem precyzyjny i ulotny, chłodno spokojny i namiętny. Czy napis powstał również w czternastym wieku? Nie wiem, kim jest Wang Juan-czang, jego autor, dla mnie autorem tego napisu jest Kawafis. Jakiś chiński Kawafis żyjący kiedyś tam, mniej lub bardziej dawno, w niedosiężnym czasie chińskich kwiatów i chińskiej kultury.

*Dmie zimny i porywisty północny wiatr,
Cały świat pokryty piaskiem i pyłem.
Tylko drzewo śliwy stoi na uboczu, niepokalane.
Jego kwiaty odbijają się w wodzie,
płatek po płatku, czystą urodą.*

Drugie dzieło, *Kwiaty śliw i kaligrafia*, namalował Czing Nung (1687-1764). Gałąź śliwy pnie się ku górze bardziej impresyjnie nakreślona, delikatne płatki ukazane w większym zbliżeniu. Napis mocniej wpleciony w całość, czarna kaligrafia w rozwarciu szarych konarów. Znów uczucie przejmującej bliskości: znam dobrze ten nastrój. Proustowski głóg? Raczej raz jeszcze uchwycony i opisany wiersz Kawafisa. Zatrzymana na chwilę biel płatków. Słowa napisu muskają czas i obraz: „Gdy w pierwszym roku panowania Czien-lunga (1736) przyjechałem do stolicy na cesarskie egzaminy, poszliśmy z Hsu-Ling z Akademii Hamlińskiej do domu ministra Czanga. Minister wyjął i pokazał nam mały papierowy zwój z narysowanymi tuszem kwiatami śliwy. Patrząc na nie miałem zmysłowe odczucie chłodnej woni i czystej piękności, nieskalanej. Teraz ci dwaj panowie przebywają wśród nieśmiertelnych, ja jestem stary. Kiedy usiłuję opisać

i z pamięci narysować tamte kwiaty, czuję smutek i opuszczenie. Jakże żałuję, że dwaj starzy panowie nie mogą zobaczyć moich rozkwitających gałęzi na tym rysunku. Może pochwaliliby te pociągnięcia pędzelkiem, może dopisałiby z boku poemat w dawnym stylu?”.

KLIMAT ZDRADY

9 grudnia 1981, New Haven

Dzisiaj natrafiłem na półki z książkami o aferach szpiegowskich. Nie jestem entuzjastą tej literatury. Sprowadza się do opisu kilku najbardziej efektownych przypadków: kapitan Redl, Mata Hari, Sorge, pułkownik Abel, Penkowski. Znam opis faktów, jak je ujmują dziennikarze, prawdy nigdy się zapewne nie dowiem. Nie bardzo jestem jej ciekaw. Istnieje wszakże afera szpiegowska interesująca nie tylko w warstwie anegdotycznej. Ktokolwiek będzie badał przemiany mentalności społecznej w Europie zachodniej lat trzydziestych i czterdziestych, natrafi na zagadkę sprawy Burgess, Maclean, Philby, Blunt (lista być może nie zamknięta).

Wychowankowie elitarnych szkół, wywodzący się z zamożnych domów, gdzie służba Imperium brytyjskiemu była tradycją, cieszący się zaufaniem i przyjaźnią najwyżej postawionych osobistości, okazali się szpiegami na rzecz Związku Sowieckiego. Trzeba raczej powiedzieć: okazywali się — sprawa trwała długo. Najpierw w 1951 roku Burgess i Maclean, dwaj pracownicy brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, mający dostęp nie tylko do angielskich sekretów, zniknęli, aby objawić się w Moskwie po paru latach. Działali od dawna. Kto ich chronił, kto poinformował o grożącym aresztowaniu? Domysły były różne. W roku 1963 uciekł do Moskwy Kim Philby, jeden z szefów angielskiego kontrwywiadu, mający za zadanie śledzenie komunistycznych szpiegów w Wielkiej Brytanii. Przyjaciół Burgessa i Macleana. Czy on ich ostrzegł przed niebezpieczeństwem? Czy nie było więcej współpracowników?

W 1979 roku opublikowano w Londynie książkę Andrew Boyle'a *The Climate of Treason*. Wzbudziła sensację. Sugerowała, że istnieli inni agenci. Ich nazwiska były znane rządowi. Boyle mówi o Czwartym i Piątym Człowieku. Opisuje ich rolę nie wymieniając nazwisk. Wynikały one jednoznacznie z kontek-

stu. Podchwyciła je prasa londyńska. Nie można było dłużej milczeć. Opozycja wystąpiła z interpelacją. Tak, rząd znał nazwisko Czwartego Człowieka. Okazał się nim sir (obecnie już *ci-devant* sir) Anthony Blunt, znakomity historyk sztuki, wybitny specjalista od malarstwa neapolitańskiego i klasycyzmu francuskiego, największy znawca Poussina, kurator zbiorów królewskich.

Blunt przyjął rewelacje z zimną krwią. Z niczego się nie usprawiedliwił. Tak, był szpiegiem przed wojną. Wierzył, że przyczyni się do powstrzymania faszyzmu. Pomagał w czasie wojny. Później wycofał się z działalności. Przesłuchiowano go po aferze Burgess - Maclean. Do niczego się nie przyznał. Po ucieczce Philby'ego przesłuchiowano go znowu. Dowody były oczywiste. Przyznał się dopiero wówczas, gdy otrzymał obietnicę przebaczenia. O jego zeznaniach wiedział premier. Dlaczego nie poinformowano królowej? Dlaczego nie zrzekł się zaszczytów? Jak przyjął pakt Ribbentrop - Mołotow, uścisk dłoni dwóch totalizmów nad powalonym ciałem Polski? Nie odpowiadał na pytania prasy. Czy naprawdę zaprzestał działalności po wojnie? Wspominał o kontaktach z Philbym we wczesnych latach sześćdziesiątych. Zaraz po wojnie miał podobno wgląd w kontakty rządu londyńskiego z krajem. Ilu Polaków zapłaciło życiem za tę wiedzę? Blunt milczy. Do prasy odnosi się z wielkopańską pogardą.

Nie afera szpiegowska jest tu interesująca, lecz motywacje. Dlaczego grupa wychowanków Cambridge, świetnych studentów, wybrała drogę zdrady? Dlaczego działali przeciw środowisku, tradycji? Wyjaśnienia podawano różne. Chęć zysku nie wchodziła w grę. W tym sensie postępowali bezinteresownie. Trudno mówić o wyobcowaniu, o niezaspokojonych ambicjach. Zajmowali uprzywilejowane miejsca w społecznej hierarchii. Ideologiczne zaślepienie? Wywodzili się z Klubu Apostołów przy Trinity College w Cambridge o wyraźnych inklinacjach marksistowskich, nie byli jednak maniakami ideologii. Nieustabilizowane życie osobiste? Szalona, pozbawiona hamulców pogoń Burgessa za chłopcami? To tylko psychologiczne spekulacje, a zresztą Gide w *Powrocie z ZSSR* wyznaje, że brak wolności w dziedzinie erotycznej, szarość życia, ulic, twarzy, zachowań były ważną przyczyną jego rozczarowania. Liczne flirty Philby'ego, jego zmiany żon? Też psychologia. Jeżeli zdrada małżeńska miała być wyjaśnić szpiegostwo na rzecz komunizmu...

Dlaczego oni, dlaczego w Anglii? Nie we Francji, gdzie

partia komunistyczna zbiera jedną piątą głosów, gdzie w okresie stalinizmu wielu wybitnych artystów, uczonych, także polityków było urzeczonych Nowym Ładem, gdzie nieczyste sumienie, własne bądź rodziny, w stosunku do okupacyjnej przeszłości skłaniało po wyzwoleniu do bezwzględnej akceptacji komunizmu. Dlaczego nie we Włoszech, kraju politycznej korupcji, gdzie klasa uprzywilejowana kompromitowała się wielokrotnie i przechodziła, gdy uznawała to za potrzebne, na stronę zwycięzców bądź kandydatów na zwycięzców? Dlaczego właśnie w Anglii, kraju narodowej lojalności, wśród angielskich dzentelmenów, wychowanków Eton, Westminster? Ciągłe żywy przecież jest mit Anglika z klas wyższych, niekoniecznie najwyższych, barwnego charakteru, nie mieszczącego się w utartych ramach, gdy trzeba cynicznego, pijącego często i dużo, milkliwego, poddającego się przypiływom czarnego humoru, ale zawsze z poczuciem humoru i z myślą o interesie ojczyzny, o interesie Imperium, choćby obcym przyszło za ten interes drogo płacić.

Inne narody sądzą, że Anglicy kierują się zawsze i jedynie interesem Anglii. Wśród londyńskich Polaków często można było spotkać wyraźny kompleks niższości, niekiedy przyjmujący formy karykaturalne. Stanisław Cat-Mackiewicz głosił, że Anglicy w celu ocalenia własnej skóry sprzedali wszystkich, których mogli sprzedać, a gdy tylko nadarzy się nowa okazja, sprzedadzą następnych. Pekałem ze śmiechu czytając powieści Evelyn Waugh. Wychowankowie Oxfordu bawią się w doradców murzyńskiego władcy, w czasie niemieckich nalotów na Londyn kpią sobie ze wszelkich konwencji. Społeczeństwo przyjmuje ich z podziwem, skończyli przecież dobre szkoły. Philby'ego czy Burgesa mógłbym sobie wyobrazić do pewnego czasu na kartach Evelyn Waugh. Do pewnego czasu, nie do końca ich kariery. Nie do wyboru Nowego Wspaniałego Świata.

Czy grupa młodzieńców z Trinity College zaczęła bawić się w komunizm, a później wciągnął ich mechanizm gry i postanowili pozostać mu wierni? Wszelkie wytłumaczenia są tylko przybliżonym opisem. Buta intelektualistów? Może, ale dlaczego tak się przejawiała? Spotkałem się z dwoma szkicowymi wyjaśnieniami. Jedno mówi o tym, dlaczego młodzi wychowankowie Cambridge dali się zwerbować, drugie o tym, dlaczego chciano ich werbować. Lata trzydzieste to lata kryzysu demokracji europejskiej. Jej obszar kurczył się stale. Zwyciężał totalitaryzm bądź rządy autorytarne i półautorytarne. Demokracja broniła się jeszcze w Anglii, we Francji, w krajach skandynawskich, Belgii, Holandii. A i tam, gdy wkroczyły umundurowane kolumny

hitlerowskie, znalazło się wielu chętnych do kolaboracji, znaleźli się wielbiciele Nowego Ładu.

A Imperium Brytyjskie? Trwało, lecz może dla potomków jego administratorów było bardziej niż dla innych jasne, że Imperium się rozpada. Angielskie klasy wyższe złożyły daninę krwi podczas pierwszej wojny. W okopach Flandrii i Szampanii spoczęła większość niektórych klas Eton i Rugby, niektórych college'ów Cambridge i Oxfordu. Potomkowie wielkich rodów szli na ochotnika, byli dziesiątkowani. Czy mimo korzystnego traktatu pokojowego Anglia wyszła zwycięsko z wojny? Gdzie podziąta się potęga kraju? Kipling uczył tę młodzież: nie wolno wam zapomnieć, że imperia są śmiertelne. I oto niektórzy dokonali wyboru. Nadal zgodnie z tradycją chcieli być pełnymi indywidualizmu sługami imperium. Tylko imperium się zmieniło. Nowe zaczyna rządzić światem. Trzeba mu pomóc w zwycięstwie, ponad przesadami tłumów stanąć w szeregach budowniczych jutra. Przenieśli lojalność na silniejszego, na Rosję Sowiecką.

Dlaczego ich werbowano do ryzykownej i kompromitującej roboty? Usłyszałem niedawno następujące wytłumaczenie. Brytyjska i amerykańska partia komunistyczna w przeciwieństwie do francuskiej lub włoskiej nigdy nie miała szansy na odegranie roli w oficjalnym życiu kraju, tym mniej na wpływ na rządy. Traktowano ją w centrali jako ośrodek werbowania talentów, zdobywania informacji. We Francji bano się skandalów szpiegowskich, bo zaszkodziłyby wpływom partii. W Anglii partia wpływów nie miała, mniej ryzykowano. Dlaczego jednak w okresie stalinowskiej fascynacji, w czasie rozpowszechnionego *fellow-traveller*'stwa nie było podobnych ucieczek w Stanach? Dlatego, wyjaśniają specjaliści od wyjaśniania, że oba kraje mają bardzo różne systemy sądownicze. W Stanach trzeba konkretnych dowodów, żeby kogoś zamknąć, więc ci, którzy byli podejrzani, po prostu negowali przynależność do partii komunistycznej. W Anglii działano brutalniej, dlatego Burgess i Maclean dostali polecenie ucieczki dosłownie w przeddzień grożącego przesłuchania.

To są spekulacje mało mnie przekonujące. Nie socjologa tu potrzeba, lecz powieściopisarza. Czy fantazja zdołałaby podjąć takiemu zadaniu? Zamiast rozważań o klimacie zdrady wolałbym przeczytać powieść. Nie o karierze szpiegowskiej. O pobycie w Moskwie. Burgess i Maclean uciekli z Anglii w maju 1951 roku. Trwała wojna w Korei, Stalin był panem imperium, Beria

kierował bezpieczeństwem, nowa czystka wisiała w powietrzu. Nie oszczędziłaby niewygodnych cudzoziemców, nawet najwerniejszych. Dopiero po trzech latach potwierdzono obecność Anglików w Moskwie. Dopiero wówczas stało się wiadome, że przeżyli. Jakie były wobec nich plany? Jak wyglądały ich pierwsze tygodnie? Jak czuli się w Moskwie Anno Domini 1951? Z kim rozmawiali, jeśli ktokolwiek chciał z nimi rozmawiać? Co myśleli o przyjaciółch, o Philbym w Londynie i w Libanie, o wożaczach Blunta między królewską galerią a Paryżem i Neapolem?

Umarł Stalin, upadł Beria. Z kim upijał się Maclean, za kim uganiał się i przed kim brylował Burgess? Żyli jak w klatce, oddzieleni od otaczającego świata. Musieli jednak widzieć puste sklepy, umęczonych ludzi, kłamliwą prasę. Czy dochodziły do nich opowieści tych, którym udało się wrócić z obozów? Jeżeli nie, to poinformował ich Chruszczow. Jak przyjęli XX Zjazd i raport, XXII Zjazd i eksmisję bożka z mauzoleum? Usłyszeć ich rozmowę, chłopców z Trinity College, w moskiewskim mieszkaniu, gdy czołgi sowieckie wjeżdżały do Budapesztu. Jak przyjęli Philby'ego, gdy dołączył do nich, już zasiedziały lokatorów klatki? Jakich udzielali mu rad? Zresztą zapewne od dawna milczeli, nie poruszali bardziej drażliwych spraw. Posłuchać tego milczenia.

G O M B R O W I C Z

11 grudnia 1981, New Haven

O Gombrowiczu napisano zapewne więcej książek niż o jakimkolwiek współczesnym pisarzu polskim. Wyszły one wszakże, z wyjątkiem jednej, nie w Polsce. Jego dzieła pozostają w kraju niedostępne. Decyzja wydania *Dzienników* ciągle nie może przejść przez gardło cenzorów. Zbliża się jednak dzień. Sprawy wydawnicze zostały przynajmniej częściowo wydarte z oficjalnych rąk. Wydawnictwo Klin opublikowało *Dzienniki* i *Kosmos*. Kos wydał *Operetkę*, ma wydać *Historię* z przedmową Kota Jeleńskiego. Obecnie, gdy zawarta została umowa między Nową a *Kulturą*, gdy Solidarność organizuje wydawnictwa, nie można będzie dłużej przeszkadzać w ogłoszeniu dzieł największego polskiego prozaika.

Jedyna książka wydana w kraju to *Witold Gombrowicz i świat jego młodości*, interesujące wspomnienia Tadeusza Kępiń-

skiego. Głównym ich tematem jest zresztą nie tyle Gombrowicz co rodzina Balińskich. Wspomnienia nie o twórcy *Ferdydurke* czy jego utworach, lecz o tym, jak odbijał się w cudzych oczach. Problem czysto gombrowiczowski: odbicia, fascynacje, gry, maski, słowa dla kogoś, myśli przez kogoś podrzucane. Opisana klasa profesora Pimki, nieocenione studium socjologiczne. Spojrzenie na Gombrowicza oczami współtowarzyszy.

Na Gombrowicza? Czy zastraszony wyrostek, bojący się matematyki, łaciny, na pauzie zerkający w stronę Miętusa i Kopyrdy, to przyszły artysta usiłujący nadaremnie nawiązać kontakt ze sobą minionym? Nie, to tylko jedno z przybliżeń, jedna z masek.

Dominique de Roux, zasłużony entuzjasta pisarza, wydał mało czytelną, dość szaloną książkę o nim. O Gombrowiczu? Raczej o własnej wizji literatury. Opublikował też z Kotem Jeleńskim (to głównie zasługa tego ostatniego) specjalny numer *l'Herne* z ważnymi świadectwami. Był wreszcie rodzajem medium. To z myślą o nim Gombrowicz komponował *Rozmowy*. Wyszły w *Kulturze* z mylącym autorem i tytułem: Dominique de Roux *Rozmowy z Gombrowiczem*. W rzeczywistości jest to utwór Gombrowicza, przedłużenie *Dzienników*, napisany jego nieomylnym stylem. Książka powinna się nazywać *Rozmowy Gombrowicza z Gombrowiczem (w obecności Dominique de Roux)*. Zawsze rozmawiał ze sobą i o sobie. Czy się rozumieli? Miał co do tego wątpliwości. Czy wyczerpali temat? Na pewno nie. Wydanie angielskie i drugie wydanie francuskie wyszły pod nazwiskiem Gombrowicza jako *A Kind of Testament, Un testament*. Jeszcze jedna, nowatorska wersja autoportretu. Mówił o sobie, bo na tym przedmiocie znał się najlepiej. O sobie mógł się najuczciwiej wypowiadać. Literatura była dla niego sprawą stylu. Styl — kwestią moralności.

Mówił o sobie, starał się być wierny sobie, wyruszał przez Atlantyk w poszukiwaniu siebie. *Dzienniki* to opis wędrówki przez świat. Nie Jedermanna, to nie zadanie literatury. Tym zajmuje się filozofia. On zajmował się konkretną egzystencją: oto człowiek, Witold Gombrowicz. Dwa słowa nie do wyczerpania, ocean. Jak zatrzymać ruch niepowstrzymany? Jak wyrazić mgliste kontury własnej osobowości? Tego dotyczyła *Ferdydurke*, wstęp do *Dzienników*. O tym mówią *Dzienniki*, korona dzieła, dyssekcja duszy Witolda i świata odbijającego się w jego oczach, tam, na wyciągnięcie ręki, ale zawsze tam, niedostępnego, jakby za szklaną szybą, upragnionego i niedostępnego. W *Dziennikach* nie zmusza się do artyzmu, jest artystą.

Wypowiedzi Gombrowicza o sztuczności malarstwa nie przeszkadzały mi, były w sposób oczywisty obok problemu. Jeżeli czegoś mogą (niesprawiedliwie) dotyczyć, to „artystycznych” utworów Gombrowicza. Ich sztuczność, wymuszona koncepcyjność może być inspirująca. *Operetka* uderza przenikliwością problematyki, nie intensywnością wizji. Jego powieści, stylistycznie świetne, nie mają swobody *Dzienników*. Czasem, jak w *Trans-Atlantyku*, dosięgają jakichś wyżyn autoironicznego baroku, czasem, jak w *Pornografii*, przerażone śmiałością zamierzeń, pisane ze skurczem, sprawiają dziwne wrażenie suchości, skrzypiącego piasku pod stopami.

Jacques Volle i Rosine Georgin napisali książki francuskie, snujące teorie na temat teorii Gombrowicza, czyli tego, co w nim najmniej ciekawe. Jeśli był wielki — a był, choćby tylko na miarę *Ziemi Ulro*, choć zapewne i ponad tę miarę — to właśnie w sprzecznie wobec teorii. Jak z wiatrakami, walczył samotnie z osaczającymi go abstrakcjami. Był artystą. Wiedział, że wszechogarniające pretensje nauki są jego wrogiem. Wiedział, że rozum jest zbawienny, lecz ograniczony; kiedy sięga poza swoje granice, staje się niebezpieczny. Wówczas trzeba oszalałego ideologa kopnąć w kostkę, wybuchnąć śmiechem, sprowadzić jego i siebie na ziemię. Jaką ziemię? W tym punkcie Gombrowicz niekiedy bywał bezradny, niekiedy agresywny, najczęściej twórczo prowokujący. Starał się dotknąć splotu sprzeczności. Sam się w nie wplątywał. Przedstawiał te zawrotne sytuacje. Pokazali jego dylematy François Bondy i Kot Jeleński w niemieckiej książce o Gombrowiczu dramaturgu, pokazał je chyba najlepiej Jeleński w kilku szkicach drukowanych w *Kulturze*, zwłaszcza w *Bohaterским niebohaterstwie Gombrowicza* z 1957 roku.

W Sterling Library trafiłem na nieznaną mi książeczkę włoską Piera Sanavio *Gombrowicz: la forma e il rito*. Jest ciekawa choćby dlatego, że zawiera nieopublikowane wywiady z Gombrowiczem. Autor musi być pełen fantazji. Studiował w Wenecji, Londynie, Paryżu i na Harvardzie (nieźle). W Anglii pracował na farmie. W Stanach zmywał talerze, prowadził taksówkę, sprzedawał odkurzacze. W Meksyku zarabiał jako przewodnik. Uczestniczył w badaniach antropologicznych na Karaibach. Co do fantazji nie ma wątpliwości, lecz skąd Gombrowicz? On starał się nie wychodzić z pokoju. Wszędzie są te same góry. Z każdego okna widok jest podobny. Po co mam zwiedzać muzea, jeżeli nie zobaczyłem jeszcze dobrze mojej ulicy (i nie chce mi się przesadnie przyglądać), jeżeli jeszcze siebie samego nie zoba-

czyłem (i wciąż się sobie wymykam). Sanavio pasjonuje się literaturą. Przełożył na włoski Thoreau. Do Gombrowicza raczej daleko, choć nie tak bardzo, jak sugerowałby styl. Odwiedzał Ezrę Pounda w szpitalu wariatów, prowadził z nim długie rozmowy. Różnice z Gombrowiczem, zwłaszcza stylistyczne, poważne, ale wspólna pasja autentyczności, odwaga prowokacji i odwaga poszukiwań.

Czy ktoś o podobnej genealogii może przeniknąć Gombrowicza? Gombrowicz fascynował cudzoziemców. A przecież jego siłą był styl, artystyczne stopienie słowa i myśli. *Dzienniki* stworzył poeta, znakomity, polifoniczny poeta, operujący w wielu rejestrach, poruszający się z uderzającą elegancją między stylami, problemami, marzeniami, nudą, napięciem, oczarowaniem, obojętnością, smutkiem, uśmiechem. Czyżby Gombrowicz był jedynym poetą polskim, który stał się dla cudzoziemców zrozumiały (oprócz może Herberta, bo Miłosz jak dotąd jest najwyżej częściowo zrozumiały)? *Dzienniki*, jego dzieło najwybitniejsze, nie cieszą się za granicą należnym zainteresowaniem. Na angielski nie zostały w ogóle przełożone. Czy dadzą się przetłumaczyć? Stanowią pomnik polskiej prozy. (Więc jak w końcu — prozy czy poezji? Nie umiem odpowiedzieć. Jeszcze jeden Gombrowiczowski paradoks).

Czasem wydaje mi się, że tylko pisarz o biografii Gombrowicza mógł nadać słowom taką intensywność. On wyprowadził polską prozę z gadulstwa i skrępowania. Potrzebne do tego było, aby Duch Czasu spadł na sandomierskiego hreczkosieja i pokazał mu konkretyzacje zwyrodniałego heglizmu. Trzeba się było urodzić w Kongresówce, ale wywodzić z Litwy. Trzeba było poznać ziemiańskie manieryzmy, sięgnąć głębiej, w szlachecki rodowód polskiej kultury. Następnie poddać się poniżającej dyscyplinie przedwojennej szkoły średniej. Dowiedzieć się od profesora Pimki o regułach sztywnego stylu. Studiować nie polonistykę, lecz prawo, ćwiczyć umysł w formalnych grach znaczeń. Przesiadywać w Ziemiańskiej z literatami. Śledzić z daleka zabawy surrealistów i bawić się jednocześnie *Pamiętnikami* Paska i *Pamiętkami* Soplicy. Pójść na wygnanie. Tam szukać wolności. Wówczas można było wdziać na siebie królewski płaszcz mowy i udać się w nim do portowej knajpy.

Sanavio przeprowadził dwa wywiady z Gombrowiczem w listopadzie 1968 i w kwietniu 1969, czyli rozmawiał na kilka miesięcy przed jego śmiercią z człowiekiem chorym na astmę, żyjącym bardziej niż kiedykolwiek za szklaną szybą. Od przy-

jazdu do Europy był inny. Zostawił w Argentynie część siebie, lekkomyślnego młodzieńca, nie liczącego się z wiekiem, namiętnie szukającego w falach oceanu i w morskim wietrze niedostępnego sekretu swej twarzy. W Berlinie zachorował. Czy dopadł go zapach z rodzinnych okolic, z Bodzechowa i Małoszyc? Spotkali się dwaj Gombrowicze, tamten z Polski, pradawny, zatarty, lecz ciągle młody, boleśnie obecny, i ten amerykańsko-europejski, gotowa odpowiedź na młodzieńcze niepokoje. Odpowiedzi nie było, nie będzie. Jakże to tak?

Może wtedy stracił rozpęd życiowy? Tylekroć błagał o jakiś znak z przeszłości. Do bardziej przejmujących kart *Dziennika* należy opis spotkania w Tiergarten. Te zioła, wonie? Pamiętał. Tak, to było polskie, to już Polska. Dzieciństwo i młodość rozpoznane. Więc śmierć. Koło się zamknęło. Śmierć. Nie trzeba było opuszczać Ameryki. Wiedział o tym już na Trans-Atlantyku, w jego transatlantyckim wyznaniu, nagłym przypływie — czego? — miłości, strachu, rozpacz, niepamięci, pragnienia, mgły. Wyznawał miłość do Argentyny, której nie znał, do siebie w Argentynie, miotany statkiem, który miota się na fali słów, wspomnień, obrazów, nadziei. Żyć nie umierać. Nie umierać? Czym innym była ta podróż, wiedział to już wówczas, jak nie podróżą ku śmierci. Nie trzeba było opuszczać Ameryki.

Wiedział jednak, że każdy prędzej czy później opuści Amerykę, także ci, którzy nigdy tu nie przyjeżdżali. Kiedy ją opuścił? Spotkałem Gombrowicza w Vence, jesienią 1967 roku. Wydał mi się szary, niedostępny. Smutny cień odbijający od śródziemnomorskiego blasku. Czy ból wyrył na nim swoje piętno? O tym rozmawiał z Sanavio: cierpienie zostawia niezatarty ślad. Lekcja z Tiergarten? Ten oścień tkwił w nim od dawna. W całym dziele odszukać można jego ślad...

WOJNA PRZECIW SPOŁECZEŃSTWU

12/13 grudnia 1981, *New Haven*

Przerywam pisanie o Gombrowiczu. Nie potrafię się skupić nad czymkolwiek poza wiadomościami z Polski. Dzisiaj sobota, bibliotekę zamykają wcześniej, o siódmej wieczorem, czyli o pierwszej w nocy czasu polskiego. Wróciłem do Jasiów. Irena

była pod wrażeniem rozmowy z Warszawą. Zadzwoiła bodajże przed godziną do rodziców. Mówili, że wszystko w porządku, ale w głosie wyczuwała niepokój. Opowiadali o przebiegu Kongresu Kultury Polskiej. Siedliśmy do kolacji. Po chwili telefon: telewizja amerykańska podała, że siedziba Solidarności w Warszawie jest otoczona przez milicję, a połączenia z Zachodem przerwane. Przesadzają. Przecież Irena właśnie rozmawiała. Zaczęliśmy jednak szukać wiadomości. Złapaliśmy BBC. Powtórzono informację o otoczeniu siedziby Mazowsza i przerwaniu połączeń. Jaś podszedł do telefonu i poprosił o Warszawę. Niemożliwe. Czy nigdzie do Polski? Nigdzie.

Informacje radiowe stały się jeszcze bardziej alarmujące. Otaczane są podobno siedziby Solidarności w innych miastach. Dochodziły nowe szczegóły. Milicja wkroczyła do Mazowsza, skonfiskowała dokumenty związkowe, zaarrestowała kilku działaczy. W Gdańsku obradowała dziś Krajowa Komisja Porozumiewawcza. Żądała energicznego wprowadzenia reformy gospodarczej. Jeżeli rząd nadal będzie bezczynny, Solidarność przejmie na siebie obowiązek ratowania kraju przed katastrofą. Wezwano do przeprowadzenia prawdziwych wyborów. Na 17 grudnia zapowiedziany był strajk ostrzegawczy i manifestacja w Warszawie przeciw brutalnej polityce władz (atak na szkołę pożarnictwa, paraliżowanie rozmów z Solidarnością, kampania dezinformacji w prasie i telewizji, blokowanie reform). Czyżby obecna akcja milicji w Warszawie była rozpaczliwym atakiem, chęcią obrony własnych interesów za wszelką cenę? Taka obrona spowoduje upadek części atakujących, może spowodować katastrofę kraju, na pewno nie przyniesie rozwiązania trudności.

Powtarza się schemat przeżywany już i tu, w Ameryce, i często przez ostatnie kilkanaście miesięcy w Polsce. Spędzam czas przy zachodnim radiu. Warszawa milczy, nie podała przez te kilka godzin żadnego komunikatu o akcji przeciw Solidarności. Muszę czekać, aż dowiem się czegoś więcej. Widać jednak, że władze uczyniły krok o nieobliczalnych konsekwencjach. Jak daleko się posunęły, zobaczymy. Czy akcja jest częścią większej całości, zobaczymy. W jakiej mierze została uzgodniona z Wielkim Bratem, zobaczymy. Znów zmuszony zostałem, tym razem wyjątkowo brutalnie, do przyjrzenia się polskim dylematom. Nie lubię tego robić zbyt systematycznie i wnikliwie. Analizy tylekroć zawodziły. Znajdowano rozwiązania w sytuacjach beznadziejnych, o krok od beznadziejności. Cofano się o krok. Jak długo można?

Stoją naprzeciw siebie dwie siły. Przyglądają się sobie w osłupieniu. Jedna z nich wciąż nie wierzy, nie chce uwierzyć w istnienie drugiej. Ta jedna to partia komunistyczna niepodzielnie rządząca krajem od lat trzydziestu pięciu. Nie z mandatu społeczeństwa ani nawet nie z mandatu swych członków, lecz z międzynarodowego mandatu: Związek Sowiecki jest militarnym, politycznym i ideologicznym zwierzchnikiem, ale na to zwierzchnictwo zgodziły się najpierw w Teheranie, później w Jałcie mocarstwa zachodnie. Partia dotąd gwarantowała interesy sowieckie. Po latach, po sierpniu okazało się spektakularnie, że społeczeństwem nie można już rządzić niepodzielnie. Istnieje po raz pierwszy zorganizowana siła, Solidarność, istnieją inne siły, Kościół, mniejsze grupy. Koniec monolitu. *Pays réel* odrodził się i umocnił. A *pays légal*, kraina instytucji i politycznych praktyk? Nie zmieniła się prawie wcale. Owszem, po bólach i krętaństwach zaakceptowano oficjalnie istnienie Solidarności, ale nie zmieniono oficjalnych ram, które wykluczały istnienie niezależnych ośrodków czyli istnienie Solidarności. Władze oczekiwały z początku, że Solidarność wyjąłowieje, zużyje energię w pozornych, narzuconych walkach, weźmie odpowiedzialność za organizację pracy bez odpowiedzialności za dystrybucję, bez możliwości kontroli i podejmowania decyzji. Bez zmian politycznych. Byłby to koniec Solidarności. Takı koniec sam z siebie się nie zapowiada. Czyżby dzisiaj chciano go sprowokować szaloną decyzją?

Warunkiem odrodzenia życia społecznego w Polsce jest usunięcie scentralizowanego aparatu biurokratycznego. Warunkiem spokoju jest polityczne zaakceptowanie Solidarności. Oznacza to koniec niepodzielnych rządów partii komunistycznej. Władzę trzeba podzielić, ograniczyć instytucjonalnie i prawnie. Tylko taka władza, ograniczona, zrównoważona, może zapewnić spokój społeczny i ład ekonomiczny. Czy zapewni również interesy sowieckie? Jeżeli tym interesem jest spokój — tak. Jeżeli jest bezpośrednie panowanie nad całością życia społecznego — nie. Czy możliwy jest powrót do całkowitej kontroli? Chyba tak, lecz za cenę wprowadzenia terroru. Czy takie postępowanie byłoby dla obecnych władców imperium możliwe i korzystne? Nie potrafię z wielu powodów na to odpowiedzieć. Na pewno przeprowadzają kalkulację. Nie wiem, na jakich szacunkach się opierają.

Ograniczyć władzę instytucjonalnie — ale jak? Odsunąć stary aparat biurokratyczny, naruszyć nomenklaturę? Oczywiście. To jednak nie wystarczy. Zastąpić autentycznymi ministerstwa-

mi wydziały KC, zastąpić fachowcami dyrektorów-politruków? Bardzo pięknie, lecz to nie jest jeszcze odpowiedź. Trzeba zmienić struktury ekonomiczne, usunąć bariery rozwoju, wprowadzić wartość, własność, pieniądź. Powtórzę: społeczeństwa cywilizowane dochodziły do tych form współżycia przez setki lat, my powinniśmy dokonać zmian do wiosny, aby następną zimą nie była groźniejsza, aby choćby w przewidywalnej przyszłości zahamować rozpad gospodarki. To jest sytuacja bez analogii. Działacze Solidarności nigdy nie mieli pewności, czy następnego dnia obudzą się w więzieniu czy w wolnej Polsce. Choć było wiadome, że powstanie Solidarności, sierpniowe zwycięstwo stanowi dopiero początek drogi. Do wolności jeszcze daleko.

Konieczne są inne rozstrzygnięcia. Jaką przyjmą formę? Od zjazdu partii, od sierpniowego zerwania rozmów z Solidarnością widać, że władze nie zamierzają się pogodzić z politycznymi konsekwencjami istnienia Solidarności. Może nie zamierzały od początku, lecz do zjazdu nie głoszono w partii żadnych poglądów i bano się wszelkiego działania, nawet obronnego. Zbliżała się zmiana garnituru. Nikt nie chciał ryzykować stanowiska. Teraz starym zwyczajem zrzucano z siebie odpowiedzialność za dawne przewinienia: to zrobili oni, poprzednia ekipa (choć przecież ta sama organizacja, ci sami ludzie). Teraz planuje się odnowę wedle sprawdzonego już popaździernikowego czy pogrudniowego modelu. Istniały pewne błędy „woluntaryzmu”, „kultu jednostki”. Berman był zbyt dogmatyczny, poprawi to Gomułka, Gomułka miał ciężki charakter, poprawi to Gierek, Gierek był zbyt optymistyczny, poprawi to Jaruzelski. Wokół ci sami ludzie, te same mechanizmy. Tylko partia ma prawo korygować błędy zgodnie ze słusznymi wytycznymi entego plenum, zgodnie ze słuszną polityką zainicjowaną na entym zjeździe. Pod przewodnictwem towarzysza Entego zmierzać powinniśmy ku promiennej przyszłości.

Spółceństwo już tego numeru nie zaakceptuje. Zresztą nie usiłuje się go uwodzić, wykorzystywać jego nadziei. Myślałem w sierpniu, że to znakomicie. Inaczej znów wyprowadzono by nas w pole. Może dobrze, że nie ma w partii demokratyzacji, odnowy, liberalnych haseł. Spółceństwo musi dojść do wolności o własnych siłach. To prawda, ale istnieje druga strona medalu. Widać ją teraz. Władza wciąż niepodzielnie spoczywa w rękach tych, którzy sprawowali ją niepodzielnie. Narasta coraz mocniejszy bunt społeczny, przemiany postaw są faktem. Czy rządzący zrozumieją sytuację, czy zobaczą młody las, który w sierpniu tak blisko podszedł pod ich okopy, czy podzielią się

władzą? Czy też powodowani strachem zobaczą w roszczeniach społecznych spisek konkurencji — i uderzą w konkurencję — i wywołają wybuch — i zniszczą (na pewien czas) narastający proces niszczący społeczeństwo — i wielu z własnych szeregów poświęcą na ofiarę.

Gdyby istnieli w kręgach partyjnych ludzie uczciwi, otwarci ku społeczeństwu, odważni wobec centrali i wobec własnych kadr, mogliby w okresie kryzysu zapewnić ciągłość władzy, wprowadzenie nowych form politycznych. Wówczas wybuch nie musiałby nastąpić, interes narodowy mógłby przeważać. System komunistyczny ma nikłe hamulce broniące przed szaleństwem, przed krokiem w przepaść. Opinia społeczna, prywatne interesy nie stanowią bariery. Inaczej obliczane są zyski i straty. Koszty społeczne nie są instancją najwyższą, często nie są nawet brane pod uwagę. Utrzymać władzę, dochować wierności nakazom ideologii.

Nakazom zmiennym, na szczęście. Czy jednak horyzonty, u nas i w centrali, zmieniły się na tyle, aby umożliwić dostosowanie się do polskich wydarzeń, które podważyły jeśli nie całą historię demoludów, to w każdym razie chruszczowowsko-breżniewowski model rządzenia tymi krajami? Powie ktoś, że raz już zmiana zasadnicza nastąpiła: rok 1956. Polska roku 1958 to nie Polska roku 1953, to samo odnosi się, choć w mniejszym stopniu, do Czechosłowacji. I do Rosji. Historyczne zmiany dokonały się wówczas także w centrali. Dlatego zostały zaakceptowane. Obecnie napięcie między Polską a sąsiadami wzrosło. To są przecież naczynia połączone (komunistyczną władzą i Armią Czerwoną). W jakim stopniu geopolityczna anomalia w Polsce może zostać zaakceptowana? Na jak długo? Czy poruszy się skorupa lodowa w innych krajach? Ależ cała strategia władców nastawiona jest na to, aby ruch wolnościowy nie pojawił się w kilku miejscach naraz. Lokalizacja kryzysu jest pierwszym przykazaniem. Buduje się propagandowy — i nie tylko — kordon sanitarny. Następnym przykazaniem jest likwidacja reform, gdy odbiegają od modelu narzucanego i aprobowanego przez centralę.

Mówię o braku wyobraźni ze strony władzy. A Solidarność? Czy dysponuje programem reform dostosowanym do sytuacji? Czy potrafi skutecznie przełamać stare struktury? Kontrola poczynań władzy nie wystarcza. Konieczne są nowe ciała, nowe formy organizacji życia społecznego, spontaniczne, o zagwarantowanej swobodzie od państwa-molocha. Związki wolnych

producentów, jak przekornie naginając klasyków na własny użytek proponuje Kisiel? Jak je wprowadzić? A raczej jak zlikwidować bariery stojące na ich drodze? Jak zmienić istniejący porządek (centralistyczny, dogmatyczny nieporządek), aby swobodne związki międzyludzkie mogły się pojawić, twórczo organizować społeczeństwo, produkować dobra materialne i duchowe? Nie wiem, ale wypadki dzisiejsze (wczorajsze, już rano, robi się jasno, a w Polsce zbliża się południe) postawiły te zagadnienia przed Solidarnością, przed tymi także, którzy starali się nie dostrzegać ich drastyczności.



13 grudnia 1981

A więc wypełniło się. Stan wojenny ogłoszony o szóstej rano przez Jaruzelskiego, który stanął na czele Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego. Zajęto siedziby Solidarności. Odcięto komunikację telefoniczną wewnątrz kraju i z zagranicą. Zawieszono swobody obywatelskie, nietykalność osobistą, nietykalność mieszkań. Stworzono obozy odosobnienia. Zakazano zgromadzeń, zawieszono wszelkie publikacje poza dziennikami partyjnymi i to niektórymi. Wprowadzono jeden program radiowy i telewizyjny, resztę zamknięto. Zmilitaryzowano podstawowe służby społeczne i gałęzie przemysłu. Zawieszono Solidarność i inne stowarzyszenia. Zakazano poruszania się między województwami. I jeszcze, i jeszcze. Wiadomości wciąż napływają, często sprzeczne, bo Polska odcięta jest od świata. Blokady komunikacji i informacji na taką skalę nie znano w świecie nowożytnym nawet w czasie wojny. Przywódcy Solidarności w obozach. Nie wiem dokładnie, ilu jest uwięzionych. Władze mają w najbliższym czasie opublikować listy. Podano oficjalnie, że Wałęsa nie został internowany. Jakoby zaproszono go na rozmowę do Warszawy.

Więc jednak się zdecydowano na wprowadzenie stanu wojennego, umieszczenie Solidarności za kratami obozów, odebranie wszystkich zdobyczy nie tylko sierpnia. A cel? Kto wierzy w rozwiązanie przemocą problemów ekonomicznych i społecznych? Koszty poniesie naród. Już ponosi. Ile było ofiar w szpitalach bez telefonów, wśród ludzi pozbawionych pomocy? Ile będzie jeszcze? Czy w planie jest może jeszcze większy paraliż gospodarki, co doprowadzi do rozruchów, ofiar i nowej przemocy? Czy łudzono się, że błyskawiczne uderzenie w ośrodek centralny Solidarności sparaliżuje na zawsze cały ruch? Prawdopodobnie

podstawową motywacją było tylko kurczowe trzymanie się przywilejów za każdą cenę, także narodowej tragedii.

Po dniu dzisiejszym i wczorajszej nocy, po trzynastym grudnia nie jest już możliwy powrót do sytuacji poprzedniej, choćby na moment nastąpił. Czy można odwołać decyzję o stanie wojennym, jak kilkakrotnie odwoływano podwyżki cen? Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Musiałoby nastąpić przetasowanie u władzy. Nie ma w partii osobowości zarazem o silnej pozycji i liberalnych poglądach. A Solidarność, jeżeli by się odrodziła, czy mogłaby się zadowolić poprzednią sytuacją, istnieć w instytucjonalnej pustce, bez wyraźnych prawnych gwarancji, bez możliwości obrony swych członków?

Do Solidarności należał — ten czas przeszły brzmi rozpaczliwie, od rana jest faktem — prawie cały naród: dziesięć milionów dorosłych plus rodziny, trzy miliony Solidarności Wiejskiej plus rodziny. Może błędem było nie wytworzenie ciał bardziej elitarnych, a więc sprawniejszych, mogących się skutecznie bronić przed spodziewanym atakiem. Przygotowywanie tajnych bojówek, drugiego rzutu przywódców nie leżało w duchu posierpniowych przemian. Solidarność była ruchem niepodobnym do niczego w dziejach Polski i Europy, ruchem samorodnym. Jeżeli jej działacze mieli jakiś wzór przed oczyma, to chyba tylko wzór negatywny, partię komunistyczną, leninowski model partii, scentralizowanej, posłusznej odgórnym nakazom. Polscy robotnicy wiedzieli, jakie mechanizmy działają w tego rodzaju organizacji. Dlatego domagali się demokratycznych, nieraz uciążliwych procedur, dlatego byli nieufni wobec wszelkich form działania niejawnego. Nawet człowiek o największym autorytecie, Wałęsa, był gwałtownie atakowany za to, że po kryzysie bydgoskim wprowadził podjął decyzje słuszne, ale w sposób niezgodny z formalnymi zasadami związku.

Taka postawa hamowała sprawność działania związku, utrudnia organizowanie natychmiastowej reakcji obronnej. Ta lekcja demokracji, ten brak hierarchii utrudnia jednak rozprawienie się na trwałe z Solidarnością. Nie wystarczy uderzyć w przywódców. Solidarność nie jest partią komunistyczną, gdzie wszelkie decyzje zapadają w Biurze Politycznym. Członkowie Solidarności nadal istnieją, istnieją problemy, które powołały tę organizację do życia, uległy nawet dodatkowemu zaostrzeniu. Co dalej?

Rozpaczliwe myśli: ile już było ofiar? Ile będzie jeszcze? Kogo zaaresztowano? W jakich przebywają warunkach? Jaki będzie los tych dwudziestoletnich, naprawdę pięknych, którzy

z dumą i odwagą odrzucili kłamstwo? Przecież znów pierwszy cios wymierzono w wolne słowo. Znów wprowadzono całkowitą cenzurę. Zamknięto także oficjalne pisma. Co stanie się z działaczami Solidarności? Przyglądałem się z podziwem i troską prostowaniu pleców, narodził się niepodległego pokolenia. Teraz ogłoszono amnestię dla tych, którzy zobowiążą się pisemnie do zaprzestania działalności. Nieodparcie przychodzi na myśl akowskie amnestie, wstęp do zniszczenia całego pokolenia młodzieży, przebaczenie (pozorne) win, które były tytułami chwały. Czy i tym razem rządzący zamierzają chwałę przemienić w pohańbienie, hańbę uczynić warunkiem przeżycia? Nie chcę wpadać w patos, choć miałbym dziś do tego prawo, chciałbym tylko notować wydarzenia i moje reakcje, zamglone, zza oceanu. Już i tego nie mogę.

Dzisiejszy dzień usunął mi grunt spod nóg. Zmusza do stawiania zasadniczych polskich pytań. Do wyraźnych odpowiedzi. Pytania tkwią w głowie: „co dalej?”, rozpisane na moją osobistą sytuację, rozsnute na tle dobrze znanych mi precedensów. Nie chcę jeszcze dopowiadać tych pytań. Są oczywiste. Nie chcę udzielać odpowiedzi. Za wcześnie, może coś się zmieni. Boję się przesądnie, że słowa pozostawione poza mną na papierze, wypowiedziane głośno, mają niebezpieczną moc. Odsunę na dziś fatalne obawy, pokusy, nastroje, przecucia. Ale one powrócą, za kilka dni powrócą. Za kilka tygodni będą się musiały przemienić w decyzję o istotnych dla mnie konsekwencjach. Do jakich znaków wróżebnych się odwołać, kogo prosić o pomoc, o dar męstwa, choćby czysto duchowego, od którego jestem jakże daleko, gdy roztrzęsioną ręką notuję niepokoje, ja nieobecny, o tysiące mil od kraju. Ja swobodny. Czy naprawdę i na jak długo jeszcze? Jaką cenę przyjdzie mi za tę swobodę zapłacić?



14 grudnia 1981

Jest ósma wieczorem. Siedzę w pociągu do Nowego Jorku. Wracam do Jakuba i Ireny w naiwnej zapewne nadziei, że dowiem się tam czegoś więcej, że to bliżej Polski. W wagonie na wprost mnie wielka reklama Wódki Wyborowej. Butelka i szklanka z zamrożonym alkoholem postawione na mapie Polski. Napis: „Poland. Vodka. Born here 1489 A.D.”. Dlaczego akurat wtedy? Że niby na trzy lata przed odkryciem Ameryki? Patrzą na mnie ten napis, oficjalny wkład do dorobku cywilizacji, a ja patrzę w siebie. Próbuje czytać *New York Times*

w olbrzymiej części poświęcone Polsce. Po lekturze przemówienia Jaruzelskiego i rozporządzeń o stanie wojennym litery tańczą mi przed oczyma. To jest okupacja kraju, wojna przeciw bezbronnemu społeczeństwu. Terrorysty opanowali kraj, schwytali zakładników, żądają spełnienia warunków. Szantażują teraz Polskę i świat: jeżeli nie zaakceptujecie naszej przemocy, będziemy gorsi. Nie mogę dalej czytać. Próbuje patrzeć w mglistą przyszłość Polski, w moją przyszłość. Staram się uciec od myśli o partyjnej Targowicy i komisarycznych Wielopolskich. Czy wszystko musi się sprawdzać, nawet słowa o niewoli i jednej wiosnie wolności w życiu? Usiłuję zachować nadzieję. Wiem, że historia się nie zatrzymała. Co do tego nie ma wątpliwości. Pędzi jak oszalała, aż mdli mnie od jazdy, jakbym się opił tą wódką z reklamy. Mam poczucie, że od dwóch dni pociąg unosi moją ojczyznę, moich bliskich, moją przeszłość, moją sytuację i przecież mnie ku stepom Euroazji, gdzie pod carskim panowaniem czas zamiera i ginie nadzieja, gdzie rządzi kłamstwo, cenzura, donos i knut, a jednocześnie ja, jakiś dziwnie spłaszczony, jednowymiarowy, podrywany lada podmuchem, bez korzeni, bez przeszłości i przyszłości, jestem tu, na amerykańskim kontynencie, w pociągu jadącym do Nowego Jorku, i robi mi się niedobrze na myśl, że miałbym wkrótce dobrowolnie wsiąść do tamtego pociągu, dostać się — na jak długo? — pod carską komendę, tam, w centralnie zarządzanych stepach Euroazji.

SPIS TREŚCI

<i>Nad Atlantykiem</i>	7
<i>Pierwsze pytania</i>	12
<i>Brzeziński</i>	17
<i>National Gallery</i>	21
<i>Architektura Chicago</i>	24
<i>Obrazy przede mną i za mną</i>	27
<i>Yellowstone National Park</i>	29
<i>Mormoni</i>	32
<i>Prorok</i>	36
<i>Migawki z San Francisco</i>	39
<i>W Nevadzie</i>	44
<i>Nowy Meksyk</i>	47
<i>Klony, twarze, śmierć, literatura</i>	50
<i>Hancock Tower</i>	57
<i>Steward Gardner Museum</i>	60
<i>Lunch z Miłoszem</i>	62
<i>Nad Central Parkiem</i>	64
<i>W New Haven</i>	65
<i>U I w y</i>	68
<i>Nowy Jork i polskie niepokoje</i>	69
<i>Powrót do szkoły</i>	71
<i>Zygfryd</i>	73
<i>Metropolitan Museum</i>	74
<i>Na dachu drapacza</i>	77
<i>Sabarsky Gallery</i>	79
<i>Norman Podboretz</i>	81
<i>Dzień z policją</i>	86
<i>Kobieta bez cienia</i>	88

<i>Wieczór polskich mitów</i>	89
<i>Halloween</i>	91
<i>W Whitney Museum</i>	93
<i>Spotkanie z Nabokovem</i>	94
<i>Obrazy Andrew Wyetha</i>	99
<i>Czarodziejski flet</i>	102
<i>Sterling Library</i>	103
<i>Strategie</i>	106
<i>Napad żółci</i>	110
<i>Dyskusja o Solidarności</i>	114
<i>Boston w deszczu</i>	117
<i>Polskie rozmyślenia w amerykańskiej bibliotece</i>	119
<i>Galeria sztuki</i>	124
<i>Yale Center for British Art</i>	126
<i>Złe oko Bacona</i>	128
<i>Moje typy</i>	129
<i>Metro</i>	132
<i>Biblioteka historii sztuki</i>	133
<i>Wpatrywać się w oczy</i>	135
<i>Thanksgiving z Polakami</i>	137
<i>Nowojorski dzień</i>	139
<i>Obawy</i>	140
<i>Spotkanie z intelektualistami</i>	142
<i>Whitney, Metropolitan</i>	143
<i>Rosyjskie zbiory i amerykańskie pieniądze</i>	146
<i>Strawiński Hockneya</i>	148
<i>Guggenheim Museum</i>	150
<i>Frick Collection</i>	153
<i>Cienie</i>	156
<i>Neokonserwatysta</i>	158
<i>Chińczycy w Yale</i>	161
<i>Klimat zdrady</i>	163
<i>Gombrowicz</i>	167
<i>Wojna przeciw społeczeństwu</i>	171

KATALOG KSIĄŻEK « BIBLIOTEKI KULTURY »

Marzec 1983

	Stron	F.
Arżak, M. (Ju. Daniel): <i>Odkupienie i inne opowiadania</i> ..	128	9,00
Barańczak, St.: <i>Etyka i poetyka — Szkice 1970-1978</i> (Seria „Bez Cenzury”)	272	65,00
Bieńkowska, D. I.: <i>Pieśń suchego języka</i> (Poezje)	64	9,00
Bierezin, J.: <i>Wam</i> (Poezje)	76	12,00
Bobkowski, A.: <i>Coco de Oro</i> . Szkice i opowiadania	272	20,00
Brandys, K.: <i>Miesiące</i> (1978-1979)	256	75,00
Brandys, K.: <i>Miesiące</i> (1980-1981)	224	70,00
Bronski, M.: <i>Teksty i preteksty</i> (eseje literackie)	272	75,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje)	64	7,00
Chciuk, A.: <i>Wizyta w Izraelu</i>	160	20,00
Czapska, M.: <i>Czas odmieniony</i>	160	35,00
Czapski, J.: <i>Tumult i widma</i>	352	85,00
Czaykowski, B.: <i>Point-no-point</i> (Poezje)	96	10,00
Czaykowski, B. i Sulik, B.: <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i> ..	581	30,00
Czerniawski, A.: <i>Wiek złoty</i> (Poezje)	64	25,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia</i> (Kultura 1958-1973), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1962-1973), <i>Działalność wydawnicza</i> (1959-1973)	432	75,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia</i> . Kultura (1973-1980), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1973-1980), <i>Działalność Wydawnicza</i> (1973-1980)	310	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Szkice o literaturze emigracyjnej</i>	416	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Wspomnienia o Bibliotece Narodowej w Warszawie</i>	76	15,00

	Stron	F.
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Gnomacki Wł.: <i>Towarzysz Szmaciak</i>	72	20,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. I, <i>Ferdynurke</i>	296	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VI, <i>Dziennik</i> (1953-1956)	304	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VII, <i>Dziennik</i> (1957-1961)	256	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VIII, <i>Dziennik</i> (1961-1966)	224	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. III, <i>Pornografia</i>	168	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. X „ <i>V a r i a</i> ”	544	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. XI, <i>Wspomnienia polskie. — Wędrowki po Argentynie</i>	256	50,00
G ł o s („Dokumenty” Nr 47)	272	75,00
Grynberg, H.: <i>Zwycięstwo</i>	96	9,00
Grynberg, H.: <i>Życie codzienne i artystyczne</i>	180	50,00
Gulley-Chmielowska, H.: <i>Spotkania na galerii</i>	192	9,00
Guzy, P.: <i>Krótki żywot bohatera pozytywnego</i>	160	40,00
Guzy, P.: <i>Stan wyjątkowy</i>	144	12,00
Haupt, Z.: <i>Pierścień z papieru</i>	245	13,50
Herling-Grudziński, G.: <i>Dziennik pisany nocą (1973-1979)</i> , t. II	368	75,00
Hertz, Al.: <i>Refleksje amerykańskie</i>	260	16,50
Hertz, Al.: <i>Szkice o ideologiach</i>	160	12,00
Iwaniuk, W.: <i>Ciemny czas (Poezje)</i>	80	8,00
Iwaniuk, W.: <i>Wybór wierszy</i>	108	7,50
Iwanow, I.: <i>Czy istnieje życie na Marsie?</i>	112	7,00
Iwańska, A.: <i>Świat przetłumaczony</i>	240	15,00
<i>Jak z tego wyjść? (Seria „Dokumenty”)</i>	80	25,00
Januskiewicz, Maria: <i>Kazachstan</i>	200	55,00
Jedlicki, W.: <i>Klub Krzywego Koła (Seria „Dokumenty”)</i> ..	176	10,00
Jeleński, K. A.: <i>Zbiegi okoliczności</i>	424	120,00
Karpiński, W.: <i>Amerykańskie cienie</i>	192	75,00
Katelbach, T.: <i>Rok złych wróżb (1943)</i>	223	8,00
Kisielewski, St.: <i>Podróż w czasie</i>	136	40,00
Koszeliwek, I.: <i>Ukraina 1956-1968 (Seria „Dokumenty”)</i> ..	272	18,50
Kot, St.: <i>Jerzy Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej</i>	80	7,00
Kowalik, J.: „ <i>Kultura</i> ” 1947-1957. <i>Bibliografia Kultury</i> ..	392	15,00
Kowalska, J.: <i>Pogranicze</i>	280	80,00
Krynicky, R.: <i>Nasze życie rośnie (Wiersze). (Seria „Bez Cenzury”)</i>	104	25,00
Kuśmierek, J.: <i>Stan Polski</i>	80	30,00
Lipski, L.: <i>Piotrus</i>	80	7,00

	Stron	F.
Madej, B.: <i>Maść na szczury</i> (Seria „Bez Cenzury”)	208	30,00
Madej, B.: <i>Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości</i>	168	24,00
Mieroszewski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	256	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Dolina Issy</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 5)	196	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Ogród nauk</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 10)	256	65,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. I („Dzieła Zbiorowe”, t. 1)	292	75,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. II („Dzieła Zbiorowe”, t. 2)	240	70,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. III („Dzieła Zbiorowe”, t. 11)	112	30,00
Miłosz, Cz.: <i>Prywatne obowiązki</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 7)	256	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Rodzinna Europa</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 6)	248	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Świadectwo poezji</i>	96	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 9)	174	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Zdobycie władzy</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 4)	160	50,00
Miłosz, Cz.: <i>Ziemia Ulro</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 8)	224	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Zniewolony umysł</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 3)	240	60,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i>	304	30,00
Mostwin, D.: <i>Olivia</i>	288	15,00
Mrożek, Sł.: <i>Vatlav. — Ambasador</i> (dwie sztuki sceniczne)	124	40,00
Najder, Z.: <i>Ile jest dróg?</i>	196	60,00
Nowakowski, M.: <i>Raport o stanie wojennym</i>	100	35,00
Nowakowski, M.: <i>Raport o stanie wojennym II</i>	96	40,00
Nowakowski, T.: <i>Happy-End</i>	208	18,50
Orłoś, K.: <i>Trzecie kłamstwo</i>	240	65,00
Pankowski, M.: <i>Smagła swoboda</i>	55	5,00
Pawlikowski, M. K.: <i>Wojna i sezon</i>	308	15,00
Pietrkiewicz, J.: <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i>	200	13,50
Pomian, G.: <i>Polska Solidarności</i>	464	120,00
<i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i ukraińskim</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
PPN — <i>Polskie Porozumienie Niepodległościowe</i>	160	35,00
<i>Przeciw niewolnictwu</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
<i>Raport o stanie narodu i PRL</i> (Seria „Dokumenty”)	224	65,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946</i> (Seria „Dokumenty”)	288	18,50
Rekulski, A. T.: <i>Czy drugi Katyń?</i>	46	20,00
Rembek, St.: <i>W polu</i>	309	8,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Skrytki</i>	200	55,00
De Roux, D.: <i>Rozmowy z Gombrowiczem</i>	160	15,00

	Stron	F.
Scherer, O.: <i>W czas morowy</i>	208	13,50
Singer, B.: <i>Od Witosza do Stawka</i>	400	18,00
Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i>	384	55,00
Staliński, T.: <i>Śledztwo</i>	224	25,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Eseje dla Kassandry</i>	300	20,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Od Berdyczowa do Rzymu</i> ..	416	35,00
Sukiennicki, W.: <i>Legenda czy rzeczywistość</i> (Seria „Dokumenty”)	128	9,00
Sułkowski, W.: <i>Szkoła zdobywców</i>	64	15,00
Swianiewicz, St.: <i>W cieniu Katynia</i>	360	55,00
Tarniewski, M.: <i>Płonie komitet</i>	196	65,00
Toporska, B.: <i>Siostry</i>	216	13,50
<i>We własnych oczach</i> (Antologia współczesnej literatury sowieckiej)	524	24,00
Wierzyński, K.: <i>Sen mara</i> (Poezje)	128	11,00
Winczakiewicz, J.: <i>Izrael w poezji polskiej</i> (Antologia)	354	25,00
Witos, W.: <i>Moje wspomnienia</i> , t. I/III	1324	99,00
Wołoszynowski, J.: <i>Było tak...</i>	200	45,00
Woroszyński, W.: <i>Literatura</i> (Seria „Bez Cenzury”)	180	45,00
Zaremba, P.: <i>Historia dwudziestolecia 1918-1939</i> , t. I i II, str. 238 i 342	670	170,00
Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia</i> (Seria „Dokumenty”)	240	16,50
<i>Znasz-li ten kraj?</i> (Seria „Dokumenty”)	348	24,00
<i>Zeszyty Historyczne</i> poświęcone najnowszej historii Polski, ukazywały się od roku 1962 do 1972 łącznie dwa razy do roku. Od 1973 ukazują się co kwartał: w lutym, maju, sierpniu i listopadzie.		
Każdy Zeszyt liczy 240 (lub 256) stron. Zeszyty		
Nry 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 12, 13, 15, 16, 18, 19, 20,		
40, 41, 42, 46, 47, 49, 50, 51, 52, 53, 55, 56, 57		
są wyczerpane. Ukazał się Zeszyt 63 (luty 1983).		
Cena pojedynczego Zeszytu		50,00

Prosimy Czytelników, by przy niewielkich zamówieniach dodawali 10 % ogólnej sumy na koszty przesyłki — przy większych 5 %. We Francji liczymy efektywne koszty porta (taryfa znacznie wyższa niż za granicę).

Prenumerata *KULTURY* na rok 1983:

rocznie — F. 340,00; półrocznie — F. 175,00.

Prenumerata *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH* na rok 1983:

rocznie — F. 240,00 (pojedynczy Zeszyt — F. 60,00
(dla prenumeratorów *KULTURY* — F. 220,00).

**ACHEVE D'IMPRIMER
LE 15 MARS 1983
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).**

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1983.





dan di. Wngdu cu
1990

